Dziś 12 stron

RZECZPOSPOLITA

DZIENNIK POLITYCZNO-GOSPODARCZY

REDAKCJA: Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Telefony: Red. nacz. 424-75, redakcji — 424-76.
ADMINISTRACJA: (dział prenumeraty): Warszawa, Pl. Trzech Krzyży 16. Prenumerata miesięczna pocztą kosztuje 135 zł. tel. 8-10-26.
WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik", Warszawa, ulica Wiejska nr 12

Cena 10 zł

Rok VI — WARSZAWA, 16—18 KWIETNIA 1949 ROKU — Nr. 105 (1671)

DZIŚ W NUMERZE
E. BORA, A. CZECHOW, J. HASZEK, H. KASSYANOWICZ, H. KOROTYŃSKI, I. KRZYWICKA, K. MAKUSZYŃSKI, E. OSMAŃCZYK, A. POTEMKOWSKI, Z. SACHNOWSKI, ST. STRUMPH - WOJTKIEWICZ, M. SAMOZWANIEC, MARK TWAIN.





* * *

Jakże to niedawno było: obłąkany pychą faszyzm zapragnął ujarzmić ludy świata. Żądza panowania jednego narodu nad innymi szukała w zniszczeniu potwierdzenia swej wyższości. Zyskiwała pogardę. Wtedy obudziła się nienawiść; nieprzytomna nienawiść najeźdźcy do tych, którzy gardzili chwilowymi zwycięzcami.

Wyrośli w kulcie bogactwa i dosytu, czciciele dyktatorów nie mogli zrozumieć, że ludy lekceważą ich, którzy wielkie bogactwo zagarnęli. Nie mogli zrozumieć, że toczy się walka o coś tak niepojętego dla nich, jak wolność — gdyż sami mieli ducha niewolników.

Nienawidzili i szerzyli nienawiść. To była zima myśli ludzkiej i serc ludzkich. Jedyna wola, która potężniała, to była wola zniszczenia przeciwnika, to była wola zwycięstwa. Pod tą powłoką lodową głęboko skryło się życie. Dopiero kiedy prysła potęga zła, gdy sztandar zwycięskich wojsk zawisł nad murami Berlina — nastąpiła wiosna. Tęsknota do życia bogatego, twórczego rozrosła się potężnie. Z martwych wstało to, co miało być zniszczone: Wolność.

*

Poznaliśmy grozę pożaru. Łuna była przez czas wojny naszym czerwonym sztandarem. Rozwinięty nad Warszawą w tragiczne dni września 1939 r., trwał długo. W ogniu niszczał dobytek, pamiątki, dzieła sztuki — w ogniu krematoriów ginęli ludzie. Nie żal nam było — bo pokąd ów sztandar był rozwinięty, póty trwała walka — a musieliśmy walczyć aż do zwycięstwa.

Poznaliśmy mękę głodu. Dudniły głucho ulice i szosy rytmem marszu zdrowych, mocnych, odkarmionych żołnierzy faszyzmu. Snuły się dokoła ludzkie cienie. Odebrano im jadło, odebrano im możność nauki. Choć lud mówił „łaknę", pojono go goryczą szyderstwa.

Niszczył nas mór. Dwadzieścia pięć procent śmiertelności w obozie litomierzyckim, to plon tyfusu. Tyfus można zwyciężyć, lecz był on sojusznikiem tych, którzy w owym czasie władali krajem.

Pięć lat trwała wojna. Gdy minęła, plonem jej były gruzy miast, wsie rozwalone, odłogi pól, zrujnowane warsztaty pracy. Przybyły miliony mogił.

*

Stanęliśmy do pracy. Nie mogło od razu być dobrze. Jak pogorzelcy na ruinach domu, grzebaliśmy w popiołach, szukając tego, co ocalało. Musieliśmy wielu rzeczy sobie odmówić, bo budowaliśmy przyszłość dla siebie i swoich rodzin.

To takie proste.

Gdy spali się obejście gospodarza, naprzód musi pomyśleć o pługu i nasionach, bo to mu da chleb na jutro. Potem buduje śpichlerz, aby zboże nie zniszczało — i oborę, aby ochronić bydlątka. Cały czas mieszka byle jak i odziewa się w byle co. Dopiero, kiedy te najważniejsze sprawy załatwił, wtedy o sobie myśli — aby chatę mocną wybudować, urządzić ją pięknie i siebie oporządzić.

Nie inny jest całego kraju porządek odbudowy. Tylko ludzie złej woli tego nie chcą wiedzieć.

Odwaliliśmy szmat roboty. Koleje przebiegają dalekie szlaki, naprawiono mosty i drogi. Dymią kominy fabryczne, a produkcja jest znacznie wyższa niż przed wojną. Znikają odłogi, las młody rośnie na porębach, coraz to większy jest przychówek. Sycimy głód książki — wszystkie dzieci się uczą, wyrasta nowe, lepsze pokolenie.

Polska stała się większa: ongi była własnością nielicznej grupy ludzi, którzy korzystali z wszelkiego dostatku — dziś jest własnością wszystkich.

Oto wiosna nasza po zimie wojennego zniszczenia.

*

Piąte w odrodzonej Polsce święta Wielkanocne obchodzimy pełni wiary w naszą jasną przyszłość. Jednocząc się coraz ściślej, wciągając do twórczej pracy dla kraju wszystkich obywateli miast i wsi — będziemy rośli dalej jako naród i jako państwo, będziemy pomnażali także nasz polski wkład w dzieło postępu międzynarodowego, w dzieło budowy sprawiedliwego ustroju, który cały świat ogarnie.

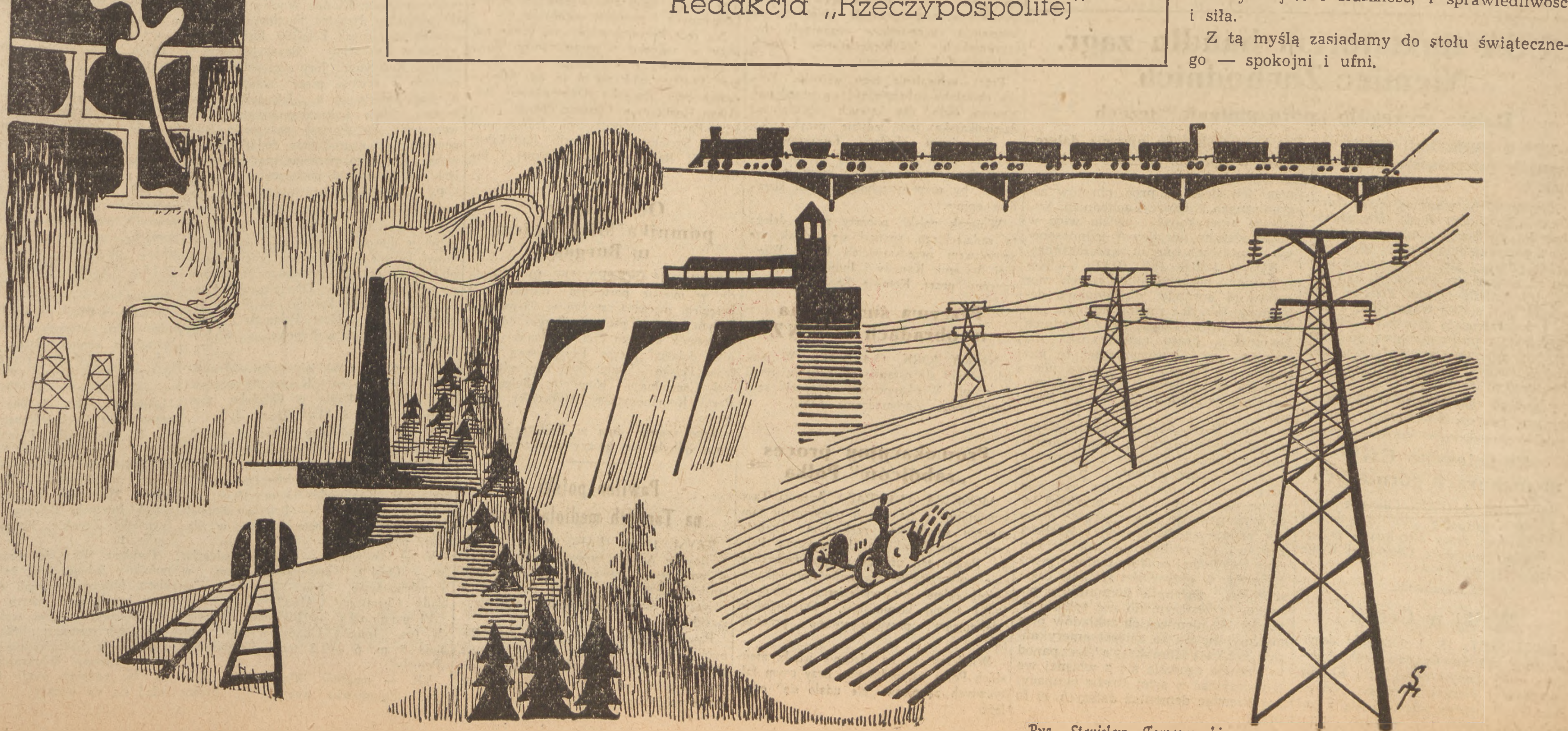
Mimo wysiłków i gróźb polityków podboju i wojny, głęboko wierzymy — więcej: jesteśmy pewni, że nie osiągną oni swych niecnych celów i że zwycięży wola pokoju, życia i twórczej pracy milionowych rzesz wszystkich narodów świata. Zwycięży, bo po stronie mas ludowych jest i słuszność, i sprawiedliwość, i siła.

Z tą myślą zasiadamy do stołu świątecznego — spokojni i ufni.

Wszystkim Czytelnikom,
Przyjaciołom i Współpracownikom

NAJSERDECZNIEJSZE
ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

składa
Redakcja „Rzeczypospolitej"



Rys. Stanisław Tomaszewski

Prezydent R. P. Bolesław Bierut

W 57-ą rocznicę urodzin



W dn. 18 bm. przypada 57 rocznica urodzin Prezydenta Rzeczypospolitej Bolesława Bieruta.

Pierwszy Prezydent wyzwolonej Polski Ludowej urodził się 18 kwietnia 1892 r. we wsi Rury Jezuickie, w woj. lubelskim, jako syn małorolnego chłopa.

Mając zaledwie lat 13, Bolesław Bierut zostaje wydalony przez władze carskie ze szkoły powszechnej za wzięcie udziału w strajku szkolnym w 1905 r.

Po wydaleniu ze szkoły Bolesław Bierut pracuje nadal nad swym wykształceniem. Jednocześnie rozpoczyna działalność społeczno-polityczną, biorąc czynny udział w pracy postępowej organizacji niepodległościowej „Przyszłość" i nawiązując, w roku 1911, kontakt z lubelską organizacją PPS-Lewicy. W szeregach tej organizacji Bolesław Bierut pozostaje do chwili połączenia się jej z SDKPiL w jedną partię rewolucyjną ruchu robotniczego — KPRP, późniejszą Komunistyczną Partię Polski.

W okresie pierwszej wojny światowej Bolesław Bierut przebywa w Lublinie, prowadząc ożywioną działalność w ruchu spółdzielczości robotniczej. Od roku 1921 zaczynają nań spadać represje policyjne. Po kilkakrotnych aresztowaniach wyjeżdża w 1927 r. za granicę i pobyt na terenie Austrii i Bawarii wykorzystuje na przeprowadzenie studium nauk społecznych. W roku 1931 Bolesław Bierut powraca do kraju i natychmiast przystępuje do czynnej pracy w partii.

Aresztowany ponownie w 1933 r. i skazany za przynależność do KPP spędza szereg lat jako więzień reżimu faszystowskiego, a kiedy w roku 1939 otwarły się bramy więzienia — znajduje się w pierwszych szeregach obrońców Warszawy.

W latach okupacji Bolesław Bierut jest współorganizatorem i członkiem władz centralnych PPR, stojąc na czele wielkiego ruchu narodowego, jednoczącego wszystkie siły narodu do walki przeciw najeźdźcy hitlerowskiemu o demokrację ludową.

Wysiłkom partii i Bolesława Bieruta przypisać należy zjednoczenie wszystkich ugrupowań demokratycznych i rewolucyjnych do walki o wyzwolenie kraju. Nawiązując do najlepszych tradycji rewolucyjnego nurtu w polskim ruchu robotniczym, Bolesław Bierut opiera walkę wyzwoleńczą o sojusz z ZSRR. Przy jego najczynniejszym udziale powstaje Krajowa Rada Narodowa, której pierwszem posiedzeniu w pamiętną Sylwestrową Noc r. 1943 przewodniczy Bolesław Bierut.

W lipcu 1944 r. Bolesławowi Bierutowi zostaje powierzona funkcja Prezydenta KRN. Funkcję tę pełni do dnia pierwszego posiedzenia Sejmu Ustawodawczego, 5 lutego 1947 r. Sejm wybiera Bolesława Bieruta Prezydentem RP. W roku 1948 powraca do czynnego życia partyjnego i przychylając się do prośby plenum KC PPR obejmuje stanowisko Sekretarza Generalnego Partii. W grudniu tego samego roku zostaje wybrany przewodniczącym PZPR.

Swą ofiarną pracą dla dobra Polski i mas pracowniczych, nawiązywaniem bezpośredniego kontaktu z ludnością, swymi wystąpieniami w zasadniczych dla Państwa i Kraju zagadnieniach — zyskał sobie Prezydent Bierut powszechny szacunek i sympatię w społeczeństwie.

Droga życia i sylwetka duchowa Bolesława Bieruta, jego niezmordowana walka w imię najlepszych tradycji i najwznioślejszych celów narodowych i społecznych, jego kierownicza rola w życiu naszego kraju jest jednym ze źródeł optymizmu, z jakim społeczeństwo patrzy w przyszłość Polski.

Plan Gospodarczy na I kwartał 1949 roku wykonany z nadwyżką

Wzrost wydajności pracy

Realizacja Narodowego Planu Gospodarczego na rok 1949, w pierwszym kwartale 1949 r. przebiegała pomyślnie, przy czym na najważniejszyych odcinkach plany na okres sprawozdawczy zostały przekroczone. Reforma systemu płac i norm, realizowana w pierwszym kwartale 1949 r. przyniosła wzrost wydajności pracy robotników, ujawniający się w wykonywaniu i przekraczaniu nowoustalonych norm.

W przemyśle państwowym wykonanie produkcji podstawowych artykułów przedstawia się następująco:

Artykuł	Proc. wykonania planu kwartalnego	Proc. wykonania planu rocznego	Produkcja w I-szym kwart. 1949 r. w odsetkach produkcji I-go kwart. 1948
Energia elektryczna	101	26	104
Ropa naftowa	106	26	110
Węgiel kamienny	100	24	108
Koks	103	26	114
Surówka	107	25	116
Stal surowa	110	28	125
Cynk	108	27	113
Ruda żelazna	116	26	114
Azotniak	105	30	100
Saletrzak	100	36	117
Superfosfat mineralny	98	26	195
Obrabiarki do metali i drzewa	104	25	142
Parowozy normalnotorowe	98	19	91
Wagony osobowe	106	23	123
Wagony towarowe (węglarki)	106	24	87
Żarówki świetleniowe	109	28	171
Cement portlandzki	132	24	135
Szkło okienne	124	30	114
Tkaniny bawełniane	111	25	115
Tkaniny wełniane	98	23	102
Tkaniny lniane i pakulane	109	27	120
Tkaniny jedwabne	103	26	124
Papier	106	26	108
Skóry podeszwowe	115	25	173
Skóry wierzchnie i futrówka	122	27	135
Olej surowy	107	25	119
Sól	105	26	93
Spirytus 100 proc.	104	39	116
Papierosy	120	30	162

2. W rolnictwie wyniki uzyskane w okresie sprawozdawczym przedstawiają się następująco:

W wiosennej akcji siewnej rozprowadzono ok. 20 tys. ton zboża siewnego i ok. 13 tys. ton ziemniaków sadzeniaków.

W ramach akcji kontraktowania upraw zakontraktowano w ciągu kwartału:

	Tys. ha	Proc. planu rocznego
Buraków cukrowych	236	101
Ziemniaków przem.	63	85
Rzepaku	89	99
Lnu — słomy	74	123
Konopi	7.9	112
Tytoniu	13,2	98

Dostawy nawozów sztucznych dla rolnictwa wyniosły do 31.III.1949. — 537 tys. ton, przekraczając tym samym o 13 proc. dostawy całego sezonu wiosennego roku 1948.

W okresie sprawozdawczym przybyło 1.190 nowych traktorów. Liczba traktorów przygotowanych do wiosennych prac rolniczych wyniosła około 13.600.

W ramach akcji pomocy kredytowej dla gospodarstw chłopskich, uruchomiono 1.350 mil. zł. na akcję siewną, orkę i nawozy.

Na rynku mięsa i tłuszczów, wobec niedostatecznych jeszcze dostaw, zakłócenia równowagi trwały w dalszym ciągu.

Przebieg akcji „H" kształtował się jednakże pomyślnie. W ramach jej zakontraktowano 745 tys. sztuk trzody chlewnej, co stanowi 62 proc. planu rocznego, rozprowadzono ponad 106 tys. ton otrąb, zaszczepiono szczepionką przeciwróżycową ponad 930 tys. sztuk świń. W okresie sprawozdawczym funkcjonowało 119 poradni żywieniowych, obejmujących ponad 48 tys. gospodarstw.

3. Przewozy towarów koleją osiągnęły w tonach 95 proc. planu kwartalnego, tj. 21 proc. planu rocznego, przekraczając o 13 proc. przewozy z pierwszego kwartału 1948 r. Przewozy pasażerów wyniosły 103 proc. planu kwartalnego, co stanowi 24 proc. planu rocznego i 110 proc. przewozów z pierwszego kwartału 1948 r.

Przeładunek w portach morskich osiągnął ogółem 117 proc. planu kwartalnego, a 23 proc. planu rocznego, tj. 140 proc. przeładunków towarowych z pierwszego kwartału 1948 r. W szczególności, zespół Gdańsk — Gdynia wykonał 117 proc. planu przeładunków morskich. W Szczecinie — Swinoujściu stosunek wykonania planu za pierwszy kwartał roku 1949 do analogicznego okresu w roku ubiegłym wyniósł 283 proc.

w/z Prezesa
(—) dr. St. Jędrychowski

Warszawa, dn. 15 kwietnia 1949 r.

Następny numer „Rzeczypospolitej"
ukaże się
w Warszawie we wtorek 19 bm.
a na prowincji w środę 20 bm.

Wykonanie planu 3-letniego przez Zjedn. Zakł. Gazu Koks.

Zjednoczone Zakłady Gazu Koksowniczego, jako pierwsze wśród wszystkich Zjednoczonych Zakładów, podległych Centralnemu Zarządowi Przemysłu Chemicznego, ukończyły w dniu 5 kwietnia 1949 r. 3-letni plan oczyszczania i dystrybucji gazu koksowniczego.

Cały naród odbuduje pomniki Mickiewicza

Niech nikogo nie zabraknie w akcji zbiórkowej

Komitet Mickiewiczowski opublikował następującą odezwę do społeczeństwa:

W roku bieżącym obchodzimy w Odrodzonej Polsce Ludowej rocznicę 150-lecia Urodzin Adama Mickiewicza. Cały nasz kraj, a za nim wszystkie zaprzyjaźnione państwa słowiańskie, składają hołd pamięci wielkiego poety, geniusza narodu polskiego, trybuna wolności ludów.

Komitet Mickiewiczowski pod wysokim protektoratem Prezydenta Rzeczypospolitej Bolesława Bieruta, postanowił uczcić tę wielką rocznicę w sposób najgodniejszy. Decyzja ta została przyjęta z entuzjazmem przez całe społeczeństwo polskie.

W Odrodzonej Demokratycznej Polsce w przypadającym Roku Mickiewiczowskim zrealizują się wreszcie marzenia poety, by księgi Jego „zbłądziły pod strzechy", by poznał je i umiłował jako swoje polski chłop i robotnik.

Zbrodnicza ręka okupanta hitlerowskiego, tępiąca polskość i wszelkie objawy narodowej kultury, zniszczyła również pomniki Tego, który był zawsze dla nas wzorem ideałów narodowych i siewcą najszlachetniejszych uczuć.

W ten sposób runęły w gruzy pomniki Mickiewicza w Warszawie, Krakowie i Poznaniu.

W Roku Mickiewiczowskim złożymy dowód, że cześć i wdzięczność dla poety żyją w sercach polskich. Tak jak odbudowaliśmy uczelnie, szkoły, teatry i muzea — odbudujemy, przez faszystowskiego najeźdźcę zburzone, pomniki Mickiewicza.

Obywatele!

Niech nikogo nie zabraknie w akcji zbiórki na ten cel. Pokażemy całemu światu, jak gorące jest przywiązanie naszego narodu do jednego z największych twórców kultury narodowej, jak drogą jest nam poezja Mickiewicza, jak szybko odbudowujemy pomniki kultury, a wśród nich pomniki Wieszcza, który przed wiekiem wskazał drogę postępu społecznego naszemu narodowi.

Wszyscy więc stajemy do apelu.

Wszyscy, najdrobniejszymi choćby wpłatami na konto Ogólnopolskiego Komitetu Mickiewiczowskiego, bierzemy udział w odbudowie pomników Mickiewicza.

Ofiarodawcy, przeznaczający swe ofiary na odbudowę Pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie, wpłacają na konto P.K.O. Nr I-9551, na Budowę Pomnika A. Mickiewicza w Krakowie — na konto P.K.O. Nr I-9554, na Budowę Pomnika A. Mickiewicza w Poznaniu — na konto P.K.O. Nr I-9553. Ci, którzy przeznaczają swe ofiary na Budowę Pomników A. Mickiewicza, bez określenia miejsca, wpłacają na konto P.K.O. Nr I-9552.

Ofiary przyjmują również Redakcje pism codziennych.

„Odezwę podpisali wszyscy członkowie Ogólnopolskiego Komitetu Uczczenia 150-tej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza — z Wysokim Protektorem Komitetu — Prezydentem R.P. Bolesławem Bierutem oraz przewodniczącym Komietu Honorowego — Premierem Józefem Cyrankiewiczem na czele".

W kilku wierszach

— **Czechosłowacka delegacja rządowa** z premierem Zapotockym na czele złożyła w piątek przed południem wizytę Prezydentowi Republiki węgierskiej Szakasitsowi i premierowi rządu węgierskiego Dobi.

— **W Moskwie** odbywają się ostatnie przygotownnia do X zjazdu radzieckich związków zawodowych. Od kilku dni przybywają już do stolicy delegaci na zjazd ze wszystkich krańców Związku Radzieckiego.

— **Belgijska Rada Ministrów** złożyła na ręce regenta projekt rozwiązania w połowie maja parlamentu oraz rozpisania przedwczesnych wyborów. Wybory te, które normalnie miały się odbyć w lutym 1950 roku, wyznaczone zostaną prawdopodobnie na drugą połowę czerwca br.

— **Dr V. Vacek** został ponownie wybrany na stanowisko prezydenta stolicy Czechosłowacji — Pragi.

— **Rząd japoński** powziął decyzję o podwyżce z dniem 14 kwietnia cen na wszystkie artykuły żywnościowe. Zwyżka cen wynosi przeciętnie 13,4 proc.

— **Konsulat francuski w Berlinie** odmówił udzielenia wiz do Paryża 15 z 22 delegatów niemieckich, wybranych na światowy Kongres w Obronie Pokoju.

— **Lecący do Berlina amerykański** transportowiec typu „Skymaster" uległ katastrofie. Los trzyosobowej załogi nie jest jeszcze znany.

— **Francuska Rada Ministrów** obradowała nad projektem „reorganizacji" znacjonalizowanych fabryk budowy silników lotniczych. Na 19 upaństwowionych już fabryk przemysłu lotniczego 6 powróci do sektora prywatnego, a w 3 przewiduje się udział kapitału prywatnego.

Delegacja Polski na Kongres Pokoju

Na światowy Kongres Obrońców Pokoju wyjeżdża z Polski delegacja w składzie: prof. Jan Dembowski — biolog Uniwersytetu Łódzkiego, prof. Stefan Pieńkowski — fizyk, b. rektor Uniwersytetu Warszawskiego, Wojciech Żukrowski — literat, Janusz Zarzycki — przewodniczący ZMP, Eugenia Pragierowa — wiceprzewodnicząca Świat. Federacji Kobiet, Tadeusz Ćwik — sekr. gen. KCZZ, Józef Kociuba — górnik kop. „Wieczorek", Czesława Kunkowska — chłopka z gminy Myszyniec pow. warszawskiego.

Sekretarz generalny Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju — Jerzy Borejsza znajduje się już w Paryżu.

Delegacja została wyłoniona z grupy wybranych przez społeczeństwo 71 delegatów, którzy nie mogli wyjechać z powodu odmowy wydania odpowiedniej liczby wiz przez rząd francuski.

PARYŻ, 15. 4. (PAP). Do komitetu przygotowawczego Kongresu w Obronie Pokoju napływają w dalszym ciągu z całego świata zgłoszenia organizacji demokratycznych i znanych osobistości.

Na ręce komitetu napływają liczne protesty w związku z ograniczeniem ilości wiz wjazdowych dla delegatów na Kongres. Protesty nadeszły m. in. od: Międzynarodowego Związku Dziennikarzy Polskiego Komitetu w Obronie Pokoju, członków Partii Komunistycznej, Jednościowej Partii Socjalistycznej, Partii Radykalnej i Partii Radykalno-Socjalistycznej i innych.

Greccy urzędnicy strajkują - mimo represji

BUKARESZT, 15. 4. (PAP).

Mimo represji ze strony rządu Sofulisa, strajk greckich urzędników państwowych trwa już 10 dni. Premier Sofulis oświadczył po posiedzeniu gabinetu, że żadna podwyżka płac nie może być obecnie przyznana. Komitet strajkowy urzędników państwowych postanowił kontynuować strajk do chwili zadośćuczynienia żądaniom podwyżki płac.

Polska przeciw nieuczciwym korespondentom zagranicznym

LAKE SUCCESS, 15.4 (PAP.). Na posiedzeniu Komisji Społecznej Zgromadzenia Generalnego ONZ, która omawia projekt konwencji w sprawie zbierania i rozpowszechniania informacji prasowych, delegat polski Drohojowski wystąpił z wnioskiem wyeliminowania spośród korespondentów zagranicznych, objętych tą konwencją, uczestników organizacji faszystowskich, kolaboracjonistów i osób podżegających do wojny.

Przez uchwalenie tego wniosku, Polska chciałaby zabezpieczyć się przed napływem osób, dla których działalność dziennikarska jest jedynie przykrywką, w krzewieniu ideologii faszystowskiej, a także osób, którzy udają się jako korespondenci zagraniczni do kraju jedynie po to, by rozpowszechniać o nim kłamliwe opinie.

Wniosek polski, poparty przez delegata radzieckiego, spotkał się jednak ze sprzeciwem przedstawicieli USA, Wielkiej Brytanii, Kanady i Indii i został odrzucony przez Komisję Społeczną.

Przerwa świąteczna w obradach w ONZ

NOWY JORK, 15.4 (PAP.). W piątek odbyły się ostatnie posiedzenia przed Świętami Wielkanocnymi obecnej sesji Generalnego Zgromadzenia ONZ.

Prowokacyjny proces „zabójców" Polka

MOSKWA, 15.4 (PAP.). Agencja Tass komunikuje z Salonik o rozpoczęciu tam procesu przeciwko rzekomym „zabójcom" amerykańskiego dziennikarza Polka. Proces ten greckie władze faszystowskie wykorzystały dla nowej prowokacji, której celem jest znalezienie zabójców Polka wśród komunistów. Odpowiednie „dokumenty" przygotowywano przeszło rok.

Wiadomo, że na zlecenie władz ateńskich Polka zamordowano, przy czym faktycznych zabójców „nie udało się" odnaleźć

Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Burgas

SOFIA, 15.4 (PAP.). Dn. 10 kwietnia rb. w mieście portowym Burgas nad brzegiem morza Czarnego w 93-rocznicę pobytu naszego poety w Burgas odsłonięto pomnik ku jego czci. Odsłonięcia pomnika dokonał prezes Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Bułgarskiej i przedstawiciel Centralnego Komitetu Bułgarskiej Partii Komunistycznej Aleksander Obretonow.

Tego samego dnia w Teatrze Narodowym odbyła się uroczysta akademia,

Pawilon polski na Targach mediolańskich

RZYM, 15. 4. (PAP). Ambasador RP w Rzymie Adam Ostrowski wziął udział w uroczystości otwarcia Targów Mediolańskich. Eksponaty polskie na Targach wzbudziły duże zainteresowanie zwiedzających.

Pawilon polski zwiedził prezydent Republiki Włoskiej Einaudi, którego oprowadzał ambasador Ostrowski, udzielając wyczerpujących wyjaśnień i informacji na temat polskiej produkcji.

Wyniki konkursu — Ankiety p.t. Jak wyobrażam sobie akcję kulturalno-oświatową na wczasach

W dniu 13 bm. w lokalu redakcji „Rzeczypospolitej" w Warszawie zebrał się Sąd Konkursowy w składzie: wiceprzewodniczący KCZZ Wacław Żukowski, naczelny dyrektor Funduszu Wczasów Pracowniczych Bolesław Kania oraz redaktor naczelny „Rzeczypospolitej" Henryk Korotyński. Jury szczegółowo rozpatrzyło i oceniło prace nadesłane na Konkurs-Ankietę p. n. „Jak sobie wyobrażam akcję kulturalno-oświatową na wczasach". Po dyskusji przyznano jednomyślnie 10 nagród oraz dodatkowo — wobec wysokiego poziomu prac pozostałych — 10 nagród pocieszenia.

Po otwarciu kopert okazało się, że nagrody otrzymali następujący autorzy:

I nagroda — 3-tygodn. bezpłatny pobyt w dowolnej miejscowości wypoczynkowej, łącznie z bezpłatnym przejazdem w obie strony oraz przeprowadzeniem kuracji po uprzedniej opinii Ubezpieczalni Społecznej (lub bez kuracji) — *Irena Borowikowa* (ps. „Józef Polanicki"), żona nauczyciela, zam. w Sopocie, ul. Wybickiego 32.

II nagroda — jak wyżej — *Franciszek Dojczyk* (ps. „Karpacz"), pracownik Polskiego Radia w Gdańsku, zam w Sopocie, ul. 3 Maja 21 m. 3.

III — 2-tygodniowy pobyt w dowolnej miejscowości wypoczynkowej łącznie z bezpłatnym przejazdem w obydwie strony — *Halszka Bodolska* (ps. „Wu") Łódź, Al. Kościuszki 93 m. 19.

IV — jak wyżej — *Bolesław Łopuch* (ps. „Tyczka"), robotnik, zam. w Ślesinie, pow Konin.

V — jak wyżej — *Marian Feduszka* (ps. „Opal"), maszynista, zam. w Szczebrzeszynie, pow. Zamość, Zakłady Chemiczne „Alwa".

VI nagroda — *Waldemar Ostrowski* (ps. „Irena") Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Biała 5 m. 6 — 2 tomy Żeromskiego „Popioły".

VII — magister *Wanda Chachulska* (ps. „Entuzjastka wczasów"), Bytom, Roosevelta 33 m. 5 — Szołochowa „Cichy Don".

VIII — *Aleksander Rostocki* (ps. „Awer") Warszawa, Górnośląska 16 m. 17 — Andrzejewskiego „Popiół i diament".

IX — *Jan Dubois* (ps. „Pionier"), Jelenia Góra, ul. Kraszewskiego 5 m. 12 — bezpłatna półroczna prenumerata „Rzeczypospolitej".

X — *Józef Spisz* (ps. „J. S.") Kraków, ul. Jagiellońska 5 m. 20 — bezpłatna kwartalna prenumerata „Rzeczypospolitej".

Nagrody pocieszenia:

FWP, doceniając znaczenie ankiety, ogłoszonej przez „Rzeczpospolitą", dla dalszych prac kulturalno-oświatowych w domach wypoczynkowych oraz cenny wkład licznych autorów, postanowił wszystkim, którzy nadesłali swe prace na konkurs, przesłać bezpłatnie „Przewodnik wczasowy na r. 1949".

Poza tym FWP wyróżnił dodatkowo 10 odpowiedzi, których autorzy otrzymają bezpłatnie cenne książki.

Są to: Michał Pieńczewski, Opatów Kielecki, Sienkiewicza 68 Wiesław Gregorczyk, Rzeszów, ul. Daszyńskiego 33, Halina Golenko, Jedlina Zdrój, Warszawska 20 Michał Koneć — brak adresu, L. Markowski, Polanica Zdrój, Al. Róż 7 Pieczarkowska Maria, Kraków, ul. Kościuszki 1, Jucha Stanisław, Warszawa ,ul. Przyce 17, Tadeusz Tarnowiecki, Warszawa — brak adresu, Franciszek Prażuch, Pińczów, Kolejowa 32, Stępińska Zenobia, Katowice, ul. Francuska 1.

Fundusz Wczasów Pracowniczych komunikuje jednocześnie, że uczestnicy ankiety, którzy otrzymali nagrody w postaci bezpłatnego pobytu w domach wypoczynkowych, winni wykorzystać go w *maju lub czerwcu.* Nagrodzeni winni zwrócić się bezpośrednio do FWP, Wydział Prasowy, Warszawa, ul. Kopernika 36, podając, kiedy i gdzie pragną udać się na wczasy.

USA dyktatorem handlu zagr. Niemiec Zachodnich

Dalsze szczegóły „porozumienia" trzech

NOWY JORK, 15.4. (PAP). — Prasa amerykańska ujawnia dalsze szczegóły porozumienia trzech mocarstw w sprawie Niemiec Zachodnich.

Korespondent waszyngtoński dziennika „St. Louis Post Dispatsch" twierdzi, że Stany Zjednoczone, zgodnie z porozumieniem, mają zapewnione decydujący głos w sprawach handlu zagranicznego przyszłego państwa zachodnio-niemieckiego. Podczas omawiania tych spraw waga głosu każdego przedstawiciela mocarstw zachodnich będzie proporcjonalna do pozycji, jaką zajmuje reprezentowane przez nie państwo w niemieckim handlu zagranicznym.

Ponieważ zaś Stany Zjednoczone zajmują pozycję dominującą, gdyż udział ich sięga 90 proc. obrotów zagranicznych Niemiec Zachodnich, komisarz amerykański będzie więc w rzeczywistości decydował jednoosobowo o sprawach handlu zagranicznego.

NOWY JORK, 15.4. (PAP). — Komentując „porozumienie" trzech mocarstw w sprawie wstrzymania demontażu fabryk i rewizji poziomu produkcji przemysłowej w Zachodnich Niemczech, prasa amerykańska nie ukrywa, że „porozumienie" to jest całkowicie sprzeczne z umową poczdamską oraz stanowi pełne zwycięstwo USA nad Wielką Brytanią i Francją.

„New York Times", podkreślając wielkie zadowolenie, z jakim amerykańskie koła wojskowe i finansowe przyjęły „porozumienie", pisze, że „dyplomacja amerykańska odniosła pełne zwycięstwo". Jako przykład tego wymuszonego „zwycięstwa" dziennik podaje zgodę Francji i Wielkiej Brytanii na rozbudowę niemieckiej floty handlowej oraz na budowę przez Niemców w przyszłości statków oceanicznych. Dziennik komunikuje ponadto, że wstrzymano nie tylko rozbiórkę 159 niemieckich zakładów przemysłowych, jak to zalecał amerykański „komitet Humphrey'a", lecz ponadto Francja zgodziła się z własnej woli wstrzymać w swej strefie okupacyjnej Niemiec demontaż dalszych 40 fabryk.

Zwycięstwo CGT w wyborach górniczych

PARYŻ, 15. 4. (PAP). Oficjalne wyniki wyborów delegatów górniczych do rad bezpieczeństwa pracy świadczą o przygniatającym zwycięstwie Generalnej Konfederacji Pracy (CGT).

Walki w Grecji

BUKARESZT, 15. 4. Oddziały demokratyczne zaatakowały umocnione stanowiska wojsk faszystowskich koło Konitsy Pendalofos i Nestori w paśmie górskim Grammos i wyparły nieprzyjaciela z zajmowanych pozycji.

Henryk Korotyński

O pańskim stylu życia naszej inteligencji

„Ol... co stanowią inteligencję miasteczek, a więc: doktór, rejent, aptekarz itp., ci żyją tylko ze sobą podniecając swoje umysły wiadomościami bieżącymi z gazet, a do gminu nie zbliżają się. Ich więcej interesują... Afganiczycy, Tonkińczycy aniżeli szewcy, krawcy, mularze bednarze, którzy chodzą po tych samych ulicach... Taki jest skutek naszych arystokratycznych tradycyj"
(Bolesław Prus, „Kronika tygodniowa" w „Kurierze Warszawskim" z r. 1885).

„Ci ludzie, którzy do nas przyszli którzy oddali olbrzymie usługi demokracji ludowej i którzy oddadzą — jestem tego pewien — olbrzymie usługi socjalizmowi, ci ludzie... muszą maszerować noga w nogę z życiem, przekształcać się, uczyć się, otrząsać ze starych nawyków, otrząsać pył dróg kapitalistycznych ze swych nóg. A jeżeli tego nie robią, a tak często bywa, to zostają poza życiem czy chcą tego, czy nie chcą"
(Hilary Minc o partyjnej i bezpartyjnej inteligencji technicznej — na naradzie gospodarczej PPR dn. 18 września 1948 r.).

OCZYWIŚCIE, dawno minęły już te czasy — epoka „Lalki" Bolesława Prusa — kiedy chłop nie śmiał rozmawiać z „panem", mając czapkę na głowie, kiedy dozorca domu kłaniał się w pas lokatorowi-inteligentowi, a przyszedłszy doń po komorne, czekał cierpliwie na korytarzu, nie przekraczając nigdy progu pokoju. Minęły czasy, kiedy zarówno posiadacze, jak i większość inteligentów uważali za prawdziwych ludzi tylko członków swojej sfery, a całą resztę społeczeństwa traktowali jako stworzenia ulepione z dużo gorszej gliny. Te czasy minęły bezpowrotnie — ale czy minęły bez śladu?

Jeszcze zeszłego lata można było spotkać się na wczasach z takim zjawiskiem: w domu wypoczynkowym tej czy tamtej instytucji lepsze pokoje przeznaczano dla pp. dyrektorów i innych urzędników, gorsze — dla „zwykłych" wczasowiczów, a więc robotników, woźnych i wszelkich „gorszych gości". Jeszcze w ub. roku można było usłyszeć zwierzenia kierownika domu wczasowego: „To robotnik, odesłałem go gdzie indziej, bo tu czułby się źle i psuł atmosferę naszego domu"*).

Jeden z naszych ministrów (nie pomnę teraz, który) opowiadał, że gdy na zebranie koła partyjnego przyszedł towarzysz-dyrektor, to towarzyszka-woźna zerwała się z krzesła i ustąpiła mu miejsca. A dyrektor uważał to za rzecz naturalną — i ofiarowane krzesło przyjął...

Coraz mniej, ale trafiają się jeszcze — i to dość często — tacy inżynierowie, kierownicy, redaktorowie i dyrektorowie, którzy nie wyzbyli się pańskich, arystokratycznych manier i odnoszą się w sposób lekceważący, nieraz arogancki do robotników czy fizycznych pracowników biurowych. Pokutuje wśród tych inteligentów styl minionej bezpowrotnie przeszłości, tkwi w nich stare, szlachecko-inteligenckie mniemanie o wyższej jakości „ludzi w białych kołnierzykach i z mankietami". Jednemu z drugim na prawdę się wydaje, że urzędnik stemplujący znaczki na poczcie albo kasjerka, której cała umiejętność polega na liczeniu i wypłacaniu pieniędzy, jest czymś lepszym niż robotnik.

W jednym z ostatnich numerów (z dn. 7 b. m.) „Żołnierz Polski" drukuje list nauczyciela, który opowiada o takim zdarzeniu:

Na akademii w szkole powszechnej, w Dniu Kobiet, przemawiał jeden z nauczycieli. Mówił, że jego matka była praczką, która ogromnym trudem wykształciła syna. Otóż, gdy ta matka-praczka przychodziła do szkoły na zebrania rodziców, dyrektor witał się z nią podaniem ręki, ale innych matek rączki, matek „z lepszej sfery" całował z należnym szacunkiem na powitanie. Tak było przed wojną, a teraz...

„Wkrótce wysziiśmy z sali — pisze ów nauczyciel do redakcji „Żołnierza Polskiego". Zatrzymaliśmy się przed szkołą. Mówca (mój kolega) zbliżył się do nas... Przywitał się z ogromną wylewnością, całując w rękę panią kierownikową szkoły, potem z jej osiemnastoletnią córką... a wreszcie, z ociąganiem się i niechętnie, ze stojącą obok starszą-woźną, podając jej dłoń".

„Wszystko jest już właściwie nowe, ale człowiek jest jeszcze stary — kończy list ów nauczyciel. Droga redakcjo, czy nie należałoby rozpocząć walki z tym „starym" w nowych ludziach?

Czy nie należałoby uśmiercić „starego" w naszym życiu?"

Rozejrzyjmy się w okół siebie: czy zdarzenie, opisane przez nauczyciela, jest odosobnionym zjawiskiem — czy też ciągle jeszcze często spotykanym?

* * *

Pański styl naszej inteligencji nie jest tylko sprawą takich właśnie a nie innych manier, nie jest tylko zewnętrzną i drugorzędną — jakby się mogło zdawać — cechą tej warstwy społecznej. Ekskluzywny styl życia sporej liczby naszej inteligencji objawia się jeszcze inaczej i to w skutkach bardzo szkodliwych.

Inżynier, który nie wyzbył się szlachecko - inteligenckich manier, lekceważy sobie opinię robotników na naradach wytwórczych, bimba sobie, gdy mu zgłaszają wynalazki i ulepszenia racjonalizatorów. Przykładem jest tu były dyrektor z Dąbrowskiego Zjedn. Przemysłu Węglowego, Czajkowski, który miał zwyczaj krótko przerwać dyskusję z robotnikami: „Tyś głupi i nic nie rozumiesz", potrafił natomiast z 8 milionów zł., przeznaczonych na remont mieszkań pracowniczych, wydać blisko 3 miliony na apartament dla siebie (pisał o tym w ub. roku „Głos Ludu").

Dotknięty skazą pańskości był ów starosta bielski Barszczewski, który, przeprowadzając inspekcję gminy Grodziec, ani myślał badać warunków ekonomicznych biedoty chłopskiej, ani myślał wdawać się w rozmowy, tylko krótko oświadczył: „krowę sprzedajcie, a podatek zapłaćcie" (pisała o tym katowicka „Trybuna Robotnicza").

Przykładów podobnych możnaby więcej podać. Już te, któreśmy przytoczyli, świadczą, że pański styl życia sporej części naszej inteligencji, jej ekskluzywizm, jej swoisty ghettyzm — według określenia prof. dr. Chałasińskiego — jest zjawiskiem społecznie szkodliwym. Szkodliwym zarówno z punktu widzenia całej naszej zbiorowości, jak i samej warstwy inteligenckiej.

Stara inteligencja wykazała, że może być w wysokim stopniu pożyteczna w państwie ludowym, w czasach rozpadu starego świata kapitalistycznego i tworzenia ustroju socjalistycznego. Niezależnie od tego, że wyrasta i będzie nieprzerwanie wyrastała nowa inteligencja z synów i córek robotniczych i chłopskich — jest miejsce i jest ważna rola do spełnienia dla inteligencji starej, przedwojennej. Ale warunkiem niezbędnym jest tu otrząśnięcie się z dawnych, jeszcze z epoki szlacheckiej się wywodzących cech i przywar — anachronicznych dziś i szkodliwych. Warunkiem jest zerwanie z pańskim stylem, z inteligenckim ghettem — i nawiązanie jak najściślejszej łączności z klasą robotniczą, czołowym oddziałem idącej naprzód epoki.

Przytoczymy tu raz jeszcze min. Minca, który w pełni docenia wkład naszej inteligencji, pozytywnie pracującej w Polsce Ludowej:

Trzeba iść z życiem, przekształcać się, uczyć się, otrząsać ze starych nawyków, otrząsać pył dróg kapitalistycznych ze swych nóg.

Wtedy nie pozostaje się w tyle za życiem, ale znajduje się w nim twórcze zadania i właściwe dla siebie miejsce.

*) Z artykułu Z. Sachnowskiego „Życie Warszawy" z sierpnia 1948 r.



Afisz Światowego Kongresu Obrońco w Pokoju w Paryżu
Rysunek Pablo Picasso

Henryk Kassyanowicz

To nie jest recenzja

LONDYŃCZYCY jako curiosum osobliwe wolności słowa cytują słynne meetingi w Hyde Park. Przyznam się, że na mnie robią one raczej wrażenie ponure. Stoi taki jegomość na zaimprowizowanej trybunie i wydziera się w tłum. Tłum w zależności od talentów krasomówczych mówcy i atrakcyjności poruszonego tematu przyklaskuje, gwiżdże lub zgoła milczy. Po półgodzinnym gadaniu nawet najwytrzymalsi mówcy chrypną, tłum rozchodzi się i wsiąka w ulice — cel został osiągnięty. Człowieczek jest zadowolony, że się wygadał, publiczność wyładowała się opozycyjnie i na tym koniec. Żadnej dziury w niebie, bogacze City mogą nadal spać spokojnie. Pod oknami ich pałacyków przechadza się majestatycznie Bobby i pilnuje. Mówcy z Hyde Parku nierzadko tak świetnie rozpoczęty dzień kończą noclegiem pod którymś z mostów nad Tamizą.

Albo inny szkopuł. W Polsce już po zakończeniu wojny wyświetlano kilka zagranicznych filmów społecznych, problemowych. „Zielona dolina", „Renegat" produkcji angielskiej, „Obywatel Kane" lub „Mr. Smith jedzie do Waszyngtonu" produkcji amerykańskiej. Mówiono mi wtedy: twierdzicie, że produkcja filmowa na zachodzie podporządkowana jest wyłącznie interesom burżuazji, a oto namacalne dowody, że tak nie jest. Przecież tego rodzaju filmy, demaskujące zachłanność możnych i okrucieństwo praw rządzących w t. zw. liberalnej demokracji trudno chyba zaliczyć do rzędu propagandowych tricków burżuazji. Wręcz odwrotnie — w ten sposób burżuazja podcina przecież — wydaje się — gałęź, na której siedzi.

Nieprawda, wcale nie podcina. Jakże bowiem podobne w skutkach jest oddziaływanie na opinię publiczną tego rodzaju filmów do wystąpień przygodnych mówców z Hyde Park! Należą one do arsenału tych środków, przy których pomocy rozładowywane jest niezadowolenie mas. Ludzie znów mają okazję do „poradykalizowania", do ponarzekania na marność tego świata, pointa — zazwyczaj happy end — nastraja ich optymistycznie i... działa jak środek nasenny. Poza tym tego rodzaju filmy, jak np. „Obywatel Kane" lub włoski film „Sciuscia", stanowią znikomy procent całości produkcji kinematograficznej na zachodzie. Natomiast olbrzymi odsetek tej produkcji to komedie, propagujące tak typowy dla USA styl życia, w którym decydują silniejsze łokcie. Inne filmy z gatunku tzw. psychologizujących są w skutkach swych wyrazem gloryfikacji sybarytyzmu życiowego, negacji innych wartości poza dążeniem do zapewnienia sobie maksimum korzyści osobistych, jakie daje majątek, uzdolnienie, talent. Nie wspominam filmów sensacyjnych, których deprawacyjny wpływ na życie w USA został już wielokrotnie udowodniony.

Uogólniając — dziesiąta muza, zaprzęgnięta w rydwan kapitalizmu, doskonale wywiązuje się z zadań, które na nią nałożono. Działalność jej jest zaś tym bardziej niebezpieczna, że nie tylko rozładowuje dynamizm postępu społecznego, lecz degeneruje wręcz idee, które są jego promotorem. Typ działacza robotniczego z filmu „Renegat", jego stopniowe przechodzenie na pozycje prawicy społecznej jest w filmie zręcznie usprawiedliwione. Realizm walki o dobrobyt klasy robotniczej, upersonifikowany w wyglądającym jak Łazarz przywódcy słynnego marszu bezrobotnych na Londyn — robi swoje. Toteż śladem „Renegata" poszła większość przywódców brytyjskiej klasy robotniczej, ale uczciwi nie znajdują naśladowców. Zakończenie: wyrzuty sumienia człowieka, który zdradził swą klasę, są doskonałą partią w filmie, ale nie zawierają pozytywnego oddźwięku społecznego, jeśli idzie o interesy świata pracy. Natomiast bohater filmu „Renegat", Redshaw, ma wiele okazji do propagowania własnych myśli, już to kiedy pochwala przystąpienie Anglii do wojny (mowa o pierwszej wojnie światowej), lub też wtedy, kiedy głosi konieczność wyrzeczeń ze strony klasy robotniczej na rzecz kapitalistycznego państwa. Kalkulowało się rzucić na pożarcie Redshawa, tak jak dziś warto utratą prestiżu Bevina lub Crippsa w szeregach brytyjskiej Partii Pracy opłacić korzyści, które przynosi ich polityka.

Ale artykuł ten nie jest recenzją filmową. Chodziło mi jedynie o wykazanie na konkretnych przykładach w dziedzinie, tak zdawałoby się mało związanej z polityką, że *liberalizm burżuazyjny przy pomocy tego rodzaju metod rozładowuje i zwalcza grożące mu niebezpieczeństwo.*

A czy inaczej dzieje się w dziedzinie prasy? Formalnie w Stanach Zjednoczonych czy Anglii każdy, kto posiada odpowiednie środki, może założyć dziennik i pisać, co mu się podoba. Ale dowodem, że coś w tej wolności musi szwankować, to fakt, że na palcach jednej ręki wyliczyć można dzienniki anglosaskie, które istotnie prowadzą konsekwentną walkę o postęp. Bez ogłoszeń, zwalczane przy pomocy olbrzymich środków finansowych i politycznych — pisma te działają w warunkach klasycznie nierównej konkurencji. Wskaże mi ktoś zapewne, że nawet takie pisma jak „New York Times" lub „New York Herald Tribune" zamieszczają niekiedy artykuły krytykujące rząd i Wall Street. Ale ich radykalizm „na niby" napewno nie nawróci kierownictwa amerykańskiej polityki zagranicznej. Natomiast setki tysięcy inspirowanych przez interesy kapitału amerykańskiego artykułów co dzień urabia opinię publiczną. Pozorna wolność prasy została zachowana, ale z wolności tej korzystają tylko ci, których na nią stać. Sztuka Konstantego Simonowa „Kwestia rosyjska", przedstawiająca koleje losu człowieka, który uwierzył w wolność słowa i w następstwie tego umiera cywilną śmiercią, jest kapitalnym odzwierciedleniem istoty zagadnienia.

W filozofii zadania rozładowania nastrojów antykapitalistycznych podjął się kosmopolityzm, transponowany obecnie na stosunki polityczne — i jest faktem znamiennym, że najbardziej ożywioną działalność na tym polu podjęła socjaldemokracja zachodnio-europejska. Głosząc zmierzch suwerenności narodowej i konieczność podporządkowania jej ideologii „rządu światowego" — przywódcy socjaldemokracji zachodnio - europejskiej popełniają w stosunku do najszerszych mas swych narodów taką samą zdradę, jaką popełnili wówczas, kiedy byli zaciekłymi obrońcami nacjonalizmu przed internacjonalizmem klasy robotniczej. Zmianie uległy tylko hasła propagandowe. *Dziś zniecula się reakcje mas na interesy narodowe, tak jak wówczas przeciwstawiano interesy narodowe międzynarodowej solidarności klasy robotniczej.*

(Dokończenie na str. 4-ej)

Edmund Bora

Pax czy pokój?

Na marginesie artykułu Zofii Starowieyskiej-Morstinowej

PRZYKRA jest sytuacja publicysty, gdy w obronie swoich tez nie tylko nie może korzystać z pomocy faktów, ale musi wręcz walczyć z ich okrutną i bezwzględną wymową. Można, oczywiście, poradzić sobie udając, że się tych faktów nie widzi i pisać swoje, nie oglądając się na nie. Kto jednak szanuje wagę swoich słów i czytelnika, nie może sobie pozwolić na podobne tricki i wtedy staje przed niezwykle trudnym zadaniem. Przed takim zadaniem stanęła właśnie publicystka „Tygodnika Powszechnego", pisząc artykuł Pax (numer z dn. 10 bm.). Poradziła sobie z tym zadaniem w ten sposób, że przedstawiła sumiennie jedną grupę faktów, charakteryzujących imperializm amerykański, przemilczała natomiast fakty, charakteryzujące politykę Związku Radzieckiego i światowego obozu antyimperialistycznego i dokleiła wnioski, sprzeczne co prawda z przytoczonymi przez nią samą faktami, ale zgodne z poglądami, których podjęła się bronić.

Ote fakty, jakie Zofia Starowiejska-Morstinowa sumiennie przytacza dla scharakteryzowania przestępczego ludobójczego charakteru imperializmu amerykańskiego:

„Z tego, co pisze zupełnie cynicznie prasa amerykańska, szmat ziemi, na którym my żyjemy, przestałby w ogóle istnieć. W tych bowiem projektach — rzekomo tak niektórych entuzjazmujących — wyraźnie jest powiedziano, że w trzy dni po ewentualnym wybuchu wojny byłyby zniszczone wszystkie szlaki komunikacyjne wiodące z Berlina do Rosji. Obiecujące prospekty, reklamujące „tę wojenkę", uświadamiają nas, że będzie to zniszczenie porządne, dokładne, takie, że na 10 km. po obu stronach wszystkich linii kolejowych nie pozostanie kamień na kamieniu, nie pozostanie przy życiu żaden człowiek. Inne plany, które mogłyby dać do myślenia amatorom wojny, mówią o stworzeniu „strefy atomowej" między Karpatami a Bałtykiem. Jak wygląda strefa „atomowa", przekonaliśmy się po Hiroszimie. Przekonaliśmy się też, jak humanitaryzm Ameryki umie oszczędzać ludność cywilną".

Tę miażdżącą charakterystykę amerykańskich planów wojennych daje autorka dla zadokumentowania dowodu, że w warunkach polskich i przeciwnicy demokracji ludowej nie mogą być zwolennikami nowej wojny, a mogą na nią liczyć, tylko wariaci. Trudno się z tym poglądem nie zgodzić z tym jednym zastrzeżeniem, że nienawiść niekiedy doprowadza do szaleństwa. Gdyby autorka chciała się ograniczyć do przytoczonych faktów i tylko z nich wyciągnąć odpowiednie wnioski, to musiałaby określić dokładnie swoją pozycję po stronie przeciwnej imperializmowi amerykańskiemu. Radzi sobie w inny sposób.

Występuje z następującym oryginalnym twierdzeniem:

„Zresztą co tu mówić o oszczędzaniu cywilnej ludności. Każdy rozumie, że przy wojnach dzisiejszych, lotniczych, tym bardziej atomowych czy bakteriologicznych jest to frazes pusty bez pokrycia".

Oryginalność tego twierdzenia polega na tym, że autorka przemilcza szereg faktów, których przytoczenie postawiłoby ją w sytuacji bez wyjścia. Przemilcza fakty niewątpliwie jej znane o tym, że Związek Radziecki niejednokrotnie wystąpił z projektem zakazu używania bomby atomowej i zniszczenia istniejących zapasów bomby atomowej.

Stany Zjednoczone propozycje te odrzuciły. Truman zaś niedawno oświadczył, że nie zawaha się przed użyciem bomby atomowej. Pozwolę sobie na dopuszczalne chyba w polemice sformułowanie ewentualnej odpowiedzi „bezstronnego" obserwatora na mój zarzut: 1) Stany Zjednoczone dlatego nie zgodziły się na propozycję sowiecką, ponieważ uważają, że Związek Radziecki nie ma bomby atomowej i dlatego nic nie straciłby militarnie na zakazie używania bomby atomowej i uchwale o zniszczeniu zapasu tych bomb. 2) Stany Zjednoczone uważają, że Związek Radziecki ma albo wkrótce będzie miał bombę atomową, nie ufają jednak Związkowi Radzieckiemu, że lojalnie zastosuje się zarówno do zakazu używania tych bomb, jak i uchwały o zniszczeniu ich zapasów.

I w pierwszym, i w drugim wypadku oblicze humanitarne imperializmu amerykańskiego nie staje się jaśniejsze. W pierwszym bowiem wypadku koła rządzące w USA uważają za dopuszczalne masowe ludobójstwo. W drugim wypadku nikt chyba nie potrafi wyjaśnić, dlaczego Związek Radziecki, posiada bombę atomową, zgadza się na jej zniszczenie, a Stany Zjednoczone się nie zgadzają. Czy ma jakiś sens przypuszczenie, że Związek Radziecki może żywić więcej zaufania do szczerości intencji i prawdomówności rządzących kół amerykańskich, niż te właśnie koła do szczerości Związku Radzieckiego. Nie jest więc prawdą, że „przy wojnach dzisiejszych, lotniczych, tym bardziej atomowych czy bakteriologicznych oszczędzanie ludności cywilnej jest frazesem pustym i bez pokrycia". Prawdą natomiast jest, że TAK UWAŻA amerykański sztab generalny i prawdą również jest, że tak NIE UWAŻA Związek Radziecki i cały obóz antyimperialistyczny.

Zofia Starowieyska-Morstinowa nie mogła tego wniosku wyciągnąć, bo nie mogłaby wtedy kontynuować swojego artykułu.

W dalszym ciągu autorka dowodzi, że nie należy szafować zarzutem t.zw. sympatii amerykańskich. Stwierdza, że zamiłowanie do książek, filmów a nawet paczek amerykańskich, pończoch czy czekolady nie równa się jeszcze nastawieniu proamerykańskiemu. Trudno mi się z tym nie zgodzić, tym bardziej, że sam lubię papierosy amerykańskie. Udowodniwszy jednak to, co nie wymagało dowodów, autorka zręcznie unika odpowiedzi na pytanie, którą stronę należy wybrać: obóz antyimperialistyczny, na którego czele stoi Związek Radziecki, czy przestępczy atomistyczny obóz pod przewództwem USA.

Autorka woli sprowadzić sprawę do geografii i lojalności obywatelskiej. Oświadcza mianowicie, co prawda nie dosłownie, ale okrężnie, że bez względu na sympatie i antypatie geografia wyznaczyła Polsce miejsce określone w polityce światowej, a lojalny obywatel bez względu na swoje osobiste sympatie powinien stosować się do polityki, którą prowadzi rząd zgodnie z położeniem geograficznym kraju.

Nie sądzę, aby można było mieć pretensje do autorki, że w ten sposób zgodnie ze swoim sumieniem i przekonaniem uzasadnia konieczność lojalnego stosunku sfer opozycyjnych do polityki zagranicznej rządu polskiego. Można natomiast wysunąć poważne zastrzeżenia co do tego, że autorka usiłuje nadać, znowu przemilczając pewne fakty, swojemu osobistemu stanowisku cechy absolutnej wszechstronnej prawdy. Nie jest bowiem słuszne, że rząd Polski Ludowej prowadzi politykę ścisłej współpracy i sojuszu ze Związkiem Radzieckim powodując się względami geograficznymi. Czynnik geograficzny jest, rzecz jasna, faktem obiektywnym, ale niemniej oczywistym faktem jest to, że sojusz polsko-radziecki opiera się na identyczności interesów Związku Radzieckiego i Polski Ludowej. Identyczność ta wyraża się nie tylko w stanowisku Związku Radzieckiego do problemu ziem zachodnich Polski, ale również w tym, że Związek Radziecki zainteresowany jest w jaknajpełniejszym rozwoju gospodarczym Polski, że Zw. Radziecki tak jak i Polska we wspólnym froncie z krajami demokracji ludowej i masami ludowymi na całym świecie walczą o ugruntowanie trwałego pokoju i bezpieczeństwa na świecie.

Tego jednak publicystka „Tygodnika Powszechnego" nie mogła powiedzieć. Gdyby bowiem to powiedziała, nie mogłaby napisać i rozwinąć następującego zdania: „...rebusowym pytaniem „pokój czy wojna" objęta jest w tej chwili sprawa Kongresu Intelektualistów w Paryżu. Nie wiem, dlaczego autorka nazywa Kongres Paryski Kongresem Intelektualistów, kiedy jak wiadomo chodzi o kongres zwolenników pokoju, w którym mają wziąć udział obok intelektualistów — przedstawiciele robotników i chłopów z całego świata.

Nie jestem zwolennikiem metody domyślania się tego, czego autor nie napisał, ale wydaje mi się, że autorka może podświadomie pomniejszyła zasięg Kongresu, ulegając sugestii swojej następującej myśli: „Może nastały takie czasy, że głosy uczonych i artystów będą w rozgrywkach międzynarodowych brane pod uwagę. Oby tak było." Autorka, jak widać nie bardzo w to wierzy. Na szczęście, chodzi w tym wypadku nie tylko o kongres myślicieli, ale o kongres, w którym wezmą udział ludzie związani bezpośrednio i w każdej chwili swego życia z setkami milionów tych, którzy albo w myśl planów amerykańskich mają zginąć od bomb atomowych, albo pomagać w mordowaniu. Ci ludzie reprezentują siłę realną, siłę, która udziela się również postępowym myślicielom.

NAJWIĘKSZE jednak zastrzeżenia musi nasuwać nie błąd terminologiczny autorki, ale ostatnia część artykułu, w której występuje jawnie jako reprezentantka obozu — mówiąc najdelikatniej i przestrzegając maksymalnej lojalności — innego niż obóz antyimperialistyczny. I jako reprezentantka tego innego obozu Zofia Starowieyska-Morstinowa poucza:

„Chodzi tylko o to, by w tej manifestacji była naprawdę wyciągnięta ręka do zgody... Bo tę rzecz dla ludzkości najcenniejszą — pokój trzeba kupić. Że trzeba za nią zapłacić, jest jasne. Są ceny, których płacić nie wolno. Tą niedozwoloną ceną jest wyparcie się swoich przekonań, nawet religijnych i przynależności narodowej. Ale można — i należy płacić — monetą wyrzeczenia się ambicji, egoizmu, próżności, sympatii lub afektów, nie raz korzyści materialnych i tę cenę płacić należy".

Z całego tekstu wynika, że właśnie obóz demokratyczny musi „zapłacić" obozowi morderców atomowych i wyrzec się wszystkich przytoczonych powyżej brzydkich cech i skłonności. Stanowisko to tym tylko się różni od stanowiska amerykańskiego, że Amerykanie mówią prościej do roobtników francuskich i włoskich — mówią mianowicie: wyrzeknijcie się walki o socjalizm, bo jeżeli staniecie przed perspektywą objęcia władzy, nazwiemy to agresją wewnętrzną, a wtedy uważajcie, są odpowiednie klauzule Paktu Atlantyckiego.

O stanowisku zaś Stolicy Apostolskiej do Paktu Atlantyckiego, zanim jeszcze został podpisany, mogła się dowiedzieć autorka z orędzia watykańskiego z dn. 12 lutego br. Orędzie to aprobowało „posunięcia, które w celu zapobieżenia niebezpieczeństwu, zmierzają do zjednoczenia narodów w sojuszach coraz ściślejszymi więzami." Jest bowiem faktem, którego zresztą nikt z miarodajnych kół watykańskich nie próbuje nawet ukrywać, że Stolica Apostolska popiera Pakt Atlantycki, pakt tych, którzy — jak podkreśliła sama autorka — zamierzają w razie wojny stworzyć strefę atomową między Karpatami a Bałtykiem.

Przypominam sobie (niestety, niedokładnie) z czasów uniwersyteckich, że w średniowieczu, podczas wypraw przeciw kacerzom mnisi, zapytani, jak przy wyrzynaniu mieszkańców zdobytych miast rozróżniać między katolikami a kacerzami — odpowiadali: zabijajcie wszystkich, a na niebie Bóg oddzieli winnych od niewinnych, wiernych od niewiernych. Możliwe, że to jest anegdota, ale anegdota ta jakoś dokładnie da się dostosować do stanowiska zajętego przez kierownicze sfery watykańskie w sprawie wojny. Bomba atomowa chyba też nie potrafi rozróżniać między katolikami a komunistami. A skądinąd nic nie wiadomo o orędziu Watykanu, potępiającym użycie bomby atomowej. Tak więc w praktyce publicystka „Tygodnika Powszechnego", wbrew najprawdopodobniej jej subiektywnym zamiarom, zajęła miejsce nie między dwoma obozami.

Kierownictwo watykańskie usiłuje i będzie, oczywiście, usiłowało udowodnić, że nie ponosi odpowiedzialności za przygotowanie nowej wojny Że to są sprawy polityczne, na które nie ma wpływu. Powie może ktoś: o ile wojna jest nieunikniona, to cóż Kościół poradzi? Pozwolę sobie jednak przytoczyć słowa Tego, którego setki milionów ludzi czczą jako Zbawiciela: „A Syn człowieczy wprawdzie idzie, jako napisano o Nim: ale biada temu człowiekowi, przez które go Syn człowieczy będzie wydany." (Mat., rodz. 26).

Pozwolę sobie również przytoczyć inne słowa Ewangelii św. Mateusza: „A widząc Piłat, że nic nie pomaga ale większy rozruch się dzieje, wziąwszy wodę umył ręce przed pospólstwem, mówiąc: nie winienem ja krwi tego sprawiedliwego."

Historia, jak wiadomo, nie przyjęła do wiadomości obłudnego usprawiedliwienia wielkorządcy Judei.

Irena Krzywicka

Ludwik Krzywicki w Ameryce*)

RADOŚĆ odjazdu! Pół roku beztroski! Przy całej miłości do żony — pół roku zupełnej swobody. Wędrowny tryb życia i to w małomieszczańskim mieszkanku, w zduszonej oficynie. Ocean, prerie — magiczne słowa, budzące tęsknotę za przestrzenią. I życie odmienne od tego, które zastygło w ustalone formy w starej Europie.

Krzywicki nie był poetą. Jego korespondencje nie dają nam wizji przebywanych przezeń krajów, opisy są przeważnie banalne, ale za to co za odkrywcze spojrzenie socjologa, co za analiza zjawisk życia zbiorowego, co za zrozumienie procesów historycznych i gospodarczych, jakim podlega zwiedzany kraj. To nie są uwagi przelotnego turysty, mające wartość tylko w bieżącej chwili. To jest głębokie zamyślenie nad istotą napotykanych form istnienia, to jest stosowanie niezawodnych metod dialektyki materialistycznej przy ocenie widzianych zjawisk. Wiele z uwag Krzywickiego nie straciło wartości dotychczas. Wielekroć uwagi jego były wręcz jasnowidzące, dziś jeszcze są bardzo ciekawe, a zważmy co to jest lat pięćdziesiąt przy obecnym tempie życia i przemian społeczno-politycznych.

Pierwsze spotkanie z Ameryką jest rozczarowaniem: „Dziwne wrażenie wywarła na mnie Ameryka na wstępie — w najwyższym stopniu nieprzyjemne. Brudy, kurz... wszędzie na głównych ulicach leżą śmiecie, jak u nas w zaułkach. I przestrzenie wzdłuż linii kolejowej są dziwnie zaniedbane... Ze wszystkiego widać, że człowiek ma obfite i bogate siły przyrody do wyzysku, iż nie potrzebuje sobie zadawać pracy, aby gorszą uprawiać glebę".

Oto typowa uwaga. Każde zaobserwowane zjawisko usiłuje Krzywicki tłumaczyć jakąś istotniejszą racją. W tym zaniedbaniu i nieporządku pośpiesznej kapitalistycznej gospodarki tym jaskrawiej występuje inna charakterystyczna jej cecha. Wszędzie, na śmietniskach, w pustkowiach, wzdłuż torów kolejowych reklamy, reklamy, reklamy... Chęć wtłoczenia podróżnemu w głowę jak największej ilości firm, konieczności nabycia najmniej potrzebnych przedmiotów.

Takiego szablonu i na tak wielką skalę nie zdarzało mi się oglądać w starej Europie... Czy możliwą jest w tym morzu koszarowości jakaś istota oryginalna"? I dalej: „W liczbie reklam, które ciągną się na dachach, na murach, na rusztowaniach, wzdłuż kolei zamiejskiej, spostrzegam dzienniki. Wydawanie pisma w Ameryce wyzbyło się wszelkich ideologicznych osłonek, jakimi jeszcze lubi się stroić w starej Europie. Jest to business, niczym nie różniący się od wyrobu proszku do pieczywa. Ba, nie tylko kazalnice publicystyczne są przytułkiem geszeftu. Z okna miejskiej kolei spostrzegam afisz, w którym jakaś świątynia obwieszcza, że nigdzie nie ma tak wzniosłego nabożeństwa".

Jednostajność życia amerykańskiego razi go bezustannie. Powiada dalej: „Nie wiem, skąd powstało wysokie mniemanie o oryginalności Amerykanina. Nic monotonniejszego. Ubiór, umeblowanie, tryb życia są niewolniczo jednakie na całej przestrzeni".

Zwiedzając New York, Krzywicki przygląda się z zamyśleniem ulicom, które skupiają fabrykantów czy handlowców jednej branży. Trochę to przypomina mu miasteczka średniowieczne, gdzie członkowie poszczególnych cechów zajmowali jedną ulicę. „Ale kiedy postawą średniowiecznego zaścianka cechowego była wzajemna solidarność... tutaj tymczasem konkurencja jest siłą skupiającą. Jeden osiedla się przy innym, ponieważ każdy chce kontrolować współzawodników. Niby gromada psów zbiegła się i warczy... Ale nie łudźmy się. Jest to przemijająca już faza rozwoju wielkoprzemysłowego. Współzawodniczące brytany wiążą się dziś w trusty i poole, konkurencję między sobą zamieniają na solidarne węszenie zysków, cena przedmiotów staje się jednaka we wszystkich kantorach".

Tak ten socjolog zwiedza obce miasto. Jego przygoda jest przede wszystkim przygodą intelektualną. Chodzi i myśli, oto jego przyjemność. Byle tylko pożywki dla myśli było jak najwięcej. Toteż jasną jest rzeczą, że interesują go nie tyle ładne widoki albo pałace milionerów, ale przede wszystkim to, co ukazuje społeczne oblicze kraju. Zwiedza dzielnice nędzy straszliwsze jeszcze, niż nędza europejska, bo tu człowiek wyrzucony za burtę jest zupełnie samotny, nie ma oparcia ani o swoje środowisko, ani o bliskich, skoro jest najczęściej wychodźcą.

*

New York nie wystarcza mu jednak, chce zobaczyć jak najwięcej. Wsiada więc do pociągu, którego wygody podziwia zresztą, ale jednocześnie demaskuje pozorny demokratyzm, który tu, jak w wielu innych dziedzinach życia, jest tylko nominalny. W pociągach istnieje niby to jedna klasa, oczywiście dla białych, ale za każde udogodnienie trzeba osobno płacić. „Kiedy jak ślimak siedzę przykuty do tego samego wagonu, kto inny spaceruje po całym pociągu, wysypia się w fotelu, spędza czas na czytaniu gazet w salonie... A jednak nominalnie istnieje tylko jedna klasa".

Zwiedzając osiedla polskie, ogromne skupiska emigracyjne, ubolewa gorzko nad niecną rolą, jaką w nich grają polscy księża: „Kapłaństwo stało się businessem. Był ksiądz, robił spekulacje, rósł w dolary, dzisiaj jest wart kilkaset tysięcy. Przyszedł inny, założył nową parafię i rozpoczęła się zażarta kłótnia... Historia to pełna intryg. Kapłani szli na czele, za nimi, jak trzoda parafianie... Księża są w Ameryce istotnymi kacykami, a wiara ludu pozwala im wszechwładnie panować i robić grosze. Budowa nowej świątyni jest geszeftem. Kapłan z pomocą znajomych skupuje loty... a kiedy kościół stanie i cena ziemi pójdzie do góry, odsprzedaje je z ogromnym zyskiem. Albo kiedy zyska wziętość, robi 10 tysięcy fotografij i sprzedaje sztukę po dolarze. Szkoły są źrenicą w ich oku. Wykładają w nich zakonnice. Nauka stoi niżej wszelkiej krytyki, choć rodzice płacą". Żałosny obraz.

Jedna jest jasna dziedzina w tym skapitalizowanym do cna życiu amerykańskim. To szkoły świeckie. Ze słów Krzywickiego, który wiele miejsca w swych korespondencjach poświęca tym instytucjom, wynika że w Ameryce już przed pięćdziesięciu laty szukano nowych dróg pedagogicznych, że zerwano z martwą rutyną, która do dziś dnia trzyma w kleszczach nauczanie wielu europejskich krajów, że dzięki pieniądzom i inicjatywie poczęto czynić ze szkoły miejsce szczęścia, a nie udręki dla dziecka.

*

Ale czas ruszać dalej, na zwiedzanie chicagowskiej wystawy. Patrząc znów z okien pociągu, robi Krzywicki niezmiernie ciekawe spostrzeżenie:

„Nigdzie na widnokręgu nie widzę wioski: każda chata stoi daleko jedna od drugiej. Przeszłość barbarzyńska nie pozostawiła po sobie zewnętrznego szkieletu dawnej solidarności gminnej w postaci wioskowego skupienia. Od pierwszej chwili człowiek osiedlał się według zasad własności prywatnej i zgodnie z tym budował swoje siedziby".

Wydaje mi się, że w tych paru zdaniach zawiera się tajemnica znaczenia i wpływu Krzywickiego. Widać odkrywczość tego mózgu, któremu proste wyglądanie przez okno w czasie podróży mogło nasuwać tak głębokie i nowe spostrzeżenia. Jakie perspektywy otwiera tych parę zdań!!

Siedząc w słabo oświetlonym, brudnym i niewygodnym wagonie dla emigrantów (czy to dla obserwacji, czy że korespondencje posyłane do Polski nie przynosiły wielu groszy). Krzywicki czyta sobie prospekt reklamujący sławny pociąg dla plutokratów, jakby pragnął do głębi zbadać kontrast panujący między tą magnacką wizją a tym, co go otacza. Zwłaszcza uderza go fakt, że na każdej stacji podają podróżującym milionerom ostatnie sprawozdania giełdowe. „Plutokraci wysyłają odpowiednie rozkazy i nie jeden może, siedząc w pociągu zgarnia miliony". Tymczasem do okien emigranckiego wagonu zaglądają na stacjach wrogie spojrzenia miejscowej ludności i padają wyzwiska. Pożądany materiał roboczy dla tych, co podróżują „Flyerem", jest groźną konkurencją dla osiadłych robotników. „Gdziekolwiek taki emigrant, który jest człowiekiem o niskim poziomie potrzeb, najmniejsza płaca jest dla niego bardzo dobrą, gdziekolwiek taki wtargnie, obniża skalę zarobkową i odbiera zajęcie staremu obywatelowi".

„Ulice bez końca, brudy przewyższające wszelkie pojęcie, okopcone domy, nad nimi atmosfera kurzu, sadzy i pyłu, przez którą przeziera krwawe słońce, nawet podczas upału ślady błota na ulicach. Nie brukowane zaułki, godne jakiegoś Ciechanowa, rzędy wielopiętrowych koszar w środku miasta... Ciężkie powietrze tamujące oddech w piersiach" — oto Chicago końca ubiegłego stulecia. „Wszystkie moje zmysły buntują się przeciwko przeklętym warunkom higienicznym, w których jęczą miliony istot ludzkich". Tak ten socjalista widzi nade wszystko Amerykę kapitalistycznego wyzysku i nędzy. Nie daje sobie zamydlić oczu powierzchownym komfortem.

Jest parę zjawisk, które go zachwycają w życiu amerykańskim, a jedno z nich przeszczepi później na smutną ziemię polską. Jedno, to owo odnowienie pedagogiki, drugie to campingowy styl wakacyjny, specjalnie ponętny dla człowieka, który nigdy nie zerwał żywej łączności z przyrodą, choć zmuszony był żyć w mieście. Trzeci wreszcie, to oświata dla dorosłych, pomoc dawana samoukom. Dla mnie samej było to niespodzianką, że pomysł znakomitego „Poradnika dla samouków", który tak wielką rolę odegrał w naszym życiu kulturalnym w początku XX stulecia i stał się wychowawcą masowym, narodził się w umyśle Krzywickiego właśnie w Ameryce przed 50 laty. W swoich korespondencjach udziela on wiele miejsca uniwersytetowi wakacyjnemu w Chautauqua, gdzie w miesiącach letnich powstawało istne miasto z wykładami, salami koncertowymi i wszelkimi środkami dla ożywienia życia duchowego i wymiany myśli między ludźmi, wszystko w najbliższej łączności z przyrodą. Ciekawam, co współczesna Ameryka zrobiła z tą naprawdę imponującą instytucją, która tak zachwyciła Krzywickiego. W owych czasach nazwa miejscowości Chautauqua była bardzo głośna, dziś jakoś o niej głucho. „Wielotysięczna rzesza, która na łonie przyrody tak osobliwie połączyła odpoczynek z nauką, gimnastykę umysłu z ćwiczeniami mięśni, życie nieraz na pół obozowe z dobytkami cywilizacji" — w owym czasie, gdy Krzywicki zwiedzał to miejsce, powróciła z powodu jesieni już do miasta. Ale myśl sama dopomagania na szeroką skalę samoukom, podjęcia specjalnych dla nich wydawnictw, głęboko zaryła się w umysł podróżującego społecznika i wydała bujne owoce po jego powrocie do kraju.

I jeszcze jedną rzecz spostrzeże ten turysta, któremu niezawodna metoda dialektycznego myślenia pozwala na bystre spojrzenie w przyszłość. Zastanawiając się nad sposobami gospodarki rolnej w tym kraju, wówczas wszelkiej obfitości, widzi już przed pięćdziesięciu laty to, co będzie dziś stanowiło ponurą groźbę dla Ameryki, a co wówczas mogło się wydać nie jednemu śmiesznym krakaniem. Widzi on już w latach dziewięćdziesiątych, że rabunkowy, kapitalistyczny sposób gospodarowania spustoszy żyzną glebę amerykańską, że to rolnictwo bez tradycji i bez myśli przewodniej, bez obywatelskiego stosunku do wspólnego dobra narodowego, obliczone tylko na spieszny, doraźny zysk, stanie się klęską tego bujnego kraju. Wiemy, że dziś mówi się o tym jako o bliskiej i katastrofalnej groźbie.

Z Ameryki powracał Krzywicki wypoczęty i odnowiony wewnętrznie, z zapasem nowych myśli i pomysłów, z afirmacją swojej wartości skoro go przychylnie przyjęto na terenie międzynarodowym, więcej, skoro mu zaproponowano stanowisko naukowe w Buenos Aires. Mógł już był pozostać na tej ziemi nie ograniczonych wówczas możliwości, mógł dobrze zarabiać i doczekać się światowego rozgłosu. Ale opuszczenie biednej, smutnej Polski byłoby dla niego ucieczką z placu bitwy. Wiedział, że ma w niej ważną rolę do spełnienia. I choć czekało go tylko skromne mieszkanko w oficynie, nędzne zarobki, latanie po lekcjach i wykładach, nadmierna praca publicystyczna, ryzyko więzienia i prześladowań policji carskiej — wracał. Nie był z tych, co robią kariery.

*) Fragment przygotowywanej do druku biografii Ludwika Krzywickiego, znakomitego polskiego socjologa i społecznika.

To nie jest recenzja

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Tymczasem właśnie wydarzenia doby obecnej wskazują, że obydwa pojęcia pokrywają się pod warunkiem, że słowo *naród* nie jest utożsamiane z klasą posiadającą. Socjaldemokracja, wskazująca na reformizm jako drogę postępu społecznego, a film, prasa i radio stojące na usługach świadomego opóźniania i wypaczania procesu postępu — są nieocenionymi sprzymierzeńcami kapitalizmu. Cały szkopuł polega na tym, że zadanie to jest coraz trudniejsze. Za „żelazną kurtyną" powstaje nie tylko film ukazujący prawdziwego człowieka, nie tylko drukuje się książki demaskujące metody działalności kapitału, lecz powstają także zręby nowego ustroju, którego wyższość trudno zbyć gołosłownymi argumentami.

Dlatego to wolność słowa odbierana jest skwapliwie w USA tym wszystkim i temu wszystkiemu, co mówi prawdę o ZSRR, o krajach demokracji ludowej, o socjalizmie. Amerykańscy propagandziści usiłują świadomie utożsamiać postęp techniczny z postępem cywilizacyjnym. A nie jest to przecież to samo. Postęp techniczny w rękach monopolistów władzy kapitalistycznej prowadzi do takich wynaturzeń moralnych, jak groźba prezydenta Trumana rzucenia jeszcze raz bomby atomowej. Natomiast Związek Radziecki postęp techniczny wiąże i uzależnia od postępu cywilizacyjnego, widząc w nim czynnik regulujący i przystosowujący postęp techniczny do potrzeb ludzkości.

H. KASSYANOWICZ

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

Zmora bosmana Rybickiego

(Wspomnienia z podwodnego patrolu)

Bosmana Rybickiego poznałem jeszcze na kilka lat przed wojną. W Gdyni był urządzony specjalny kurs dla tych upartych dziennikarzy, którzy okręt wciąż nazywali statkiem, a banderę mieszali rozpaczliwie z flagą, sztandarem, chorągwią i proporcem.

Wreszcie znaleziono sposób na dziennikarzy: oto trzeba ich po prostu nauczyć wszystkiego o morzu, marynarce i okrętach. I tak doszło do tych corocznych kursów w Gdyni, na których bosman Rybicki wykładał zawikłane mądrości o torpedach. Ponieważ byłem jednym z organizatorów imprezy, więc bosman zwracał się głównie do mnie w swoich wywodach, a później chadzaliśmy jeszcze na wódkę. Z roku na rok powtarzały się nasze spotkania, rósł mój szacunek dla tego starego bojowca i świetnego marynarza, a bosman wzajemnie darzył mnie przyjaźnią.

Jednakże Hitler zaczął strzelać, a Polaków nosiło po świecie. Kiedyś więc, w małym miasteczku portowym w zachodniej Anglii, zobaczyłem bosmana, jak stał na baczność z załogą okrętu podwodnego „Sokół", tuż przy burcie okrętu. Wypatrzył mnie w małej świcie generała Sikorskiego. Generał właśnie przemawiał, kiedy spotkały się nasze oczy i mogliśmy się przywitać nieznacznym poruszeniem głowy. W chwilę potem uroczystość była skończona, polska bandera powiała nad nowym okrętem Rzeczypospolitej — i znów mogłem uścisnąć zacną prawicę bosmana.

Minęło jeszcze kilkanaście tygodni, w ciągu których „Sokół" odbył próby i kilka bojowych patroli, gdy mnie wypadało siedzieć nad nieciekawymi memoriałami i „pismami służbowymi" w londyńskim sztabie czyli w tak zwanym ogólnie „Rubensie". Był już maj roku 1941, papierki dokuczyły mi okropnie; wołały słońce, wojna, powietrze wiosenne i pragnienie czegoś innego, niż robota biurowa, mająca przy tym wszystkie cechy jałowości. I wtedy nagle — spadł mi, niczym los — w tej beznadziejnej szarości wojskowego emigracyjnego marazmu — sam Bob, tak, Bob Karnicki, sławny już dowódca „Sokoła" we własnej swej uroczej postaci. Był w nowym kapitańskim mundurze, pewny siebie, wypoczęty po ostatnim patrolu i zuchwały w nadziejach na przyszłość. Musiał wtedy już mieć w bocznej kieszeni munduru rozkaz admiralicji — nowe zadanie w dobrze zalakowanej kopercie, bo z oczu Boba czytałem jak z książki o dawnych korsarzach i piratach: oto ktoś, komu pachnie łup, nowa ofiara niemiecka...

— Bob! — zawołałem — co robisz w tym pensjonacie dla „leśnych dziadków" i emerytów?

— Podobno macie tu polską wódkę i polskie zakąski — odrzekł z prostotą.

Była więc wódka. Po „szóstym" zwierzyłem się Bobowi ze swojego wiosennego smutku, a Bob — z odrazą rozejrzawszy się po brzuchatych i przygarbionych szarżach — oświadczył, że nigdy nie pozwoli, abym tu za żywa zgnił. Po „ósmym" medytowaliśmy już, coby dziennikarz robił w patrolu na okręcie podwodnym, gdyby — tak przypadkiem — znalazł się w jego załodze. Po dwunastym Bob powiedział:

— No więc, jeżeli nie jesteś g....m, to zameldujesz się jutro u mnie w szkole pływania podwodnego w Portsmouth.. służ[illegible]!

— Jeżeli nie jesteś sam g...m, to się nie cofniesz — odrzekłem nalewając nowy kieliszek — [illegible]!

Wyszliśmy chwiejnie, ale pod rękę, jak bracia. Następnego dnia — już w Portsmouth — Bob był zupełnie inny: milczący, zatroskany, rzeczowy... Czekałem jak skazaniec w jego pokoiku, przeżywając wielkie niepokoje — bo to i z „Rubensa" zniknąłem bez opowiedzenia się i na „Sokole" mam znaleźć się bez odpowiednich zezwoleń brytyjskich i polskich — a wreszcie patrole podwodne — żebyście nie wiem co mówili — nie należą do spacerków zwyczajnych. Myślę, że Bob przeklął wtedy naszą pijacką umowę, ale, że był honorny, więc nie chciał się cofać. Kiedy wychodził — mogłem, stanąwszy na oknie — zobaczyć jego — nasz, okręt, przycumowany do nabrzeża o jakieś paręset metrów i wydawało mi się raz, że wśród pracujących nad załadunkiem załogi była i wysoka sylwetka bosmana Rybickiego.

— Ciekawe, co powie, gdy mnie zobaczy? — pomyślałem.

Tymczasem nadszedł Bob. Pod pachą przyniósł zawiniątko, które zaraz zaczął rozpakowywać.

— No, cyrk zaczyna się! — powiedział, rzucając mi po kolei czarne spodnie, kamasze, sweter i wełnianą czapkę.

Zacząłem się przebierać. Mój kawaleryjski mundur zawisł w szafie Karnickiego.

— Bob — powiedziałem — a co z moim mundurem? Przecież służba zobaczy te lądowe rzeczy i na pewno doniesie tutejszemu „inteligentowi" *).

Tutaj Bob zirytował się:

— Nie gadajcie głupstw, jakże tam wam? O, już wiem, nazywacie się po prostu Wojtkowiak, zrozumiano? Jak idę w patrol bojowy, Wojtkowiak, to mam, wiecie gdzie „inteligencję" i sztaby?

— Wiem panie kapitanie — odpowiedziałem, wciągając marynarskie portki.

— No więc... A teraz pamiętajcie: o mnie mówi się „dowódca", o kapitanie Romanowskim „zastępca", a wszystkim innym, jak się pytać będą, odpowiada się: tak...

Tu Bob wyrzekł zdanie bardzo soczyste.

— Ja będę mówił bardziej po literacku — odrzekłem, chowając przybory do golenia w torbie od maski gazowej.

— Jak?

— Będę mówił, na przykład, „dziób ci w rufę", panie kapitanie...

— Dobra jest Wojtkowiak, widzę, że staracie się być dobrym marynarzem... Bierzcie teraz moją walizeczkę i chodu z lądu...

Wyszliśmy na słońce i wiatr.

Do Boba podszedł rudy i tłusty bosman Domicz i powiedział:

— Panie kapitanie, melduję — ładowanie na ukończeniu...

Przejął mnie dreszcz, bo głos bosmana był basowy i ochrypły.

— Dobra jest, Domicz — odpowiedział Karnicki — a tu macie nowego marynarza... Zastąpi tamtego, któremu zaczął gnić... nos... Zaopiekuj się po swojemu naszym nowym kolegą...

Domicz przeszył mnie okropnym wzrokiem i odrzekł poprzez morderczą chrypę:

— Panie kapitanie! Ja g...rzy w patrolu nie potrzebuję! Niech już lepiej pozostanie na lądzie! Będzie więcej i świeżego powietrza na okręcie, panie kapitanie!

— Domicz, to jest mój rozkaz! — powiedział łagodnie Bob.

Wtedy bosman wściekł się — na mnie.

— Jak wasze nazwisko? — ryknął, — jak się nazywacie!

Zameldowałem się, że jestem marynarz Stanisław Wojtkowiak.

[illegible]

*) Intelligence Service.

— Jaki z was marynarz — wrzasnął — przecież widzę cię na wylot, aniołku! Takiś ty marynarz, jak ja baletnica! Marsz mi zaraz na dziób i myć podłogę, pókim dobry. Marynarz! Patrzcie go! Zobaczymy, co z was będzie za marynarz! Marsz!

Wlazłem do środka okrętu i zacząłem myć podłogę w pomieszczeniu na dziobie, gdzie każdy mnie potrącał i zadeptywał moje pierwsze dzieło — metr wymytej przestrzeni. Nagle ktoś stanął nade mną i zapytał spokojnie, a uprzejmie:

— Czy to wy jesteście ten nowy?

Podniosłem się i zobaczyłem mojego kochanego bosmana Rybickiego.

— Tak jest panie bosmanie — odpowiedziałem.

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę: ja serdecznie, on z jakimś dziwnym pomieszaniem. Nie poznawał mnie — choć znał!

Uśmiechnąłem się mimowoli.

— Jak się nazywacie? — zapytał nagle Rybicki, jakby przestraszony, że mu ucieknę.

— Marynarz Wojtkowiak Stanisław, panie bosmanie! — odrzekłem służbiście.

Rybicki wpił się we mnie oczami:

— Wojtkowiak? Znacie mnie? Skąd ja was??? Skąd wy mnie??? Jak wam? Wojtkowiak? To nie może być!

— Tak jest, panie bosmanie!

Teraz Rybicki zaczął się śpieszyć. Był on, jak się dowiedziałem później p. o. oficera wywiadu na okręcie i zatem odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo. Mieliśmy już wyruszać. Trzeba było więc jak najprędzej wyjaśnić tajemnicę dziwnego znanego — a jednocześnie nieznajomego nowego marynarza. Nie poznał mnie w przebraniu, ale wiedział, że przecież zna mnie dobrze, doskonale!

— Słuchajcie powiedział — nie bujać! Znacie mnie tak? Z Gdyni?

— Tak jest, panie bosmanie!

— Wiecie, jak się nazywam?

— Pan jest bosman Rybicki, panie bosmanie!

— No widzicie, ja was też znam. Ale wy — wy nie jesteście Wojtkowiak. Gadajcie mi zaraz, jak się nazywacie!

Postanowiłem nie poddawać się i nadałem głosowi ponure brzmienie:

— Panie bosmanie! Proszę mnie nie obrażać!

— Jaka tam obraza! Gadajcie mi prawdę zaraz! Jesteście z czynnej służby, czy z rezerwy?

— Z rezerwy, panie bosmanie...

— Gdzie byliście marynarzem? Gdzie pływaliście?

— Na Adriatyku, panie bosmanie — odrzekłem bezczelnie.

— Na jakim statku?

— Na... „Jaskółce"...

— Na jakiej znowu „Jaskółce"? Co to za statek?

— To był mój własny szkuner, panie bosmanie. Przemycałem na nim... przemycałem narkotyki, panie bosmanie!

Rybicki nagle spoważniał.

— Powiesz prawdę, czy nie? — zapytał szeptem, nachylając się do mnie.

Zamiast odpowiedzi, zabrałem się znów do ścierek i podłogi. Bosman stał nade mną dłuższą chwilę, jak kat nad grzeszną duszą, a później widziałem, jak obserwuje z daleka moją robotę. Byłem już pewny, że nie odnajdzie skojarzeń, które mu się wymknęły, że nie otworzy pamięciowych komórek, nagle zatrzaśniętych przez ten zbieg okoliczności, że zobaczył mnie już na okręcie, myjącego podłogę, w roboczym ubraniu marynarza. Jak tu nawiązać do Gdyni i wykładów, do Turynu i do świty generała Sikorskiego, kiedy Rybicki zaczął od razu szukać pamięcią po koszarach marynarki w Plymouth i w [illegible]...

Rozpoczął się więc pamiętny dla mnie rejs do naszych sektorów na morzu Biskajskim. Przez pierwsze dni walczyłem z ogromnymi trudnościami, szczególnie podczas nocnych wynurzeń, kiedy marynarz na sterze kierunkowym miał jednocześnie do obsługi rurę głosową z pomostu i małą centralkę telefoniczną, a oprócz tego sygnalizację świetlną do torpedowni. Byłem w wachcie drugiej. Do centrali przechodziłem zawsze od dziobu, gdzie mieliśmy nasze pomieszczenie i zwykle od razu trafiałem oczami na wlepione we mnie spojrzenie Rybickiego, który rządził maszynownią. Czasem już w drodze, mijając małą kabinkę starszych podoficerów, czułem jak odprowadza mnie uczuciami kota, któremu nie wolno połknąć myszy. Kiedyś, na nocnej obserwacji, pochwalił mnie szeptem Bob:

— Spisujesz się dobrze — powiedział szeptem — marynarze lubią cię już. Tylko Rybicki uparcie cię podejrzewa... Czy znał cię dawniej? Aha, znał i nie poznał... Rozumiem, że ma klina nie lada!

PO tygodniu awansowałem na ster przedni głębokościowy, a bosman Domicz przywołał mnie:

— No, który tam z was idzie, aniołku? Wojtkowiak? Dobra jest, Wojtkowiak! Wcale nie jesteście takim g...em, jak myślałem początkowo, Wojtkowiak. Jeszcze miesiąc — dwa takiej służby, a zostaniecie u mnie starszym marynarzem... No, napijcie się czareczkę rumu, należy się wam...

Napiłem się.

Domicz patrzył na mnie z aprobatą.

— Taki, jak wy, Wojtkowiak, może zajść u mnie daleko. Nie mogę odmówić wam prawa walki o Ojczyznę, Wojtkowiak! Bardzo w porę zauważyliście ten ścigacz niemiecki nocy wczorajszej! I sterowanie już nieźle wam idzie! A najważniejsze, że oduczyliście się tego głupiego stukania obcasami, to bardzo dobre w wojsku, ale nie na okręcie podwodnym! !

— Jakoś się robi, panie bosmanie! — odpowiedziałem skromnie.

I tak monotonnie wlókł się — to znów pędził wydarzeniami groźnymi, jak górski, nagle wezbrany potok — nasz patrol bojowy na Biskaju. Pod bombami głębinowymi niedaleko La Rochelle bosman Rybicki patrzył szczególnie przenikliwie, czy dostatecznie szybko i sprawnie operuję sterem głębokościowym, a innym razem, kiedy popsuł się silnik steru kierunkowego i wypadło mi sterować ręcznie, a bardzo mozolnie, z rufy, siadł przy mnie na dwie bite godziny i niby doradzał to znów filozofował przyjaźnie, ale w gruncie rzeczy pilnował, żeby mu „niebezpieczny ptaszek" nie zrobił sabotażu w tym jedynie pozostałym mechanizmie sterującym. Załoga maszynowa nic nie miała do nas, a tym bardziej jej szef, ale przecież budząc się kiedyś w moim hamaku, napotkałem zawieszone nade mną oczy Rybickiego: były aż tragiczne w swojej na poły groźnej, na poły błagalnej wymowie — były oczami kogoś straszliwie głodnego, a jednocześnie zdecydowanego. Bosman próbował w ten sposób przedrzeć się przez zaporę nagłego zagubienia tego wszystkiego, co wiedział przecież podświadomie z całą pewnością o mnie — że zmieniłem imię i zajęcie, że nie jestem ani marynarzem, ani „Wojtkowiakiem". Ale z mojej sennej gęby nie odcyfrował zapomnianej prawdy, widocznie zawikłał się zbyt daleko od skojarzeń, które by mogły mu w jego rosnącym kłopocie dopomóc — przeciwnie, oddalał się od właściwej drogi rozwiązania męczącej zagadki. Aż wreszcie zaatakował nas samolot i Karnicki, po wielu manewrach oddaliwszy się od miejsca, w które leciały bomby, wyszedł na peryskopowe wynurzenie i daremnie usiłował rozpoznać napastnika. Rzuciwszy zaaferowanym wzrokiem po obecnych, nagle zobaczył mnie.

— Wojtkowiak — powiedział — podobno... znacie się na samolotach. Chodźcie no tu, może rozpoznacie...

Przed stwierdzeniem, że samolot był niemieckim Dornierem nowego typu, zauważyłem, jak bosman Rybicki nagle odwrócił się od nas i szybko odszedł do siebie. Gest był tak porywczy, a jednocześnie wymowny w swej irytacji, że Bob uśmiechnął się, choć bomby zaczęły spadać bliżej.

W niezapomnianym nigdy dniu kończył się nasz patrol. Był świt, jeszcze szary, kiedy okręt powracał do bazy. Czy obliczenia zrobiono trafnie? Czy — po kilku dniach pod wodą i po tylu bezgwiezdnych nocach na zanurzeniu w drodze powrotnej — nie popełniono błędu? Czy nieprzyjaciel nie wykrył naszej obecności na tych wodach, albo nie zdobył jaką drogą wiadomości o miejscu i godzinie wynurzenia powracającej wyprawy podwodnej? Czy jakiś przypadek w ostatniej chwili zawsze możliwy — nie uwikła nas w przysłowiowe utonięcie na brzegu — po przebyciu morza?

Wyniosłem kubeł śmieci na pomost i Karnicki skinieniem głowy pozwolił mi zostać. Rozumiał dobrze, że jeśli jego ryzyko ma się opłacić, jeśli w mojej przyszłej powieści ma znaleźć się realny — nie laicki — opis życia na okręcie podwodnym — to muszę widzieć i ten powrót, przebyć chwile ostatnie eposu, jakim jest każdy podwodny patrol. Szliśmy szybko naprzód, wpatrzeni w szarość przed nami.

— Która godzina? — pytał często dowódca, a marynarz z chronometrem w ręku meldował. Obok czekał w pogotowiu sygnalista.

— Zaczynamy nadawać nasz znak rozpoznawczy! — powiedział w pewnej chwili dowódca.

Sygnalista zaczął pracować na swej lampie, a my wpiliśmy się oczami w nie widoczny horyzont, czekając na odpowiedź mających nas spotkać francuskich trawlerów. Gdzieś daleko, w pokoju operacyjnym Admiralicji brytyjskiej, jakaś „wrenka" — angielski kobieta-marynarz — już otrzymała meldunki o uchwyceniu nas przez nadbrzeżne „radary" i już teraz dyżurni komandorzy znali nasze położenie na mapie wód. I już dodawano ostatnie tajne depesze do niezliczonych lotniczych, morskich i wywiadowczych raportów, składanych w wydziale operacji bieżących w teczce opatrzonej tytułem „patrol nr. N, „Sokół"...

Ale my byliśmy jeszcze w niepewności, czy nie zniosły nas prądy wodne i powietrzne, czy jesteśmy ściśle w tym miejscu, w którym być należało według rozkazu z przed trzech tygodni. I żaden sygnał nie przychodził do nas z nie wiadomo co tającej zasłony mgieł i wód.

Nagle obok mnie stanął bosman Rybicki — bodaj po raz pierwszy opuściwszy wnętrze okrętu. Wziął kilka głębokich oddechów ożywczego powietrza i widocznie nie poznając mnie zapytał:

— Odpowiedzieli już, czy nie?

— Jeszcze nie — odpowiedziałem, wpatrzony z napięciem w coraz bardziej jaśniejące wody.

— A my długo już nadajemy?

— Dobre pięć minut chyba...

Po chwili milczenia Rybicki nagle zapytał:

— No, i jak się panu podoba podwodny patrol r e d a k t o r z e?

Oniemiałem.

— Kiedy pan mnie poznał?

— A wtedy, kiedy dowódca zawołał pana do peryskopu... Piorun we mnie nagle strzelił, jak wówczas zobaczyłem pana, jakby po raz pierwszy na okręcie... tylko pan wziął te rączki peryskopu — i zaraz poznałem, że to jeden z was... dziennikarzy! I już wiedziałem, gdzie szukać pamięcią...

— Sygnał, sygnał! — zawołano naraz na pomoście.

Istotnie, witano nas z oddali. Pomiędzy sygnalistami rozpoczął się teraz istny wyścig świetlnej gadatliwości.

Zdzisław Sachnowski

Dlaczego sprawa nie została załatwiona?

PRZEPROWADZIŁEM ostatnio kilkanaście rozmów z pracownikami większych i mniejszych biur, instytucji i urzędów zarówno w Warszawie jak i na prowincji. Chodziło mi o ustalenie, gdzie leży źródło zjawiska określanego w potocznej mowie mianem biurokracji, co jest przyczyną, że kwestie zwyczajne i poste w tyglu czynności zwanych „urzędowaniem" przemieniają się nieraz w trudne, skomplikowane i zjeżone trudnościami. Że proces „załatwiania" życiowych spraw człowieka tak często nie nadąża za życiem i jego potrzebami.

Spośród licznych na ten temat, mniej lub bardziej interesujących, opinii kilka wydało mi się godnych uwagi.

Jedną z nich sformułowała młoda urzędniczka, zatrudniona w wielkiej centrali przemysłowej, w dziale, którego pracownicy posiadać muszą pewne kwalifikacje fachowe. Jak się okazało już po krótkiej rozmowie, była zupełnie dobrze zorientowana w zakresie czynności wykonywanych przez swoją centralę, twierdziła również, iż zna przyczyny tworzenia się w biurze poważnych nieraz zaległości.

— Po prostu dlatego tak się dzieje, powiedziała, że jedni urzędnicy są przeciążeni pracą i jeszcze biorą godziny nadliczbowe, a inni znów, nic, albo prawie nic nie robią, rozmawiają, czytają ukradkiem książki i ledwo starczy im cierpliwości, aby doczekać końca urzędowania.

— Więc po prostu zła organizacja pracy?

— Nie tylko to — odpowiedziała. Ci, którzy robią za siebie i innych, to są przeważnie starzy przedwojenni urzędnicy, zazdrośnie strzegący swej pracy i swych umiejętności przed wglądem młodych świeżo zaangażowanych do biura. Boją się pewnie, żebyśmy się nie nauczyli tego, co oni robią i nie zajęli później ich miejsc. A przecież my dobrze orientujemy się, że to nie są żadne wielkie mądrości i gdyby czynności odpowiednio podzielić pomiędzy wszystkich pracowników, nie byłoby zaległości, wszystkie wyliczenia byłyby w porę wykonane, a wszystkie listy wysłane na czas.

— Próbowaliście zwrócić się w tej sprawie do swych zwierzchników?

— To nie jest takie proste. Właśnie ci, którzy tak jak powiedziałam postępują, są przeważnie naszymi zwierzchnikami. Trzymają się razem, twierdzą, że są niezastąpieni i że nikt lepiej od nich roboty nie potrafi wykonać. A do dyrektora dostać się nie łatwo: wciąż albo na konferencji albo poza biurem.

*

Inaczej ujął zagadnienie referent instytucji, mającej stały i ożywiony kontakt z interesantami, instytucji, dodajmy, nie cieszącej się szczególną sympatią wśród ludności. Właśnie z powodu przewlekania nieraz miesiącami różnych spraw, napływających codzień w wielkiej ilości.

Referent był starej, przedwojennej daty i jak wywnioskowałem z rozmowy, bardzo rygorystycznie traktował procedurę urzędowania.

— Cóż proszę pana, powiedział, — wszystko musi być jak należy. Jeśli podanie wypełnione jest zgodnie z przepisami i czytelnie, wszystkie załączniki w porządku, nie ma żadnych niedokładności, opłaty zostały uiszczone i marki stemplowe nalepione, nadaje się zgodnie z regulaminem bieg sprawie i petent w odpowiednim czasie otrzymuje odpowiedź.

— Czy długo trwa załatwienie takiego nie budzącego wątpliwości podania?

— Dwa, czasem trzy tygodnie. Przecież urzędowanie wymaga swego czasu, akta muszą przejść przez wszystkie instancje, a gdyby przez niedopatrzenie zabrakło jakiegoś podpisu czy pieczątki, dokument mógłby stracić swą moc i później wszystko trzeba by zaczynać od nowa.

— A nie myślał pan kiedy o możliwościach skrócenia procedury, przyśpieszenia biegu papierków, wprowadzenia uproszczeń w załatwianiu klientów?

Spojrzał na mnie z prawdziwym oburzeniem.

— Co też pan mówi, jak to jest w ogóle możliwe, to jest urząd, tu musi być wszystko w porządku, tu nic przyśpieszyć nie można!

Był wyraźnie zdumiony i dotknięty moim pytaniem. Widać było, że nie potrafi nawet sobie wyobrazić prostszych i bardziej życiowych form urzędowania.

Następny mój rozmówca, z instytucji państwowej, wydającej zezwolenia i opinie, okazał się urzędnikiem posiadającym znacznie krytyczny stosunek do pracy w swym biurze. Stwierdził też, że widzi w niej wiele niedomagań. Ich źródło leży, jego zdaniem, przede wszystkim w dziwnej i nieuzasadnionej obawie pracowników przed samodzielnym zdecydowaniem jakiejś sprawy.

Obawa przed wzięciem na siebie jakiejkolwiek odpowiedzialności powoduje, że nawet urzędnik, który ma całkowitą możność powzięcia samodzielnej decyzji, w razie najmniejszych wątpliwości odwołuje się do swojego zwierzchnika, który zresztą często również nie czuje się kompetentny do ostatecznego rozstrzygnięcia spornej kwestii. Po prostu również boi się odpowiedzialności. W ten sposób wiele prostych spraw, które z powodzeniem mógłby załatwić referent, wędruje aż do ministra.

Czasem obawa przed wzięciem na siebie odpowiedzialności doprowadza wprost do nonsensów. Znam wypadki, w których tego rodzaju „problem", jak użycie takiego czy innego słowa w formularzu ankietowym, jest przedmiotem wielotygodniowych rozważań (autentyczne). O ostateczną decyzję urzędnicy zwracają się do samego dyrektora. Krótko mówiąc coś w rodzaju choroby, na którą cierpi większość urzędników, choroby trudnej zresztą do wyleczenia.

*

Z innej strony oświetlił problem urzędowania dyrektor departamentu jednego z ministerstw, człowiek zapracowany ponad miarę, przesiadujący w biurze po 12 godzin i więcej na dobę, przeważnie również w niedzielę.

Gdy zadałem mu pytanie, co na jego stanowisku najbardziej utrudnia mu pracę, odpowiedział bez wahania: dziesiątki wizyt i telefonów od osób znajomych lub powołujących się na znajome mu osoby, które proszą, aby w drodze wyjątku załatwić im tę czy inną sprawę. Często zresztą nie wchodzącą w zakres obowiązków departamentu.

— Gdybym chciał istotnie wykonać wszystko, o co występują ci hołdujący systemowi protekcji petenci, nie znalazłbym w ciągu dnia godziny na wypełnienie niezbędnych czynności, należących istotnie do moich obowiązków. Przeważnie też odmawiam, jednak z niektórymi przynajmniej ludźmi muszę porozmawiać i wytłumaczyć im przyczyny odmowy, co również przecież zajmuje sporo czasu, straconego najzupełniej zbędnie.

— Na drugim miejscu—mówił—postawiłbym konieczność osobistego załatwienia licznych drobnych kwestii, które napływają codzień na moje biurko, a które z powodzeniem mogłyby być rozstrzygnięte przez podległych mi urzędników.

W 99 proc. wypadków chodzi tu o decyzje odmowne. A któż lubi odmawiać? Niech więc to robi dyrektor.

Wreszcie obowiązki reprezentacji. Jakoś daję sobie z tym radę: w dziewięciu na dziesięć wypadków po prostu uchylam się od przybycia. Gdybym jednak chciał sprostać wszystkim zaproszeniom wszystkich instytucji, kół, związków, organizacji, komitetów itp. „mających zaszczyt prosić o wzięcie udziału" — o urzędowaniu w ogóle nie mogłoby być mowy. Znam wyższych urzędników, którym zmora czynności reprezentacyjnych uniemożliwia jakąkolwiek normalną pracę.

*

Przedstawione przez moich rozmówców opinie prawdopodobnie w znacznej części słuszne, nie wyczerpują, oczywiście, całości tych czynników, które na wszystkich szczeblach urzędowania utrudniają, komplikują i przedłużają tok pracy, wywołując pośrednie czy bezpośrednie zjawisko określane mianem biurokracji. Niewątpliwie trzeba by tu jeszcze dodać takie objawy, jak zwyczajne lenistwo, chęć pokazania interesantowi przez urzędnika swych możliwości i swej „władzy", brak kontroli ze strony kierownictwa biur i urzędów i jeszcze wiele innych.

Przy rozpatrywaniu tego zagadnienia trzeba również wziąć pod uwagę bardzo przeważnie ciężkie warunki lokalowe wielu instytucji, złą sytuację mieszkaniową urzędników, przemęczenie dojazdami do miejsca pracy, co odbijać się musi ujemnie na wypełnianiu przez nich obowiązków. Także niedostateczne wyszkolenie części personelu biurowego.

Sprawiedliwość wymaga stwierdzenia, że mimo to wszystko w wielu instytucjach sytuacja, jeśli idzie o sprawność i organizację pracy, uległa znacznej poprawie. Nie mniej w znacznej części urzędów i to właśnie tych, z którymi szerokie rzesze ludności posiadają najczęstszy i najbardziej bezpośredni kontakt, nadal pokutuje przedwojenny styl pracy — bezdusznego, mechanicznego „odwalania kawałków".

Wydaje się, że nadszedł już czas, aby wielki przełom, który dokonał się w innych działach gospodarki narodowej, znalazł również swój dobitny wyraz w działalności administracji, samorządu oraz instytucji uspołecznionych. Aby wspaniałe osiągnięcia robotników z fabryk, hut i kopalni otrzymały swój odpowiednik w nowych, udoskonalonych i usprawnionych formach działania instytucji, biur i urzędów, w nowym stylu pracy wielkiej armi urzędniczej.

Bazie



Wiosna, wiosna jest nareszcie.

Edmund Osmańczyk

Handel polsko-niemiecki

Od własnego korespondenta API dla „Rzeczypospolitej"

Berlin, w kwietniu.

DNIA 29 ub. m. w Berlinie podpisana została umowa handlowa między Polską a Niemcami Wschodnimi. Jest to, formalnie biorąc, pierwsza umowa polsko - niemiecka po wojnie. Dotychczasowe stosunki handlowe układały się w drodze umów między Polską a władzami okupacyjnymi Niemiec. Tak więc w roku 1946 Polska zawarła umowę z władzami radzieckimi Niemiec Wschodnich na sumę 14 milionów dolarów, w r. 1947 na sumę 22 milionów dolarów, w r. 1948 na sumę 56 milionów dolarów, podwyższoną we wrześniu tego samego roku o dalsze 28 milionów dolarów. W roku 1948 w Niemczech Wschodnich nastąpiła zasadnicza zmiana. Radzieckie władze okupacyjne przekazały administrację gospodarczą pięciu krajów strefy sowieckiej władzom niemieckim, powołując w tym celu Niemiecką Komisję Gospodarczą z siedzibą w Berlinie (Deutsche Wirtschaftskommission. Jednocześnie Niemiecka Rada Ludowa na wniosek SED uchwaliła dwuletni plan gospodarczy.

14 grudnia 1948 r. Józef Orlopp, kierownik departamentu handlu między strefowego i zagranicznego Deutsche Wirtschaftskommission, wygłosił na posiedzeniu Niemieckiej Rady Ludowej programowe przemówienie na temat przyszłości niemieckiego handlu zagranicznego. Orlopp oświadczył wówczas m. in., co następuje:

„Jeśli nasza ogólnoniemiecka polityka handlowa ma być uwieńczona sukcesem, to musi oprzeć się ona o przyjazną współpracę z narodami Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Każdy Niemiec, który pragnie polepszenia naszego bytu i utrwalenia niezbędnego dla nas pokoju musi dążyć do nawiązania przyjaznych stosunków z tymi narodami, aby stworzona została podstawa dla zawarcia traktatów handlowych. Narody te muszą jednak zyskać przekonanie, że nie dążymy do odbudowy dawnych faszystowskich Niemiec, pragnących nowych wojen zaborczych, lecz chcemy odbudować Niemcy demokratyczne, pracujące wyłącznie dla pokoju.

Po referacie Orloppa Niemiecka Rada Ludowa przyjęła uchwałę treści następującej:

„Ogólnoniemiecka polityka handlowa oparta być musi na przyjaznej współpracy ze wszystkimi narodami ZSRR i krajów demokracji ludowych. Wschód, posiadający ogromne rynki zbytu Wschód coraz bardziej się uprzemysławiający i stale podnoszący swój standard życiowy, jest właściwym partnerem niemieckiej gospodarki. Każdy Niemiec, który uczciwie pragnie pokoju, winien starać się o przywrócenie dobrych stosunków sąsiedzkich z narodami wschodu i południowego wschodu, aby została stworzona podstawa do zawarcia traktatów handlowych, polepszających standard życiowy narodu niemieckiego. Warunkiem ścisłej współpracy gospodarczej między demokratycznymi Niemcami a narodami wschodu i południowego wschodu jest stworzenie pewności tym narodom, że nigdy już nie zostaną napadnięte przez Niemcy. Olatego też konsekwentna demokratyzacja Niemiec jest warunkiem również i gospodarczej odbudowy Niemiec".

29 marca 1949 roku Polska podpisała umowę handlową z Niemcami Wschodnimi na rok 1949 na sumę 152 milionów dolarów. W ogólnym bilansie handlu zagranicznego Niemiec Wschodnich Polska zajmuje obecnie drugie miejsce po Związku Radzieckim. Po raz pierwszy partnerem podpisującym umowę była Niemiecka Komisja Gospodarcza, reprezentowana przez prezydenta Komisji Heinricha Raua i Józefa Orloppa.

Umowa jest gospodarczo korzystna dla obu stron. My otrzymujemy brakujące nam obrabiarki, maszyny drukarskie, maszyny tekstylne, maszyny do szycia, wyroby elektrotechniczne i elektro - medyczne, aparaty fotograficzne, chemikalia, przybory sportowe i instrumenty muzyczne. Niemcy w zamian otrzymują węgiel, koks, metale kolorowe, żelazo i żywność.

Umowa jest również politycznie korzystna dla obu stron. Dla Polski najważniejszą sprawą jest demokratyzacja Niemiec i za tym idący uczciwy stosunek Niemiec do Polski, uznanie Konferencji Warszawskiej. Z chwilą, gdy w Niemczech Wschodnich umacniają się siły demokratyczne, walczące „o konsekwentne przeprowadzenie postanowień Konferncji Warszawskiej", poparcie gospodarcze i polityczne Niemiec Wschodnich leży w naszym gospodarczym i politycznym interesie. Postawmy jeszcze kropkę nad „i", stwierdzając: rozwój demokratyczny Niemiec Wschodnich wobec rozwoju faszystowskiego Niemiec Zachodnich przesuwa granicę naszego bezpieczeństwa z Odry i Nysy na granicę Łaby. Dla Warszawy oznacza to oddalenie niebezpieczeństwa agresji faszystowsko - niemieckiej o 700 km., gdy w roku 1939 odległość wynosiła 70 km.

Z tych względów pierwsza umowa handlowa polsko - niemiecka po wojnie zasługuje na uwagę.

Lech Pietrzak

Amerykanin w kopalni

Reportaż z Zagłębia

Zagłębie, w kwietniu.

Zbliżała się godzina czwarta. Dom Górnika z poczerniałej cegły moknął w ulewie, podobnie jak i całe Zagłębie, nad którym rozsiadły się podwójne chmury: deszczu i dymu.

Towarzyszący mi Amerykanin pytał niedawno, dlaczego tutejsze domy są szare, czarne, albo brudno-czerwone. Amerykanin miał na sobie miłe dla oka, jasne „burberys" i widziałem, jak w miarę moknięcia na deszczu, po jego „burberys" spływają czarne strużki wody. Zanim doszliśmy do Domu Górnika, jego jasny płaszcz stał się brudno-szary, bo węgiel jest tu nie tylko pod ziemią. Jest wszędzie: na ziemi, w powietrzu, w płucach i w kroplach deszczu.

Amerykanin nie pytał już, dlaczego tutejsze domy nie mają koloru miłego dla oka.

*

W sali Domu Górnika było ciasno i mroczno od dymu z kiepskich papierosów. Na scenie, za stołem (nazwijmy go prezydialnym) siedziało kilku mężczyzn. W środku zajmował miejsce człowiek małego wzrostu i chyba tylko ten wzrost odróżniał go od reszty górników. Zgarbiony, trzymał ręce na stole. W świetle lampy widać było jego zgrubiałe w stawach palce. Zagaił naradę wytwórczą.

— Kto to jest? — zapytał Amerykanin.

— Dyrektor kopalni.

— To jest dyrektor?

— Tak. U nas zdarzają się tacy dyrektorzy. Coraz częściej się zdarzają...

Zrobiłem mu krótki wykład o dyrektorach, którzy do niedawna byli górnikami. Słuchał i kiwał głową. Potem, po zebraniu, miał rozmowę z dyrektorem. Mniej więcej taką:

— U nas — mówił Amerykanin (wyraźnie chcąc „naciągnąć" dyrektora) — też byli tacy dyrektorzy. Widzieliście nasze filmy. Czyścił taki buty i został... dyrektorem. Sprzedawał gazety i został dyrektorem. Ot tak, ze środy na piątek. U nas każdy może być dyrektorem — rzekł, mrugając do mnie.

— O ile ma grubszą forsę — wtrącił dyrektor.

— U nas są tacy z grubszą forsą.

— Są tacy, pewnie. Ale są tacy, co giną w nędzy.

— To ich sprawa.

— A u nas — to nasza sprawa...

*

Nasza, nasze, naszym... — oto przymiotniki, które ciągle przewijały się w czasie narady wytwórczej.

— Na naszej kopalni będzie wtedy lepiej, kiedy będzie mniej obijaczy, a więcej ładowaczy — wywodził jakiś górnik na marginesie referatu o wydajności.

— Naszą bolączką jest brak kabli do wiertarek, brak łańcuchów, brak...

— Nasza kopalnia musi wykonać przyrzeczenie majowe, bośmy tak uchwalili...

— W naszym węglu nie może być ani kawałka kamienia...

*

Amerykanina bardziej interesuje narada, niż mnie. On widzi to po raz pierwszy w życiu, ja po raz pewnie dziesiąty. Dlatego ja drzemię, a on często trąca mnie łokciem i prosi, żeby mu wytłumaczyć to, czego nie rozumie.

— Dlaczego ten górnik tak krzyczy?

— Dlatego — tłumaczę — że na zeszłej naradzie obiecano mu dostarczać do jego chodnika drzewo do budowy trzy i półmetrowej długości, a nie jak dotychczas, czterometrowej. Obiecali, ale on znowu dostaje czterometrowe. Krzyczy więc, że się marnuje pół metra drzewa na każdym słupie, bo te pół metra musi obciąć.

— Ale dlaczego krzyczy?

— Dlatego, że go cholera bierze.

— U nas by nie krzyczał.

— Bo chyba macie drzewa do diabła i trochę.

— Nie. Bo kopalnia jest mr. Smitha...

*

Narada trwała długo. Ze cztery godziny. Przez te cztery godziny mówili górnicy, sztygarzy i dyrektor. Każdy oddział po kolei „wygarniał" swoje braki i bolączki. Ze strony górników nie padło ani jedno słowo pochwały lub uznania. Mogło się odnieść wrażenie, że na kopalni dzieje się źle, że wszystko idzie jak z kamienia. Aż było przykro słuchać.

Dopiero na końcu zabrał głos dyrektor. Ten mały, zgarbiony człowiek, z opuchniętymi w stawach palcami. Odczytywał beznamiętnym głosem arkusze papieru, zapisane cyframi i procentami, z których wynikało, że każdy oddział kopalni nie tylko wykonał normę, lecz że ją przekroczył, że wielu górników uzyskało tytuł przodownika, że wydobycie wzrasta, słowem — wszystko idzie jak należy.

I tu padły pierwsze słowa pochwały. Pod adresem górnika, który krzyczał, że się marnuje drzewo, pod adresem innych, którzy na małych odcinkach swojej pracy dali dowody codziennej wytrwałości.

Górnicy słuchali w milczeniu słów swego dyrektora, który nie mówił ani wzniośle, ani pięknie, ot, prosto i zwyczajnie. Przewodnia jego myśl przebijała się z trudem przez słowa, których mu często brakowało, często było za wiele, szła jednak do celu i — doszła.

— Więcej węgla, więcej stali, więcej domów, więcej szkół, więcej zadowolonych ludzi — to nasza broń w walce o pokój. A gdy... — i tu padło doskonałe porównanie — ...a gdy i ta broń nie wystarczy, to przypomnę wam, że tak, jak narody, pragnące pokoju, stępiły niemieckie stalowe zęby, tak potrafią stępić i czyjeś złote zęby.

Górnicy bili brawo. Śmiali się — podobało im się porównanie. W Domu Górnika huczało od śmiechu.

Najgłośniej śmiał się Amerykanin.

MODEL DYPLOMATY

Podręcznik dla przedstawicieli Wielkiej Brytanii za granicą

Co robić, gdy na przyjęciu dyplomatycznym goście patrzą na siebie ponuro — i milczą?

Machiavel uczył koronowane głowy, jak należy rządzić, Clausewitz — ukazał generałom strategię wygrywania wojny. Ale żaden z nich nie pomyślał o abecadle etykiety dyplomatycznej — a okazuje się, że Foreign Office dotkliwie odczuwał brak takiego podręcznika. W tych dniach luka nareszcie została wypełniona. Sir Marcus Cheke opracował obszerny traktat. Oczywiście nie o tym, jak zostać dyplomatą w W. Brytanii — tu bowiem tajników nie ma. Trzeba przejść przez Eton, Harrow, Rugby — a do tych szkół bez dowodu szlachectwa dostać się nie sposób. Sir Marcus traktuje sedno sprawy — wskazuje, jak „być" dyplomatą. Autor ma za sobą długoletni staż w Lizbonie, która podczas wojny była prawdziwą meliną szpiegostwa międzynarodowego. Jego doświadczone rady mają więc dla wielu młodych adeptów brytyjskiej dyplomacji bezcenną wartość. Dlatego też Foreign Office rozesłał je swym placówkom jako „strictly confidential".

JAK SIĘ UBRAĆ?

W podręczniku sir Marcusa — młody John Bull rozpoczyna swą karierę dyplomatyczną jako III sekretarz ambasady J.K.M. w mitycznej Mauretanii. Przede wszystkim musi nawiązać i „kultywować" bliskie kontakty z eleganckim towarzystwem bankierów i przemysłowców — pamiętając przy tym, iż opinia Mauretanii uważa tych ludzi za niepewny element.

W swej pracy John Bull winien naśladować niestrudzonego dyplomatę niderlandzkiego p. Van X, który potrafi spożyć śniadanie z bankierem, wypić cocktail w ambasadzie ościennego mocarstwa, zjeść obiad z ważnym członkiem parlamentu i spędzić wieczór w domu gościnnej przyjaciółki ministra finansów. I wszystko w ciągu jednego tylko dnia.

Dalej, John Bull zwrócić musi baczną uwagę na etykietę ubraniową. Gdy np. przyjmuje prezesa Izby Przemysłowo-Handlowej nie może mieć na sobie jaskrawo zielonego swetra. Prezes mógłby się obrazić. Niestety, w rozdziale ubraniowym sir Marcus pozostawia pewne niedomówienia. Jak np. ma być ubrany attache brytyjski w chwili, gdy fotografuje wojskowe obiekty w obcym państwie? Generał Hilton, brytyjski attache wojskowy w Moskwie przywdział na podobną okazję połatany strój narciarski. Widać nie znał etykiety dyplomatycznej, jeśli go poproszono o natychmiastowe opuszczenie terytorium Zw. Radzieckiego.

Czego najbardziej unikać należy — to milczenia. Cóż więc robić, kiedy na przyjęciu dyplomatycznym goście patrzą na siebie ponuro i nic nie mówią? Anglia oczekuje od III sekretarza ambasady, że uratuje sytuację. Młody John Bull musi puścić w ruch swój język. Przy stole zaś powinien kręcić szyją w lewo i w prawo, aby zabawiać rozmową swych sąsiadów po obu stronach. Jeśli zaś chodzi o tematy — oczywiście Marcus Cheke nie sugeruje. Anglicy między sobą najwięcej rozmawiają o pogodzie. Cudzoziemców ten temat prawdopodobnie znacznie mniej pasjonuje. John Bull może więc czerpać natchnienie z BBC. Szkoda tylko, że BBC nie zna powiedzenia wytrawnego dyplomaty, Telleyranda: kłamstwo jest dobrą rzeczą, pod warunkiem, że się go nie nadużywa.

WHISKY I POGRZEBY

Istnieje również dyplomatyczny kodeks stosowania napojów wyskokowych. Sir George Rendel, brytyjski ambasador w Brukseli takiej udziela rady: Jeśli gentelmana, którego chcesz naciągnąć, częstujesz wódką — pamiętaj, że już nazajutro [illegible]. Za to, jeśli go spoisz szkocką whisky, co najmniej na 4 dni uśpisz jego czujność.

Ale dyplomata brytyjski nie tylko czynny jest przy kieliszku. Okazuje się, że John Bull powinien uczęszczać jak najwięcej na pogrzeby. Jest to zdaniem sir Marcusa doskonała okazja nawiązywania cennych kontaktów z ważnymi ludźmi. Kurczowy uścisk dłoni w tłoku podczas ceremonii, potem odwiezienie dyplomatyczną limuzyną do domu — i znajomość przypieczętowana.

Ciekawe, w ilu pogrzebach uczestniczył brytyjski wicekonsul w Pradze, kpt. Wildash, zanim na terenie republiki czechosłowackiej zdołał zorganizować sieć dywersyjno-szpiegowską...

ZGNIŁE JAJA

Czasem trudna sytuacja wymaga od John Bulla wyjątkowej przytomności umysłu. Np. gdy spotyka się z krytyką brytyjskiej polityki zagranicznej, musi wówczas zachować zwykłą flegmę. Gdy w 1941 r. w Detroit obrzucono ambasadora J.K.M. lorda Halifaxa zgniłymi jajami — westchnął jedynie z zazdrością: Jacy szczęśliwi jesteście, że macie jaja na wyrzucenie! Kilka dni temu min. Bevin znalazł się w identycznej sytuacji — ale pomimo oficjalnych przepisów, stracił obowiązującą flegmę. A to, co powiedział, zostało w kronikach Foreign Office zakropkowane...

JERZY RYGIER

Kornel Makuszyński

Apokaliptyczny indyk



MÓJ przyjaciel, wyborny komediopisarz i układacz wesołych scenariuszów filmowych, właściciel długiego nosa, długich butów i długoterminowych długów, przyszedł do mnie w Wielki Piątek, gdy spożywałem śledzia.

— A co będziesz jadł podczas świąt? — powiada.

— Mam dorsze! — odrzekłem.

— Nic więcej?

— Oczywiście, że nic więcej. W sobotę zjem wędzonego dorsza, na święcone dorsza a la sandacz, wieczorem duszonego dorsza, w poniedziałek dorsza zapiekanego.

— O święty Jonaszu! — zakrzyknął.

— „Jedz ryby, a będziesz zdrów jak ryba" — odrzekłem mu zawołaniem Centrali Rybnej. — A poza tym, co ciebie to obchodzi?

— Pytam ze współczucia, bo ja będą w niedzielę jadł indyka!

— Niemożliwe! Gdzie? U kogo?

— Są jeszcze gościnni ludzie w polskim kraju...

Spojrzałem na niego ciemnym spojrzeniem i poszedłem ściągać skórę z pierwszego dorsza.

A w poniedziałek mój przyjaciel przysłał mi karteczkę: — „Nie wiem, czy wyżyję do wieczora. Przyjdź natychmiast! Przynieś lodu!" — Ponieważ jest to człowiek radosny i promienisty, a uśmiech tak mu się sączy z gęby jak żywica z pnia sosny, nie bardzo się śpieszyłem. Pytam jednak na wszelki wypadek Merkurego, który przyniósł karteczkę, co się stało, jeśli się stało. Z epickiej jego opowieści, w której drażała tajona zazdrość można było wyłuskać posępną prawdę, że mój przyjaciel powrócił wśród głębokiej nocy, zdradzając żywe objawy szaleństwa, co można było przypisać jedynie nadużyciu t.zw. „napojów gorących" ponad normę. Mój przyjaciel wydawał po dobno dzikie okrzyki, śmiał się i płakał na przemiany, tłukł pięściami we własne piersi, co jest zwyczajem rozsrożonych goryllów, albo wygrażał komuś niewidzialnemu. Wobec tego nie należało się spieszyć. Niech najpierw wyparuje i zastanowi się nad swoim nędznym upadkiem, zanim dostąpi szczęścia rozmowy z człowiekiem trzeźwym. Lodu na okład też mu nie poniosę, bo mu powinno wystarczyć moje lodowate spojrzenie.

Przyszedłem pod wieczór i pytam głucho:

— Spiłeś się, mandrylu?

On jęczy, że wcale się nie upił. Łajdakiem jest ten, który tak twierdzi. On jest bardzo nieszczęśliwy. Sponiewierany. Godzien litości i współczucia. Leży na barłogu, bo skoro usiłuje powstać, świat się z nim kręci i ścigają go widma, napastują zmory. W tym miejscu wykrzyknął kilka razy: — „O, o, o!" — a każde w innej tonacji, a tak przeraźliwej, że spojrzałem zaniepokojony. Coś mu jednak musiało trzasnąć w rozumie. Jakieś straszliwe przejście starło z jego twarzy uśmiech. W oczach miał strach i przerażenie, jakgdyby zbliska zobaczył śmierć. Duch tego miłego, radosnego człowieka zbity był na kwaśne jabłko i leżał na deskach jak zapaśnik, powalony ciosem w szczękę.

— Może doktora? — spytałem cicho.

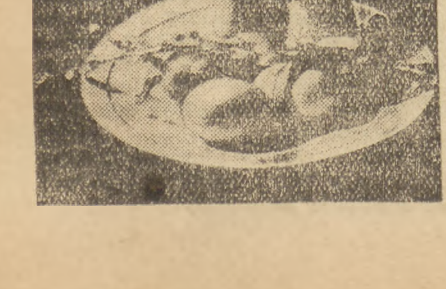
— Nie! Ja chcę żyć! — wrzasnął on.

— Rozumuje jeszcze wcale jasno... — pomyślałem. — Nie wszystko stracone.

A potem — (jak to zwykle, gdy się z wariatem gada), — rzekłem głosem miękkim, pieściwym, podbitym krecim futerkiem:

— Zawiedziona miłość?

Chciał mnie kopnąć, z czego wlot wyrozumiałem, że to nie miłość. Cóż tedy do stu tysięcy pomylonych klepek? Jak można stracić wrodzoną pogodę ducha i zdradzić chęć kopnięcia wiernego towarzysza? Dziwny jest umysł ludzki. Umysł mojego przyjaciela za dobrych czasów miał barwę pogodnie niebieską, a teraz zjełczał jak stara margaryna i przybrał kolor czarny i smolisty.



— Któż ciebie skrzywdził, niebożę? — zapytałem ze słodyczą.

— Ludzie! — odrzekł on tak szorstko, że z tego jedynego słowa można było sporządzić najeżoną szczotkę. — Ściślej mówiąc, pewna dama.



— A więc jednak miłość!

— Dama ma sto kilo żywej wagi i brodawkę w okolicy nosa. Jeśli raz jeszcze wspomnisz o miłości, przywołam kogoś, aby wyniósł twego trupa.

— Sądzę, że mi pozwolisz pomodlić się przed śmiercią?

Widać, że go moja prośba znacznie uspokoiła, bo zaczął opowiadać o tym, co mu się wczoraj zdarzyło.

— Pewna dama — (powiada) — zaprosiła mnie na wielkanocne przyjęcie.

— Ten mastodont.

— Tak, ona... Aż pod Wierzbno... Mnie i dwóch pismaków z gazety i, dwóch takich krętaczów, co kręcą filmy. Pojechaliśmy razem pod Wierzbno. Wiesz gdzie to jest?

— Dobrze nie wiem, ale ludzie powiadają, że gdzieś w sinej dali!

— Właśnie... Broniłem się zręcznie i uparcie, ale dama nie popuściła. Zresztą dama ma bardzo przystojną córkę...

— Kaczka wychowała łabędzia.

— Dobrze powiedziane, ale nie przerywaj, bo stałem się bardzo nerwowy. Pojechałem przeto w wesołej kompanii aż tam, gdzie się zaczyna pustka, tam kędy pola i rozłogi...

— Wal, bracie dalej, ale bez rozłogów! Nie robisz scenariusza. Czy już tam jesteś?

— Jestem! Dama zajmowała połowę komnaty, a drugą połowę córka i goście. Córka przystojna, ale ma cielęcy wyraz oblicza. Szklane oczy, wciąż zdziwione a usta ma tak boleśnie rozwarte, jak Laokoon. Paznokcie krwawe jak harpia, albo jak rzeźnik. Włosy zrobione z tyłu na materac.

— A papa? Gdzież jest papa?

— Papa był podobno także, ale nie można go było dojrzeć poza piramidą mamy. Biedny człowiek! Mama sapała jak lokomotywa, wspinająca się pod górę.

— Czy gwizdała?

— Nie. Przyrodzonym jej głosem jest bas.

— Patrzcie, patrzcie! A jak z kolacją?

Mój przyjaciel wywrócił białka oczów i coś nim zatrzęsło.

— Kolacja miała być o dziewiątej, ale jej nie było. Dama była chytra. Gdyby podano do stołu we właściwym czasie, bylibyśmy uciekli, ale przed kolacją nie wypada. Byliśmy w przemyślnej pułapce. Wciąż zapowiadano, że dadzą jeść, skoro tylko indyk „dojdzie". I tak przez trzy godziny. O, dolo!

— Ho, ho! A więc dali indyka?

— Nie uprzedzaj wypadków... Indyk wciąż jeszcze jest na ogniu piekielnym. Na widowni jest mama, poza którą nie widzieliśmy świata, bo zakryła nam nietylko świat, ale i najbliższe gwiazdy.

— A cóż córuchna?

— Córuchna wbiła spojrzenie w ścianę jak gwóźdź i zdawało się, że go nie wyjmie bez obcęgów. Duch jej krążył w zaświatach. Czasem mama przywoływała go „zsiadłym basem", więc powracał na chwilę i znów odlatał.

— A cóż goście?

— Goście zaczęli się trącać łokciami i cichutko wzdychali. Wietrzyliśmy zapachy z kuchni, ale indyk nie chciał „dojść". Zwyczajna świnia, nie indyk! Potem zaczęliśmy spoglądać na zegarki. Potem jeden drugiego głośno i znacząco zapytywał o godzinę. A dama na to nic. Nagle „wzięła słowo" i rzekła...

— Basem?

— Wzruszonym basem... Zdawało się, że to armata toczy się po bruku. „Panowie drodzy! — (powiada). — Zanim podadzą indyka, sprawię drogim panom niespodziankę! Lilusiu! — (to do córki) — ukłoń się panom!" — Trąciła córeczkę w stan, aby w nią duch powrócił. I Lilusia skłoniła się bardzo wdzięcznie.. Takie dzidzi, uważasz, taka pieszczotka...

— Oddaliście jej ukłon?

— Oczywiście! — Siedmiu braci nie tylko śpiących, ale i głodnych, skinęło czymś, co anatomia nazywa głową i zastygło w zalękłym oczekiwaniu. A mama zadudniła: — „Proszę panów, takie czasy nastały, że bez protekcji nic. A panowie wszystko mogą, — (powiada) — i dlatego pozwoliłam sobie zaprosić panów, abyście na własne oczy zobaczyli, jaka krzywda dzieje się mojej Lilusi!" — W tym miejscu położyła rękę na tę okolicę, gdzie w przepaścistych głębokościach chciało z bólu pęknąć jej serce. — „Rozmaite wydry — (tak wołała!) — mają plecy i robią karierę. A moje niebożątko nie może się dostać nawet do przedpokoju. Niech panowie teraz sami zobaczą, co ona potrafi, a co umieją te kocmołuchy, o których się pisze w gazetach i o których się mówi. Pan — (to było do mnie!) — pisze scenariusze, ci panowie piszą o filmach a ci robią filmy. Postanowiłam urządzić dla was prywatny pokaz..." — Słyszysz?

— Słyszę i zgroza mnie ogarnia!

— Bacz teraz, co ja przeszedłem, który tam byłem. Dotknąłem nieznacznie ręką klamki. Drzwi zamknięte! Co za baba, co za baba!

— Nie mogłeś przez okno?

— Nie mogłem... Drugie piętro.

— To już jest łajdactwo! I cóż było dalej?

— Dalej było strasznie... Gdybym omdlał, opowiadając, natrzyj mi skronie octem, albo daj mi powąchać amoniaku... Dama poruszyła się i wtedy ujrzeliśmy papę. Papa miał minę zmokłej kury i patrzył na nas z przerażeniem. Wobec swojej połowicy wyglądał jak przecinek po opasłym zdaniu. Ujrzeliśmy też fortepian, zasłonięty dotąd przez damę. Gdy się do niego zbliżyła, wyszczerzył zęby, jakgdyby się chciał bronić przed uderzeniem, potem się skulił i zmalał. Dama dosiadła fortepianu i zagrzmiała jak daleki grzmot: — „Lilusiu, gotowe!"

— A cóż Lilusia?

— Dziewica obudziła się i zakwiliła: — „Tak jest, mateczko!" — Dama na to: — „Numer pierwszy: narzeczona wygląda narzeczonego, który popłynął na morze!" — Gruchnęła w fortepian, a fortepian zawył od nagłego cierpienia. Wtedy



Lilusia postawiła oczy w słup, lewą rękę położyła na sercu jak rigolo, a prawą przesłoniła oczy i patrzyła w niezmierną morską dal. — „Wzdychaj! — zawołała mama. — Na to Lilusia nabrała powietrza w brzucho jak Wojski i wydała na świat westchnienie tęsknoty, melancholii, rozpaczy i boleści tak przeraźliwie, że ja głucho jęknąłem a jeden redaktor schwycił się za głowę.

— A mama dalej gra?

— Tak. Zmienia melodję i krzyczy: — „Radość! Narzeczony na widnokręgu!" — Wtedy Lilusia wydała okrzyk radosny i zaczęła biec w moją stronę, dając mi znaki, że radość ją rozsadza. Ja na niby byłem narzeczonym, ale na szczęście niedługo, gdyż dama oznajmiła: — „Pomyłka... To nie on!" — O boleści! Dziewica cofnęła się... Nie wierzy własnym oczom, więc nimi łypie i krzyczy: — „To nie on! To nie on!" — A dlatego krzyczała, bo to było kino dźwiękowe.

— Prędko, prędko! Co było dalej? Mama gra?

— Gra... Sapie i gra. Zaczem woła: — „Kołysanka!"

— Aj, aj! To było i dziecko?

— Było i stąd ta rozpacz. Narzeczony utonął a dziecko zostało.

— Z czego było dziecko?

— Z poduszki. Myślałem, że pomylona dziewica chwyci na ręce rodzonego ojca, ale porwała poduszkę z kanapy i poczęła ją tulić do piersi, jakby ją chciała nakarmić.

— O, zgroza! Biedna dziecina...

— To za mało powiedziane. Dziecina była tragiczna, gdyż fortepiano zaczęło dygotać jakby w wielkim szlochu, a mama krzyknęła: — „Nieszczęsna matka morduje swoje maleństwo!" — Lilusia łapes capes udusiła poduszkę, tak przy tym gorzko płacząc, że jeden z nas zakrył ręką oczy i zawył: — „Dość, dość!" — Mama spojrzała na nas z triumfem i woła: — „Następna scena: matka traci zmysły!"

— Nie gadaj!

— Żebym tak zdrów był! Lilusia rzuciła dziecko w stronę pieca, wywróciła oczy, rękami zburzyła fryzurę i poczęła zgrzytać zębami. Gdy już odzgrzytała swoje, zaczęła nucić, niby nieprzytomnie. Potem wydała potężny okrzyk i zaczęła rwać włosy. Ślepy byłby poznał, że postradała zmysły, ale ona miała do rozporządzenia jeszcze inne racje. Zrobiła „szpagat", usiadła na ziemi i poczęła się śmiać, udając, że zrywa kwiaty na łące i rzuca je na bieżącą wodę, aby popłynęły do Gdańska. Zwarjowane dziewice zawsze rzucają kwiaty na wodę. Mama waliła w fortepian, córka mente capta, indyk wciąż „dochodził", a trzech gości dostało konwulsji. Inni zapadli w przerażenie.

— A cóż na to papa?

— Wyobraź sobie, że ten opryszek spał siedząco.

Musiał przywyknąć. Która była godzina?

— Dwunasta. Przedstawienie trwało trzy godziny.

— O indyku ani mowy?

— Jeszcze nie... Mama zsiadła z kobyły fortepianu i wodząc rozpromienionym spojrzeniem po naszych obliczach, pytała kolejno: — „A co? Udała mi się moja Lilusia! Takiej aktorki niema nawet w Ameryce. I cóż panowie na to? Krzywdzą moje dziecko, czy go nie krzywdzą? Ale jeszcze matka żyje! A czy panowie myślą, że to już wszystko? Lilusia pokaże panom teraz sceny wesołe!"

— Pokazała?

— Nie! Stały się straszne rzeczy. Jeden redaktor dostał ataku, wytłukł szybę i zaczął ryczeć na cały świat: — „Na pomoc! Na pomoc!" — Zbiegli się ludzie, awantura, skandal. Dama nas wypuściła, ale zdołała mi gruchnąć basem: — Ale go wzięło!" — I miała szczęście w oczach. A ja krążyłem przez całą noc. Coś mi trzasło w głowie... Wciąż mi się zdaje, że ktoś dusi dziecinę. Nigdy już nie zaznam spokoju. Przez kilka nocy nie zmrużę oka... A wiesz, co mi się wydaje? Że tam nie było żadnego indyka. Baba jest za sprytna. Wiedziała, że nikt nie zdzierży Lilusi.



Jan Urban

Czytając „Kwiaty Polskie"...

KRZYŻÓWKA

I jar bedoński na Zakrzyżu.

— — — — — — — — — —

Z Irą i z Julkiem przyjeżdżała Pani Adela Tuwimowa.

(Julian Tuwim: „Kwiaty Polskie")

W owym czasie pani Adela Tuwimowa nie jeździła jeszcze z dziećmi do Inowłodza. Spędzała tam kilkakrotnie lato, ale parę lat później. W tym okresie jeździło się na „letniaki" do Bedonia, w pobliżu stacji kolejowej Andrzejów. Dziś andrzejowskie osiedle — to jakby przedmieście Łodzi — wówczas było miejscem wytchnienia dla umęczonych płuc. Bez mała pół wieku temu — wstydzę się przyznać, że pamiętam te czasy — Andrzejów ze swymi okolicznymi wsiami stanowił bardzo uczęszczaną wilegiaturę, letnią ucieczkę z zadymionej Łodzi przed zaduchem i wyziewami łódzkich rynsztoków.

Pamiętam doskonale to lato spędzone wspólnie w jednym domku (tzw. willi) z przyszłym autorem „Kwiatów Polskich". Byliśmy nierozłącznymi towarzyszami wszystkich zabaw i psich figlów. Niestety szczęśliwe i beztroskie życie chyliło się ku końcowi, bo coraz bardziej zbliżał się moment „gdy do gimnazjum na egzamin szło się", gdzie „zamierające serce w kolana lękiem zapadało". Były to ostatnie lata prawdziwej wolności, kiedy nie zamknęły się jeszcze za nami „gimnazjalnych klas koszary" i mogliśmy się uganiać za motylami, biegać po polach i lasach bedońskich. Do ulubionych naszych zabaw należało usadawianie się w żelaznych konstrukcjach mostu kolejowego i czekanie tam na nadejście pociągu. Cóż to była za emocja, gdy parowóz pędził i huczał tuż nad naszymi głowami i obsypywał nas iskrami z paleniska.

Bedoń maluje się w mojej pamięci nie tylko jako jar upstrzony zielenią i kwiatami. Łączą się z nim pewne momenty ponure, które w oczach dziecka wyrosły do rozmiarów jakiejś ciężkiej zmory. Wraziły się one widocznie w moją duszę, bo widzę wszystko oczyma pamięci tak dokładnie, jakgdyby to było dzisiaj.

Właścicielem majątku i letniska był dziedzic - obszarnik nazwiskiem Kochanowski. Sam nie odznaczał się niczym specjalnym, natomiast miał brata chorego umysłowo, który przeważnie bez opieki krążył swobodnie po okolicy. Widocznie obłęd jego powstał na tle religijnym. Pojawiał się bowiem nagle i najbardziej niespodzianie koło jakiejś kaplicy przydrożnej, pod kamiennym krzyżem na rozstaju, gdzie klęcząc modlił się żarliwie. My chłopcy, baliśmy się go strasznie podobno kiedyś rzucił się gdzieś na kogoś. Jeszcze dzisiaj mam w uszach nieludzki krzyk „rozkołysany szaleńca" wydobywający się z okien otoczonego wysokim murem dworu.

Drugim naszym wrogiem była woda. Niejednokrotnie skąpałem się w brudnym stawie bedońskim i to przy odziany w najlepsze moje ubranko. Raz nawet tonąłem i ledwie mnie ojciec odratował.

I jeszcze jeden wypadek wbił mi się w pamięć. W Bedoniu znana była podmiejska restauracja (z nieodłączną kręgielnią) utrzymywana przez Niemca, który miał tam zdaje się również browar. Oczywiście klientelą tu byli przeważnie szwabscy majstrowie z Łodzi i okoliczni koloniści, którzy w niedzielę ciągnęli tu całymi masami. Zabawy ich również miały styl niemiecki — strzelanie do wiatraczków, skonstruowanych z cienkich deszczułek. Strzały były wyciosane z drzewa i zakończone metalowym ostrzem. Julku, czy pamiętasz, jak Twój przyjaciel, tak pięknie zapowiadający się przedwcześnie zmarły muzyk, Barac, otrzymał postrzał w okolicę oka? Nam chłopcom, zachciało się zbierać wystrzelone przez Niemców pociski. Jednym właśnie został ugodzony nasz przyjaciel, gdy biegał w „strefie zagrożonej". Szczęśliwie skończyło się na strachu, ale ile było przerażenia, gdy ujrzeliśmy naszego Maksia z zalaną krwią twarzą!

A oto jeszcze jedno wspomnienie, związane z tym okresem.

Ojciec mój, który na wszystkie week-endy przyjeżdżał do nas do Bedonia na letnisko, pewnej niedzieli wynajął bryczkę i zabrał Julka Tuwima i mnie na przejażdżkę. Mieliśmy się udać do pobliskiej Krzyżówki, gdzie pan Lichtenfeld „wsławiony w przemysłowym dziele", „siecią pokrewieństw oplątany" wybudował sobie piękną willę („fortuny panów fabrykantów, zadowolonych posiadaczy pałaców, karet i brylantów"). Zakład mego ojca miał tam zmontować piorunochron i trzeba to było omówić z jej właścicielem.

Był piękny, upalny dzień. Wgramoliliśmy się z Julkiem na bryczkę (nie pamiętam już kto siedział koło woźnicy ale zdaje się, że on) i ruszyliśmy polną drogą w jak najlepszym nastroju. Naraz na niebie zaczęły się pojawiać chmury, coraz większe i coraz czarniejsze i wreszcie spadł ulewny deszcz. Bryczka była otwarta, bez budy i zmokliśmy w trójkę porządnie. Wreszcie dotarliśmy do celu. Obszerny dom pachniał świeżym drzewem i lakierem, bo dopiero niedawno został wykończony. Ojciec mój udał się do gabinetu gospodarza a nas t.j. Julka i mnie — zostawił w głównym salonie pańskiej rezydencji. Był on jeszcze zupełnie pusty, bez mebli i dywanów, i świecił lustrem bielutkiej posadzki. Staliśmy obok siebie onieśmieleni, mali, zupełnie sami, po środku wielkiej komnaty. Wpuszczono do nas tylko „dla towarzystwa" maleńkiego chłopczyka, zdaje się, że wnuka właściciela. Był nieco młodszy od nas i przypatrywał nam się z uwagą.

NARAZ stała się rzecz straszna. Na wyfroterowanej, cudnie wypielęgnowanej podłodze ukazała się tuż u naszych stóp pokaźnych rozmiarów kałuża. Patrzałem z przerażeniem na skażoną biel parkietu i zdałem sobie od razu sprawę, iż faktu tego nie da się ukryć. Zrozumiałem całe brzemię odpowiedzialności, jaka ciąży na nas, a przede wszystkim na mnie za poczyniony nieporządek w najparadniejszym z pokojów.

Myślałem, że mały chłopczyk nie zauważy tego co zaszło, ale gdzie tam! Wraził swe drobne czarne oczy w kałużę i zamienił się cały w znak zapytania: — A co to?

Zaczerwieniłem się po uszy i czułem, że trzeba ratować honor swój, Julka, a nawet do pewnego stopnia mego ojca, który nas tu przywiózł, i odpowiedziałem przytomnie:

— To ten deszcz. Przemokliśmy w drodze i teraz woda z nas ścieka.

Zdaje się, że chłopczyk uwierzył, bo więcej nie zadawał już pytań.

Byłem szczęśliwy, gdy po pewnym czasie zjawił się ojciec i zabrał nas z tego miejsca hańby i tortury. Do dzisiejszego dnia nie wiem któremu z nas to się przydarzyło. A może rzeczywiście wszystkiemu był winien deszcz? Zdaje się, że pozostanie to na zawsze tajemnicą, nierozwiązaną krzyżówką.

Kto wie czy przyszli biografowie i odbrązawiacze Tuwima po zbadaniu jeszcze innych źródeł nie ustalą tego z całą pewnością „na zasadzie niezbitych dowodów", tym bardziej, iż prawdziwych świadków, a zarazem bohaterów wypadku, nie będzie pewno już na tym świecie. I stanie się dla nich zupełnie obojętne jak wypadł „sąd historii".

Chory

Gdy spotkałem go na ulicy, wyglądał rzeczywiście nieco mizernie.

— Byłem wczoraj u Podlubskich — rzekł — ach, naprawdę pocóż to uczyniłem? Przy moim stanie zdrowia odwiedziny, to impreza zbyt męcząca.

— A co ci jest? — zapytałem ze współczuciem.

— Zapytaj raczej, co mi nie jest — uśmiechnął się boleśnie — żołądek, naturalnie żołądek, my, starsi panowie...

— Jacy tam starsi panowie! — obruszyłem się — nie masz przecież jeszcze czterdziestki.

— Nie mam, co z tego? — bolesny uśmiech nie znikał z jego twarzy. — Lata wojny liczą się podwójnie, tak, tak, nie mam czterdziestki, ale moje narządy trawienne są zupełnie zde... zde... — nie mógł znaleźć właściwego słowa, — zdemontowane, jak to się teraz modnie mówi.

— Ale ostatecznie na czym polega twoja choroba?

— Choroba? Powiedz raczej choroby. Dwunastu najsłynniejszych gastrologów wykryło u mnie dwanaście różnych chorób żołądka...

Zaczął je wyliczać ze znawstwem.

— I naturalnie, rozumiesz, ścisła dieta. Dziś na przykład nie miałem jeszcze w ustach nic, oprócz okruszyny starej bułki i odrobiny niesłodzonej herbaty.

— No to rzeczywiście biedak z ciebie — rzekłem ze współczuciem.

— No tak — spuścił ponuro głowę — A propos, będziecie w święta w domu?

Początkowo kierowany odruchem samoobrony chciałem mu odpowiedzieć, jak wszystkim innym znajomym, że wyjeżdżamy do teściów, ale przypomniałem sobie jego dwanaście chorób żołądka. Nie, to nie był gość niebezpieczny.

— Będziemy, wpadnij — rzekłem serdecznie.

Przyszedł w pierwszy dzień świąt w momencie, gdy siadaliśmy do obiadu.

— Tylko błagam was, nie namawiajcie mnie do jedzenia! — rzekł stanowczo — Mogę wypić jedynie troszkę rosołu, bardzo chudego rosołu, oczywiście.

Żona przyniosła mu filiżankę starannie odcedzonego rosołu.

Wypił w mgnieniu oka, westchnął ciężko i obrzucił stół okiem znawcy.

— Sądzę, że przy tak wyjątkowej okazji mogę sobie pozwolić na odrobinę sałatki jarzynowej — rzekł i nałożył sobie kopiasty talerzyk.

Potem skonsumował dwie porcje karpia.

Potem olbrzymi kawał pasztetu.

Potem pierś indyczą.

Trzy kawałki schabu.

Nieckę kompotu.

Oraz pół świątecznego makowca.

Wszystko to podlewał oczywiście wódką. „Dla dezynfekcji" — jak mówił.

Wreszcie odsapnął, otarł serwetką usta i bolesnym gestem chwycił się za żołądek.

— Chętniebym się na chwilkę położył — rzekł. — To wszystko przez to śniadanie u Maciaszków.

Pielęgnowałem go wraz z żoną przez całe popołudnie.

Wieczorem blady i skrzywiony powlókł się na kolację do Kwaśniewskich.

JOANNA WILIŃSKA

Władysław Milczarek

Żubry — puszcz imperatory

Od specjalnego wysłannika „Rzeczypospolitej"



Chmara żubrów żerująca w Puszczy Niepołomickiej

Niepołomice, w kwietniu.

SIWA kita kurzu, która przez cały czas drogi towarzyszyła naszej ciężarówce, urwała się nagle i skręciła na pola. Młodziutkie zagajniki brzozy, olchy i grabu podeszły półkolem pod samą leśniczówkę. Powiało szumem i charakterystyczną wilgocią drzew.

— Czy to już Puszcza Niepołomicka? — pytamy leśnika, który jako gospodarz powitał nas na tym terenie.

— Niby tak, ale właściwie to dopiero jej oddech, jej bardzo daleki cień. Puszcza to tam — zakreślił ręką pół nieba i przyjrzał się nam badawczo spod przymrużonych powiek.

— Oto charakterystyczne spojrzenie „leśnego człowieka" — zauważył ktoś półgłosem, ale uwagę naszą pochłonął niecodzienny obrazek, rozgrywający się opodal. Smukła, filigranowa wprost, sarenka sadziła w zgrabnych podskokach wprost do leśniczówki. Właśnie obok stodoły odkrywano kopiec z burakami. Sarna zatrzymała się w pewnej odległości od kopca, wyciągnęła szyję i zaczęła wietrzyć. Po chwili, krok za krokiem, zbliżała się do robotnika, wabiącego ją burakiem trzymanym w dłoni.

— Oswojona pewnie...

— Gdzież tam — przemówił leśnik. — Wszystkie one są takie, byle je nie straszyć, nie szczuć psami. Ot, ta na przykład, przychodzi często pod dom i to właśnie wtedy, gdy trudno jest z karmą. Biedactwo pewnie dziś też wygłodniało... U nas zawsze się pożywi.

Sarna widocznie zaniepokojona głosami przerwała chrupanie smakowitego buraka i zaczęła się nam przyglądać. Z lekka wypukłe, wilgotne, brązowawe, wielkie, śliczne oczy... Oczy pięknej kobiety? Nie, raczej inteligentnego, dobrego stworzenia...

Gdy zapuszczono motor naszej nieszczęsnej ciężarówki, spłoszona sarna w susach popędziła przez pole, świecąc białą podudzi. Za chwilę zniknęła w gąszczu.

— Będzie nam towarzyszyła z dala, obserwując przez cały czas drogi, bo to bardzo ciekawe stworzenie — powiedział leśnik. Sarenka to pensjonarka lasów...

DOMKI DLA SKRZYDLATYCH MIESZKAŃCÓW

Mówiąc prawdę sarenki-pensjonarki już więcej nie widzieliśmy. Pocieszamy się, że ujrzymy coś „większego", wspaniałą atrakcję Puszczy Niepołomickiej — żubry!

Po Białowieży Niepołomicom należy się drugie miejsce na „żubrzym odcinku". Tu żubry chodzą „chmarami" — tak nazywają leśnicy stada tego królewskiego zwierza.

Od skraju puszczy do żubrzego rezerwatu mamy kilka kilometrów. Las staje się coraz gęstszy. Ciemna zieleń sosen, dęby, buki... Podmokły, torfiasty grunt dymi niebieskawo. Pachnie żywicą i złotymi wisiorkami leszczyny. Droga jest pusta, cicha, nie widać na niej śladów kół. Od czasu do czasu w gąszczu zaświergoli jakiś śpiewak lub dzięcioł, zapracowany i obojętny na otoczenie, zapuka o zmurszały pień sosny.

Ptactwo w puszczy znajduje się pod specjalną opieką. Jest ono bowiem naturalnym sprzymierzeńcem drzew. Żadne środki chemiczne, używane do niszczenia szkodliwych gąsienic czy owadów, nie mogą konkurować z ptakami. Drobny ptaszek zajrzy do każdej szczeliny, pod każdy sęczek lub ułamaną gałązkę — biada wtedy gąsienicy.

Przodownikiem w tej dziedzinie i tytularnym lekarzem lasu jest dzięcioł. Wrodzony apetyt zmusza go do ciągłego poszukiwania „zwierzyny", a długi dziób ułatwia robotę. Zabić dzięcioła w lesie to tak jakby zabić bociana na wsi — grzech!

Po obu stronach drogi zawieszono niedawno skrzyneczki, przypominające swym wyglądem domki krasnoludków. To sztuczne gniazda. „Domki" są wykonane szablonowo, ale wejście do nich różne. W zależności od wielkości ptaka. Te najmniejsze ptaszyny czują się w takim domku zupełnie bezpiecznie. Żaden drapieżnik nie przedostanie się przez ich „drzwi".

W puszczy zawieszono 1000 takich gniazd i ok. 30 karmników — duże domki bez ścian z dwustronnym dachem i korytkami na ziarno. Na wyżywienia ptactwa w okresie wiosennym przewidziano 250 kg nasion oleistych (rzepak, słonecznik). Ten skromny wydatek opłaci się stokrotnie gospodarce leśnej.

Nasza droga skręciła w bok i „skończyła się" na małej polance, otoczonej gęstym młodnikiem dębiny. Jesteśmy na miejscu. Na razie nic nie widać. Przed nami stylowa brama z drzewa z napisem „Zwierzyniec żubrów". Teraz zaczyna się cała ceremonia, obowiązująca każdego kto chce obejrzeć sanktuarium puszczy. A więc przede wszystkim pouczenie jak należy się zachowywać. Żubry, tolerują swego dozorcę-karmiciela, ale do innych osób odnoszą się z dużą dozą nieufności. Zbyt ciekawych wycieczkowiczów mogą zaatakować a wtedy... Ogrodzenie to fraszka.

Żubr, mimo swej ogromnej żywej masy, potrafi przesadzić dwumetrowej wysokości płot. Rzecz nie do wiary. Dozorca opowiada nam, jak to jemu razu pewnego się przytrafiło. Oczyszczał karmnik — są to ruchome, głębokie koryta umieszczone w specjalnym otworze ogrodzenia — i sam nawet nie wie, kiedy wyleciał z karmnikiem jak kamień z procy. To żubr, ojciec całego stada, tak go urządził. Szczęściem poczęstował go łbem w „miękkie" miejsce. Skończyło się na kilkutygodniowym „urlopie" w szpitalu.

Obiecujemy być ostrożni, nie palić papierosów i rozmawiać szeptem. Teraz trzeba przejść przez „komorę dezynfekcyjną". Jest to niewielki przedsionek w bramie. „Podłoga" urządzona z grubej warstwy trocin nasyconych środkami dezynfekcyjnym. Wycieramy skrupulatnie podeszwy naszego obuwia, by nie zawlec jakiejś choroby. Obok jest druga komora, ale o wiele większa. To dla furmanek dostarczających do zwierzyńca owies, buraki i siano.

Ta daleko posunięta ostrożność nie jest przesadą. Ten nadzwyczaj cenny i rzadki zwierz, pozbawiony został obecnie prawdziwej, mrocznej kniei, stając się podatnym na wszelkie choroby. Np. w Puszczy Białowieskiej w latach 1910—11 wybuchła wśród żubrów jakaś nieznana epidemia, której ofiarą padło kilka dziesiątek sztuk. Wprawdzie w latach międzywojennych epidemii nie było, ale zdarzały się wypadki, że trzeba było dostrzelić żubra na skutek oznak jakiejś nieznanej choroby. W Niepołomicach środki ostrożności posunięte są tak daleko, że nawet strumień przepływający obok rezerwatu został odgrodzony od żubrów. Imperatorom Puszczy Niepołomickiej wolno dziś pić tylko czystą wodę ze studni.

POSĄG KUTY W BRUNATNYM KAMIENIU...

Pozwolono nam w drodze wyjątku oglądać żubry nie z wieży, ale zza ogrodzenia. Solidne belki dają poczucie bezpieczeństwa tym bardziej, że żubrza rodzinka jest akurat po sutym śniadaniu i nie zdradza specjalnego zainteresowania naszym przybyciem. W pierwszej zagrodzie, która, jak i pozostałe, stoi otworem i pozwala żubrom w każdej chwili wyjść na „przechadzkę" po 37 hektarowym rezerwacie — znajduje się siedem sztuk (krowy i młodzież) z ojcem stada, bykiem czystej krwi białowieskiej.

Wszystkie okazy, pochodzące z Puszczy Białowieskiej, posiadają imiona, zaczynające się na literę „P" (np. „Puk", „Puma" itp.), co jest oznaką czystości rasy. W Niepołomicach bowiem prócz rasy białowieskiej prowadzi się hodowlę żubrów linii kaukasko-białowieskiej. Rozpłodnik tej rasy znajduje się w osobnej zagrodzie. Raz tylko, w okresie rui, która przypada na koniec lata i początek jesieni, udało mu się wyrwać z zagrody. Walka z bykiem, przedstawicielem białowieskiego rodu, trwała kilka godzin. Miejsce walki zostało przeorane niby czołgiem a drzewa o średnicy 10 cm powyrywane z korzeniami. Szczęściem zapasy zakończyły się wynikiem nie rozstrzygniętym. Opadłe ze sił byki pozwoliły się zapędzić bez trudności do zagród.



Podziwiać należy rączość biegu i wspaniałą muskulaturę.

Oglądamy jednego z bohaterów tej walki. Potężna, nieruchoma sylwetka, niby posąg kuty w brunatnym kamieniu. Żubr, mnich puszczy, potrafi tak stać całymi godzinami. Chyba, że przeszkodzą mu ciekawi ludzie z aparatami fotograficznymi. Krowy i młodzież są bardziej ruchliwe, a przy tym więcej interesują się owsem w korycie niż nami. Byk natomiast zaczął zdradzać oznaki niezadowolenia, wyrażające się w gniewnym parskaniu i ruszaniu brodą. Za chwilę poderwał się do galopu, goniąc przed sobą całe stado. Kurz i trzask łamanych gałęzi... Podziwiać należy rączość biegu (mimo 600 kg wagi ciała) i wspaniałą muskulaturę, zwłaszcza pleców, uformowanych na podobieństwo garbu.

Leśnik informuje, co i jak u żubra się nazywa, byśmy przez nieświadomość nie posługiwali się nazwami używanymi w wypadku zwyczajnego bydła rogatego. To byłoby obrazą dla królewskiego zwierza.

A więc: nos u żubra to pyza, oczy — świece, uszy — łyżki, włos na szyi, garbie i barkach — kądziela, sierść (zmieniająca się latem i w zimie) — odzież. Charakterystyczną oznaką żubrów, wyróżniającą je od zwykłego bydła, jest to, że mają więcej o jedną parę żeber (14 par). Nie stwarza to jednak specjalnych antagonizmów między bydłem domowym a żubrami. Żubry wobec krów są obojętne, nie znoszą natomiast koni, psów i... fotografów.

W rezerwacie Puszczy Niepołomickiej znajduje się obecnie 17 szt. żubrów, w tym 2 byki (jeden mieszaniec, 1/18 część krwi kaukaskiej), 2 byczki jednoroczne, 7 starszych krów cielnych i 6 jałówek. W maju należy spodziewać się przychówku. Krowy cielne znajdują się specjalną opieką. Trzymają się dobrze, tylko z dwiema jest trochę kłopotu.

Jedna, okrągła jak ulęgałka, podjada wszystkie koleżanki, dozorca obawia się, że na skutek przekarmienia może mieć trudny poród. Trzeba ją będzie izolować i zastosować specjalną dietę.

Druga — tęskni za synem. Synek ten to bynajmniej nie „niemowlę", ale jednoroczny doskonale wyrośnięty byczek. Trzeba go było odstawić od matki, bo zachowywał się jak osesek. Ssał matkę, będącą już w ciąży, a gdy mu nie pozwalała, atakował rogami. Zamknięty teraz w osobnej zagrodzie, pomrukuje tęsknie lub baraszkuje ze swym rówieśnikiem.

Żubrza zabawa przypomina zapasy atletów. Rolę rąk zastępują rogi, którymi żubr posługuje się bardzo zręcznie, podważając nimi przednią lub tylną nogę przeciwnika, zwala na ziemię. Młode byczki, jakby specjalnie dla nas, urządziły ten niepozbawiony humoru pokaz walki zapaśniczej.

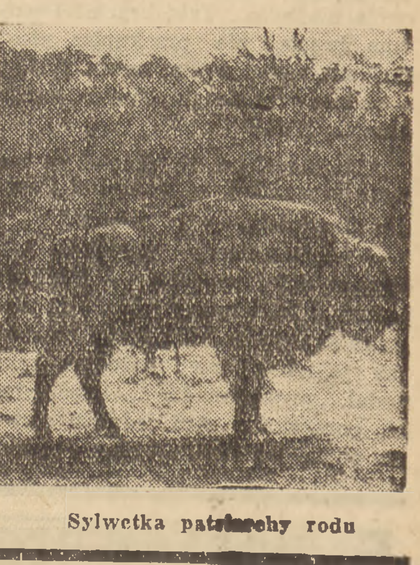
Po powrocie z puszczy pytali mnie znajomi (oczywiście żartem), czy piłem mleko żubrzycy? Zdaje się, że w Polsce jeden tylko człowiek zakosztował jego smaku. Jest nim popularny dyrektor warszawskiego ZOO, dr Żabiński. Było to w styczniu tego roku. Zwiedzając Niepołomice, ten wielki przyjaciel i miłośnik zwierząt, uprosił dozorcę, by mu wydoił kieliszek mleka! Po długich ceremoniach udało się zwabić jedną z bardziej oswojonych krów i oddojono ją przez szparę w ogrodzeniu. Podobno żaden napój nie smakował doktorowi tak jak ten kieliszek mleka żubrzycy.

*

Czytelnika interesuje pewnie, co jedzą żubry i gdzie przebywają podczas zimy? A więc dzienna racja dla dorosłego żubra wynosi dowolną ilość siana, 6 kg owsa i tyleż buraków pastewnych. Młodzież otrzymuje o połowę mniej. W okresie zimy, podobnie jak i podczas innych pór roku, żubrze „mieszkanie" mieści się pod gołym niebem, w lesie. Najczęściej legowiska obierane są przy zagrodach, a to ze względu na bliskość karmy. Wprawdzie na wszelki wypadek wybudowano żubrom obory — dach z trzema ścianami — ale zwierzęta te niechętnie przebywają nawet i w takim „zamknięciu". Cenią wolność, nawet na świat przychodzą pod gołym niebem.

Kiedyśmy opuszczali rejon rezerwatu, żubry zdenerwowane naszym zbyt długim pobytem, zaszyły się w gęstwinę leśną. Patriarcha rodu, ten białowieskiej krwi, wyrywał z korzeniami młode sosenki i darł racicami ziemię.

— Tak jest zawsze, gdy za długo na ludzi patrzy — zauważył leśnik. Lubi ciszę, samotność i gęstwinę. W tym roku żubry z Niepołomic „otrzymają" nowe 10 ha lasu na powiększenie swego królestwa. Przybędzie przecież przychówek. Będzie czym handlować! Za jednego żubra można dostać parę słoni i jeszcze lwa na dodatek. 100 żubrów jest na świecie, z tego zaś pięćdziesiąt kilka w Polsce. Bogactwo i chluba naszych lasów!



Sylwetka patriarchy rodu

Stefan Magenheim

Światło dla wszystkich

Opracowana przez Rząd, a uchwalona jednomyślnie przez Sejm ustawa o likwidacji analfabetyzmu w Polsce ujmuje to kluczowe zagadnienie w dziedzinie oświaty i kultury jaknajbardziej wszechstronnie i po raz pierwszy w naszych dziejach stawia sprawę walki z analfabetyzmem na właściwym gruncie zarówno pod względem sposobu, w jaki ma być prowadzona, jak i zasięgu, który ma objąć. Dla każdego, kto przestudiował ustawę, jest rzeczą jasną, że analfabetyzm u nas będzie w bardzo krótkim czasie należał do przeszłości, jeżeli wszystkie zalecenia ustawy zostaną ściśle wykonane i jeżeli ustawa będzie konsekwentnie i w całości realizowana.

I nie trzeba będzie dopatrywać się w uzyskanym zwycięstwie żadnych cudów. Analfabetyzm jest pozostałością ustroju kapitalistycznego, tkwi głęboko swymi korzeniami w ustroju wyzysku człowieka przez człowieka i dlatego może być usunięty i zwalczony tylko razem z ustrojem kapitalistycznym. Prawdę tę w całej rozciągłości potwierdzają wspaniałe osiągnięcia Związku Radzieckiego, dla których nie można znaleźć porównania w dziejach żadnego innego państwa. W r. 1917, w roku wybuchu Rewolucji Październikowej, wśród ludności, zamieszkałej na terytorium b. cesarstwa rosyjskiego — było 77 procent analfabetów. Obecnie w Związku Radzieckim analfabetów nie ma wcale, przy czym należy sobie uzmysłowić, że w Zw. Radzieckim chodziło o liczbę ludności dziesięć razy większą, niż w Polsce, o ludność bardzo zróżniczkowaną pod względem narodowościowym i językowym i na obszarze nieporównanie większym od naszego.

Związek Radziecki uzyskał swoje sukcesy wspólnym wysiłkiem rządu, partii i społeczeństwa tak stoi sprawa i u nas: zwyciężymy w walce z analfabetyzmem, jeżeli wszyscy razem staniemy do wspólnego wysiłku.

Gdy mowa o osiągnięciach socjalizmu w walce z analfabetyzmem czyli w walce o uświadomienie kulturalne, o podniesienie poczucia godności własnej człowieka — trudno się wstrzymać od pewnej dygresji. W państwie, które uważa siebie za prowodyra w walce o obronę „kultury zachodniej" t.j. w St. Zjednoczonych — ilość analfabetów w ostatnich latach stale wzrasta. Powszechnie znane są skargi oficerów amerykańskich z czasów wojny na analfabetyzm poborowych, których nie można było wyszkolić. I znany jest zasadniczy powód wzrostu analfabetyzmu w Stanach Zjednoczonych. Jest nim polityka dyskryminacji, stosowana nie tylko do ludności murzyńskiej i indiańskiego pochodzenia — ale także do całej klasy pracującej. Wielki kapitał chce utrzymać masę robotniczą na najniższym stopniu rozwoju umysłowego.

Ustawa nasza o likwidacji analfabetyzmu dzieli się na dwie zasadnicze części. Pierwsza część to zupełne zlikwidowanie obwodów bezszkolnych, doprowadzenie do tego, by rzeczywiście wszystkie dzieci w wieku szkolnym pobierały naukę i roztoczenie opieki nad młodzieżą szkolną, po opuszczeniu szkoły.

Druga część ustawy przewiduje społeczny obowiązek uczenia się analfabetów i półanalfabetów w wieku od 14 do 50 lat. Wszyscy analfabeci i półanalfabeci muszą się zarejestrować pod nadzorem odpowiednich władz. Do tego dochodzi jeszcze inne postanowienie nadzwyczaj ważne. Powszechnie wiadomo, że mamy za mało nauczycieli. Otóż ustawa postanawia, że do obowiązku nauczania można powołać każdą osobę, posiadającą dostateczne kwalifikacje — i od tego obowiązku nie można się wymówić.

Analfabetyzm to krzywda milionów ludzi, pozbawionych możności korzystania ze zdobyczy nauki i kultury światowej. Gdy nauczą się czytać — otworzy się dla nich droga do wszystkich zdobyczy myśli ludzkich. Polska Ludowa dąży do tego, by naprawić krzywdy, które ich spotkały — nie z ich winy.

Leopold Tyrmand

Będziemy my — i będzie las!

WŁAŚNIE — o to chodzi. Nie, żeby powtarzać w kółko, z pseudo filozoficznym uśmiechem, popartym zrezygnowanym machnięciem dłoni, że niby „nie było nas — był las", a „nie będzie nas — będzie las". Wypowiadający tę formułkę stanowią przykład postawy żmanfutistowskiej (franc.: je m'en fous — mam wszystko w nosie), stanowią czynnik, przesiąkły niezdrowym sceptycyzmem i w ogóle nie mają racji. Merytorycznie przede wszystkim, gdyż każde dziecko w Polsce, interesujące się Dniem Lasu, wie dobrze, że gdy nie było nas, to rzeczywiście był las, natomiast, gdy jesteśmy, to wcale z lasami nie jest tak różowo. A już zupełnie nie jestem przekonany, czy gdy nas nie będzie, będzie las. Ta bowiem ewentualność zależy od naszej postawy czynnej i tego, co w tym kierunku zrobimy.

Lasy, jak wiadomo, służą do dawania surowca drzewnego i wszelkich dóbr z nim związanych. Domy, okręty, meble, wszystko, na co składa się drzewo i pochodzi z drzewa, daje las. Lasy służą jako azyl i schronienie w czasach grozy i wojny, gdzie prześladowani i szczuci znajdują najprymitywniejszy ratunek. Las jest rezerwuarem balsamicznego powietrza: magazynuje je dla potrzebujących, chorych ludzi. Lasy stanowią natchnienie dla duszy ludzkiej, strojąc wielokrotnie w dziejach kultury swym pięknem pędzel malarza, pióro pisarza i palce kompozytora. Lasy słyszały nieskończoność najpiękniejszych zaklęć miłosnych na przestrzeni istnienia ludzkości. Nic tak nie prowokuje wyznań, westchnień i uniesień serca, jak szum drzew, zapach lasu i miękkość jego mchu. Las służy jako źródłosłów nazwisk, a o popularności jego w tym względzie niech świadczy ów zastęp Lasowskich, Leśniewskich, Laskowskich, Leśniaków i jak ich tam Bóg nazwał...

„Pewien chrześcijanin mieszkał pod lasem, będąc gajowym. Ten ujrzał, iż zbójca wykrada się z lasu..."

(Adam Mickiewicz: „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego", XV).

Przez długie wieki las nie był uważany za przyjaciela. Zdawano sobie sprawę z jego bogactw, owszem — drzewo, zioła, grzyby, ale w ogólnym rozrachunku raczej się go bano. Las zaludniały stwory, strzygi, czarownice, wilkołaki, dzikie zwierzęta i źli ludzie. Las nie miał dobrej sławy. Ale z czasem, gdy świat stał się jaśniejszy, zrozumialszy i poznany, owe strony pożyteczne lasu wzięły górę nad stronami złymi i las począł się cieszyć sympatią. Dziś, gdy w całej Polsce obchodzi się uroczyście co roku Dzień Lasu, uczucia nasze są zdeklarowane. Chcemy zalesiać nieużytki i grunty porolne, bo wiemy, zdajemy sobie doskonale sprawę, jaką to korzyść przyniesie nam samym.

„Bór był stary i wyniosły, dęby, sosny i brzozy tłoczyły się gęstą, pomieszaną ciżbą, a dołem tulił się do grubachnych pni drobny naród leszczyn, osik, jałowców i grabów, miejscami zaś świerkowe zagaje rozpychały się hardo, pnąc się chciwie ku słońcu..."

(Władysław St. Reymont: „Chłopi", t. IV).

Literatura nasza daje doskonałe świadectwo, jak dalece jesteśmy z lasem związani, kochamy go, znamy i odczuwamy jego piękno. Kartki jej zawierają mnóstwo przykładów umiłowania urody lasu i mistrzostwa w transpozycji tego uczucia na słowa. „Pomniki nasze!..." — woła o lasach polskich Mickiewicz w „Panu Tadeuszu". Ale nie tylko pomnikami, wzbudzającymi cześć i podziw, są nasze lasy. Stosunek do nich musi być bardziej utylitarny, świadomie utylitarny. Lasy to nasze wspólne bogactwo, wspólny dobrobyt i dlatego każdego z nas obowiązuje troskliwość i ochrona drzewostanu, baczenie na szkodnictwo leśne i walka z bezmyślnością leśnych rabusiów pod ludzką i zwierzęcą postacią. Ta profilaktyka leży u podłoża dorocznego Dnia Lasu. Dbając o nią, upewniajmy się w przekonaniu, że dbamy o naszą kulturę duchowa. Czysty, zdrowy, bogaty las, piękniejsze przywiedzie słowa poecie, soczystszą barwą zalśni w oczach malarza i melodyjniej zaszumi muzykowi...

„... dźwignął się na rękach i, objąwszy pień pierwszego w lesie drzewa, stanął na nogach".

(Stefan Żeromski: „Wierna rzeka").

Wieluż ludziom w czasie ostatniej wojny był las błogosławionym schronieniem, a drzewo przyjacielem, o którego, oparłszy się — on, pełzający dotąd i przypadły do ziemi w ciemnościach, mógł stanąć na nogach i wyprostować się. A ile skutecznego oporu wrogom zewnętrznym dał polski las, ile bohaterskich i zwycięskich walk z najeźdźcą stoczono w jego cieniu. Kurpiowskim chłopom, którzy w swych borach niweczyli szwedzkie wojska, partyzantom ostatniej wojny i wielu, wielu innym las pomagał w walce z tymi, którzy nas napadali. Dziś, gdy podejmujemy akcję zalesiania, zwiększamy powierzchnię leśną i święcimy Dni Lasu, nie chcemy więcej, aby las służył nam za schronienie, czy bazę walki. Nie myślimy o wojnie, nie pragniemy jej. Chcemy tylko wspomnieć dawne i już przeszłe lasu zasługi...

„... w tak okropnym stanie
Dogodne moim smutkom znajduję mieszkanie
W głębi lasów, rozległych, dzikich i posępnych..."

(Alojzy Feliński: „Barbara Radziwiłłówna" — Tragedya — Akt I, sc. II).

Ta Barbara, aczkolwiek los jej budzi współczucie, musiała być osobą skompleksowaną i ponurą, a w dodatku źle poinformowaną. Dziś, gdy my przeprowadzamy na wielką skalę akcję zadrzewiania i zalesiania osiedli robotniczych, dziwimy się, że ona chciała uciekać w głąb lasu, aby się smucić. Kompletne nieporozumienie. Właśnie w lesie mieszka się radośnie, zdrowo i przyjemnie. Propagandzie tej prawdy poświęcony będzie nadchodzący Dzień Lasu. Biedna Barbara! Gdyby przeniosła się do posępnej, studniastej, zakurzonej kamienicy w wielkim mieście, może osiągnęłaby swój cel. Ale do lasu? Gdzie jest zielono i ptaszki śpiewają...

„... W tych lasach rosną piękne drzewa zdatne do budowy okrętów, jako to sosny, jodły, dęby, których Polacy nie używając w tym celu, ścinają bez różnicy gatunków drzewa dla budowy domów lub na opał..."

(Poseł wenecki Hieronimo Lippomano w „Relacjach nuncjuszów apostolskich i innych osób" — rok 1575)

Poseł wenecki miał może rację, acz niezupełną, ale tylko w XVI-tym wieku. Gdyby się tu zjawił obecnie, stwierdziłby z łatwością, że potrafimy wykorzystać nasze lasy i nasze drzewo. Że robimy z niego nie tylko okręty i domy, lecz i celulozę, papier i znakomite meble, że eksportujemy dużo, a nasz przemysł drzewny ceniony jest wysoko. Na opał drzewa nie marnujemy, mamy pod dostatkiem węgla i w ogóle uchodzimy za znakomitych gospodarzy leśnych i fachowców od leśnictwa. Dużo nam napsuli i zrabowali Niemcy, którzy cieszą się właśnie odwrotną opinią, ale to już nie nasza wina. Jak również mało naszej winy tkwi w tym, że drzewostan cierpi od czasu do czasu na choroby leśne, które go trzebią w sposób niemiłosierny. Rolą społeczeństwa w takich razach jest ochraniać i baczyć — i do tego nawołuje właśnie co roku Dzień Lasu.

„Piękne dobra w każdym względzie
Lasy — gleba wyśmienita —

(Aleksander hr. Fredro: „Zemsta", I, sc. 1).

A więc pierwsza myśl Cześnika, gdy mówi o fortunie Podstoliny, to lasy. Stary, szczwany Cześnik! Wie, co to las i jakie bogactwo przedstawia. My wiemy o tym równie dobrze obecnie. Wiemy, że bogactwo to dało nam wiele przed wojną i da jeszcze więcej po wojnie. Przed wojną staliśmy odnośnie powierzchni zalesionej na 6-tym miejscu w Europie. Obecnie spadliśmy na 9-te. Niemcy, według pobieżnych obliczeń, gospodarując rabunkowo „na zapas", wyrąbali u nas z góry dziesięcioletni kontyngent roczny drzewa, którego potrzebuje nasz przemysł drzewny i budowlany. Tym ostrzej trzeba przystąpić do pracy zapobiegawczej i renowacyjnej. Ziemie Odzyskane wniosły 2.694.069 ha lasu. Wracamy, acz powoli, z powrotem do leśnego dobrobytu, a to jest najważniejsze.

„Od kolebki do trumny stale obracamy się w drzewie... Wszystko drzewo! Wszędzie drzewo!".

(Kazimierz Koźniewski: „Żywioły", cykl II).

Drzewo zaś, rzecz jasna, z lasu, a las z naszych wspólnych wysiłków, aby go zachować, powiększyć, ulepszyć. Oto zadanie Dnia Lasu. Bo naprzykład tacy Niemcy potrafili nie tylko niszczyć nasze, ale i psuć własne bory poprzez nieumiejętną opiekę. Tworzyli naprzykład lasy jednolite, złożone z jednakich gatunków drzewnych, czym podważali naturalną mądrość przyrody i osłabiali odporność lasu. Rezultaty takich marnotrawień widać dobrze w wyglądzie zewnętrznym lasów Pomorza Zachodniego.

„No i byle nam lasów starczyło!..." — woła ten sam Koźniewski, optymista i pragmatyk i przyrzeka ogromny, potężny, polski przemysł drzewny i fantastyczne cyfry eksportowe. Eksport to bogactwo, a my chcemy być bogaci, aby budować nowe domy, drogi, szkoły. Przeto lasów musi starczyć. Bo są konieczne, potrzebne, niezbędne. Lasy to bogactwo, dobrobyt, zdrowie i piękno! Lasy to... dosyć tych sloganów — powiedzmy sobie rzeczowo: zalesiajmy, zadrzewiajmy, chrońmy. Będziemy my — i będzie LAS!

Antoni Czechow

Tłomaczył Jerzy Pomianowski

Szydło z worka*)

ZIEMIAŃSKIM wasągiem zaprzężonym w tójkę koni, incognito w najściślejszym sensie tego słowa, Piotr Pawłowicz Posudin podążał na przełaj polnymi drogami do powiatowego miasteczka N. dokąd wzywał go otrzymany list anonimowy.

Nakryć ich... Jak piorun z jasnego nieba! — roił sobie zasłaniając twarz kołnierzem. — Narobili świństw, dranie i pewno triumfują sobie; zdaje im się, że zatarli ślady... Ha-ha... Wyobrażam sobie ich przestrach i zdumienie, kiedy jubel zostanie przerwany i rozlegnie się: „A dawajcie no tu Tiapkina-Lapkina[1])!" Ale się przerażą! Ha-ha...



Pomarzywszy sobie dowoli Posudin wdał się w rozmowę z woźnicą. Jako człowiek, pragnący popularności spytał przede wszystkim o siebie samego:

— A Posudina znasz?

— Jeszcze by nie znać! — uśmiechał się woźnica. — Znamy!

— A czego ty się śmiejesz?

— Co tu dziwnego! Ostatniego pisarza się zna, a Posudina żeby nie znać! Po to go tu właśnie postawili, żeby go każdy znał.

— No, niby tak... No i co? Jak ci się zdaje, jaki on jest? Dobry?

— Niczego sobie... — ziewnął woźnica. — Dobry pan, zna się na rzeczy... Jeszcze dwóch lat nie ma jak go tu przysłali, a już dużo ponarozrabiał.

— A cóż on takiego szczególnego zrobił?

— Dużo dobrego zrobił, daj mu pan Bóg zdrowia. Wystarał się o kolej, Chochriukowa przepędził z naszego powiatu... Nie było sposobu na tego Chochriukowa... Ale szelma, ale łapownik, wszyscy co byli, poprzednio — to go kryli, a jak nastał Posudin — to poleciał Chochriukow do diabła, jakby go wogóle nie było... Tak, bracie! Posudina, bracie, nie przekupisz, niee! Daj mu nawet setkę, nawet tysiąc, a on nie weźmie grzechu na swoją duszę... Niee!

„Chwała Bogu, że chociaż to we mnie zrozumieli, — pomyślał Posudin z radością. — To dobrze."

— Wykształcony panisko... — ciągnął dalej woźnica. — I nie za dumny... Nasi ludzie jeździli do niego ze skargą, to ich przyjął całkiem jak jakich panów: każdemu rękę podał, „proszę siadać"... Prędki taki, gorączka... Ani jednego słowa nie powie jak inni, a tylko — fyrk! Żeby to chodził statecznie, albo jak — niech Bóg broni, a ciągiem by tylko chciał biegiem, biegiem!! Nasi nie zdążyli mu nawet jak się należy wszystkiego opowiedzieć, a on już krzyczy: „Zaprzęgać!" i prosto tutaj... Przyjechał i wszystko do góry dnem... — a nie wziął ani kopiejki. O ile lepszy od poprzedniego! Pewno, pewno, poprzedni też był dobry. Taki przystojny, galanty pan, a głośniej od niego nikt w całej guberni nie krzyczał... Kiedy jechał czasem, to go było słychać o dziesięć wiorst; ale jeżeli weźmiemy wewnętrzne sprawy, albo jak tak zajrzeć od spodu, to na Posudina stronę wyjdzie! Bo też ma we łbie tego tam oleju ze sto razy więcej... Jedno tylko nieszczęście... Wszystko dobrze, tylko jedno źle: trunkowy!

„Ładny kwiat!" — pomyślał Posudin.

— A skąd ty wiesz — zapytał— że ja... że on pije?

— Pewno, wasza wielmożność, sam nie widziałem go pijanego, nie będę kłamać, ale ludzie gadają. I ludzie też go widzieli w pijanym widzie, ale taka gadka o nim chodzi... Przy ludziach, albo kiedy pójdzie w goście, na bal tam, czy do jakiego towarzystwa — nigdy nie wypije. A w domu to chla... Jak wstanie rano, to ledwo oczy otworzy — przede wszystkim — każe dać sobie wódki! Lokaj mu szklankę przyniesie, a on zaraz o drugą prosi... I cały dzień tak się zalewa. I powiedz pan tylko: pije, a nic nie poznać! Trzymać się, znaczy, potrafi. Zdarzyło się, że kiedy nasz Chochriukow pił, to nie tylko ludzie, ale nawet psy wyły. A Posudin — gdzie zaś, żeby to mu chociaż nos poczerwieniał! Zamknie się w swoim gabinecie i ciągnie... Żeby ludzie nie zobaczyli, to sobie w stole taką szufladkę urządził z rureczką. W tej szufladce zawsze wóda stoi... Schylisz się, possiesz trochę —i już zalałeś robaka. To samo ma w karecie, w teczce...

„Skąd oni to wiedzą? — przeraził się Posudin. — Boże mój, nawet to wiadomo! Co za okropność..."

— A ot jeszcze względem tak zwanej płci... Szelma! (Woźnica zaśmiał się i pokręcił głową). Po prostu coś strasznego! Z dziesięć sztuk tych marmazeli będzie miał chyba... Dwie, to w samym domu mieszkają... jedna, Nastasja Iwanowna, to u niego niby wszystkim rządzi, a ta druga — jak też się nazywa, do licha — Ludmiła Siemionówna to niby za pisarza będzie... Najgłówniejsza ta Nastasja. Jak ta co zechce, to on wszystko zrobi... Wierci nim, jak lis ogonem. Dużą władzę ma. Nawet jego tak się nie boją, jak jej... Ha-ha... A trzecia flądra mieszka na Kaczalnej ulicy... Jak im nie wstyd!

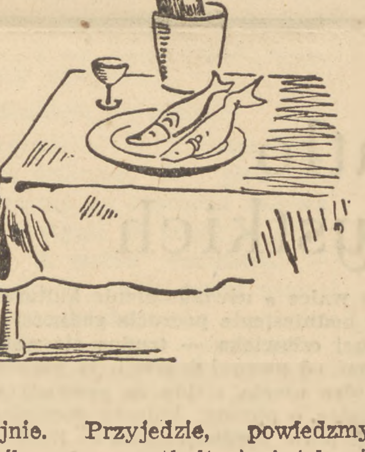
„Nawet imiona zna, — pomyślał Posudin i war uderzył mu do twarzy. — I któż to taki? Chłop, woźnica... który w mieście nawet nigdy nie był!!... To okropne... wstrętne... trywialne...

— Skąd ty to wszystko wiesz?— zapytał z rozdrażnieniem.

— Ludzie gadają... Sam nie widziałem, ale słyszało się od ludzi. A bo to trudno się dowiedzieć? Lokajowi albo stangretowi języka się nie obetnie... a napewno samą ta Nastasja łazi po wszystkich podwórkach i chwali się swoim babim szczęściem. Nic nie ukryjesz przed ludzkimi oczami. A też modę znalazł sobie ten Posudin, żeby jeździć na śledztwa pokryjomu... Poprzedni, zdarzało się, jak zechce dokądś jechać to miesiąc naprzód daje znać, a kiedy jedzie, to hałas, grzmot, harmider taki, że... zmiłuj się panie Boże! I przed nim gońcy, i za nim gońcy, i po bokach gońcy. Przyjedzie na miejsce, to się wyśpi, nażre, nachla i dopiero zacznie służbowo drzeć gardło. Nadrze się, nadrze, nogami natupie, znowu się wyśpi — i w taki sam sposób — z powrotem... A Posudin jak o czymś usłyszy, to chciałby tylko jak najskryciej przyjechać, jak najszybciej, żeby nikt nie widział i nie wiedział... Zabawa! Wyjdzie ci to z domu cichaczem, żeby urzędnicy nie zobaczyli — i na kolej... Dojedzie do stacji, jaka mu jest potrzebna i nie szuka pocztowych koni, albo jakich lepszych, a tylko patrzy, żeby jakiego chłopa nająć. Opatuli się cały, jak baba i całą drogę skrzeczy jak stary pies, żeby go po głosie nie poznali. Boki po prostu można zerwać ze śmiechu, kiedy ludzie o tym gadają. Jedzie, dureń, i myśli że go nie można poznać. A poznać go, jeśliś tylko człowiek zmyślny, raz — dwa można...

— No, jak go poznać?

— Bardzo po prostu. Dawniej, kiedy nasz Chochriukow jeździł sobie pokryjomu tośmy go poznawali po ciężkiej ręce. Jeżeli pasażer bije w zęby to to, znaczy się, właśnie Chochriuków. A Posudina zaraz można poznać... Zwykły pasażer zwyczajnie się zachowuje, a Posudin — nie taki, żeby co robił zwy-



czajnie. Przyjedzie, powiedzmy, choćby na poczthalterię i jak nie zacznie!... To mu czuć, to duszno, to zimno... Zaraz mu daj kurcząt i owoców, i różnych konfitur... W poczthalterii to już wiedzą; jak ktoś zimą zamawia kurczęta i owoce to to właśnie Posudin. Jak ktoś mówi do pocztmistrza „mój miły" i posyła ludzi po różne głupstwa, to można przysięgnąć, że to Posudin. I jedzie do niego nie jak od zwykłych ludzi, i kładzie się spać według swojej mody... Położy się w poczthalterii na kanapie, popryska koło siebie perfumami i każe zapalić koło poduszki trzy świece. Leży i papiery czyta... Tutaj nie tylko pocztmistrz, ale nawet kot się domyśli, co to za gość...



„Prawda, prawda... — pomyślał Posudin. — Jak też mogłem o tym dawniej nie wiedzieć!"

— A jak komu trzeba, to bez owoców i bez kurcząt wszystko będzie wiedział. Przez telegraf wszystkiego się człowiek dowie... Możesz chować morde jak chcesz i ukrywać się, jak ci się podoba, a tu już wiedzą, że jedziesz. Już czekają... Posudin jeszcze ze swojego domu nie wyszedł, a tutaj już — proszę uprzejmie — wszystko gotowe. On przyjeżdża, żeby ich przyłapać na miejscu, oddać kogoś pod sąd, albo wyrzucić, a oni tutaj z niego sobie zakpią właśnie. Chociaż pan, powiedzą, wasza wielmożność, przyjechał pokryjomu, to u nas wszystko czyściusieńko, niech pan popatrzy!... On się pokręci, pokręci i wróci z tym, z czym przyjechał... A jeszcze pochwali, ręce im wszystkim uściśnie, przeprosi za fatygę...— Tak, tak! A ty jak myślisz?—Ho-ho, jaśnie panie! Tu ludzie chytrzy, chytrus na chytrusie siedzi, aż przyjemnie popatrzeć, co za diabły. O, proszę, weźmy chociaż dzisiejszy wypadek... Jadę dziś rano sam jeden i spotykam na drodze od stacji Żyda — bufetowego. „Dokąd, pytam, jedziesz, panie Żydzie?" A ten mi odpowiada: „Wiozę wino i zakąski do miasta N. Tam dziś czekają na Posudina." Chytre, nie? Posudin, być może, dopiero namyśla się czy jechać, albo twarz sobie opatula, żeby go nie poznali. A może już jedzie i myśli, że nikt się nawet nie domyśla, że on jedzie, a tam już dla niego, sam pan powiedz, przygotowano i wino i łososia i ser... i różne zakąski... Co? On sobie jedzie i myśli: „wpadliście, chłopaczki!", a chłopaczki nic się nie boją! Niech jedzie! Oni już tam dawno wszystko poukrywali!

— Zawracaj! — wycharczał Posudin. — Zawracaj, bydlę!!

I zdziwiony woźnica zawrócił konie.

---

*) Z tomu „Opowiadań uclesznych" A. Czechowa, które ukażą się niebawem w przekładzie Jerzego Pomianowskiego (w ramach „Biblioteka w prenumeracie").

[1]) Słynne słowa rewizora z komedii Gogola.

Raut

Tragedia człowieka dowcipnego

I

STANISŁAW Kostka Bobas był dzieckiem Teodora i Marianny z Mariańskich. Ojciec jego Teodor miał wielkie ambicje, gdyż sklepik swój pragnął przenieść z przecznicy bocznej ulicy, na boczną głównej ulicy. Na miejscu dotychczasowym nie mógł rozwinąć w pełni swej inicjatywy. Chociaż naradzał się z kolegami w sąsiednim lokalu „Pod dorszem", chociaż stawiał tylko na fachowo wytypowane konie, los uwziął się na niego — stale brakowało potrzebnego kapitału.

Konieczność zmuszała go do poprzestania na małym. Tym większe ambicje przywiązywał do przyszłości swego potomka.

— Stasiu! — przemawiał do niego w chwilach uroczystych — pokążesz jeim, co to som Bobasy.

Kiedyś po wygraniu akumulatiwu posunął się tak daleko, że od przyjaciela z „Pod dorszem" kupił bibliotekę: 6 tomów oprawnych w czerwone płótno ze złotymi literami na grzbiecie i malunkami w środku. Niestety, chociaż biblioteka zajęła honorowe miejsce na komodzie, Stanisław Kostka do niej nie zajrzał ani razu. I tak miał dość zmartwienia z książkami szkolnymi.

Nie można powiedzieć — chłopak był, owszem, dobry. Siedział w szkole cicho, nawet nie odpowiadał na pytania nauczyciela. Rósł na chwałę Bożą, i pociechę rodzicom dopóty, dopóki nie wyrósł z ławki szkolnej. Wtedy dostał posadę w biurze.

W biurze odrazu zwrócił na siebie uwagę. Był rosły, silny, zdrowy z blond czupryną i ciemnymi zamyślonymi oczami. Gdy wchodził do pokoju, w którym pracował, wszystkie koleżanki pudrowały nosy i poprawiały usta.

Przez miesiąc nie zdarzyło się nic ciekawego. Już intryga biurowa zaczęła podszeptywać, że jest mało rozgarnięty, gdy zdarzył się fakt, przesądzający z góry jego przyszłość.

— Panie Stasiu! Niech mi pan powie, czy mi w tej spódniczce do twarzy — zapytała go ciemnooka Stefa.

Stanisław Kostka spojrzał na twarz, potem na spódniczkę Stefy. Zmarszczył się. Widać było, że usiłuje coś kojarzyć.

— Przecie spódniczka nie jest do twarzy, ale... tu urwał.

Za plecami rozległ się tłumiony chichot. Zaczerwieniona Stefa siadła przy swym biureczku. Zaległa cisza, pełna myśli, przerywanych niekiedy służbowymi zajęciami.

II.

Oczywiście, referent Sułkowski w czasie podpisywania korespondencji powtórzył dyrektorowi dialog Stanisława Kostki ze Stefą.

— Popatrz pan — zdziwił się szef — a wygląda jak trusia. Był bardzo zadowolony, gdyż Stefa dufna w poparcie miłego jej inspektora, wzgardziła jego uprzejmością.

— Nie wiedziałem, że pan taki dowcipny, „Panie z Cichapęk" — zażartował, widząc Stanisława Kostkę.

— Tak jest, Panie Dyrektorze!

— W oczy Pan sobie ze mnie żartuje. Mówi Pan „tak jest", gdy ja mówię że „nie wiedziałem". Nie mam jednak do pana żalu. Ha! Ha! Ha.

Dzięki opowiadaniom dyrektora, sława Stanisława Kostki szybko utrwaliła się.

— Lubię ten typ dowcipu — mówiła Zgorzelska — nigdy sam się nie śmieje, udaje zmieszanego, mówi tak, jakby przepraszał.

....

Młody Bobas awansował szybko. Sam nie wiedział, jak dlaczego. Słuchano uważnie, co mówił, poczym słowa jego powtarzano z komentarzem. Zaśmiewano się, a jego zdziwiony wyraz twarzy pobudzał wszystkich do tym większej wesołości.

III.

Sława jego była ugruntowana mocno, gdy w biurze zaszła wielka zmiana. Dyrektor ustąpił, na jego miejsce mianowano inspektora. W biurze nastąpiło lekkie zamieszanie, wyrażające się w tym przede wszystkim, że czarnooką Stefę otaczała atmosfera najwyższej przyjaźni.

— Jaki jest ten nowy dyrektor? — zapytał Stanisław Kostka koleżanki.

— Niech pan Stefy zapyta, ona go zna lepiej — odpowiedziała znacząco.

Stanisław Kostka nie znał się na takich subtelnościach.

— Jaki jest nowy dyrektor? — zapytał Stefy.

— Taki jak każdy — odpowiedziała zwięźle.

— Ale pani zna go lepiej...

— Nic o tym nie wiem.

— A czy pani z niego zadowolona?

Czerwona jak burak, odeszła szybko.

— Panie kolego — wziął go ktoś za łokieć. Niech pan pohamuje swój język. Ma pan dobrą posadę, a tych kilkanaści tysięcy, to nie w kij dmuchał...

— Kiedy ja nic...

— Znamy pana, znamy...

Nowy dyrektor był z niego niezadowolony. Przemawiał opryskliwym tonem. Nie znosił żadnych poufałości.

Stanisław Kostka był przerażony.

— Co ja mu zrobiłem? — pytał, ale nie dostawał odpowiedzi, natomiast wszyscy zalecali mu ostrożność.

Zwolna zaczął go otaczać chłód i też nie rozumiał dlaczego.

— Pani jest taka miła... mówił do koleżanki, a ona na to: tylko bez tej ironii.

— Oh! podziwiam pana pracę — rzekł do sąsiada, który mruknął na to ostro, że nie znosi kpin.

Wreszcie doszło do katastrofy.

Dyrektor dyktował coś Stefie, gdy przyszedł ktoś z Centralnego Zarządu i o niego zapytał.

— Jest, lecz bardzo zajęty — odpowiedział usłużnie nasz bohater.

Maszynistki dostały ataku kaszlu, ktoś w pokoju krzyknął. Gość był przyjacielem dyrektora i, klepiąc go po łopatce, ostrzegał przed przepracowaniem.

Stanisława Kostki zaczęto unikać. Ktoś życzliwy ukradkim dał mu znać, aby starał się odrobić stracony teren i zyskać dyrektorską życzliwość.

— Podkreśl umiejętnie jego prostotę.

— Nasz dyrektor — przemówił głośno Stanisław Kostka, widząc uchylone drzwi — to jest prawdziwy człowiek. Wcale nie jest dumny i szuka zetknięcia z pracownikiem.

Ktoś się zaśmiał, lecz urwał nagle, jakby nożem uciął.

— Wypraszam sobie kpiny z mej osoby — krzyknął, wpadając dyrektor — może pan sobie poszuka innej pracy.

I Stanisław Kostka Bobas szuka jej dotychczas. Próbował zostać satyrykiem.

— Za dużo między wierszami, za mało w wierszach — brzmiała odpowiedź.

Biedaczysko ostatnio pomaga ojcu w sklepiku.

Ludzie się go boją, bo taki złośliwy.



Powieść z lat kryzysu 1932 — 1935 (76)

Michał Gromus to typ, który chce zdobywać. Wpłynął na zmianę testamentu przez ojca i odziedziczył fabrykę. Zdobył kochankę Różenę Baladową, którą się szybko przesycił. Pragnie posiąść Wilmę, córkę fabrykanta mebli i szuka pretekstu do zerwania z Różeną.

Na drugim planie zarysowuje się zatarg z robotnikami, których przewodnikiem jest Jerzy Pour, także kochanek Różeny.

Na polu zerwał się nagle niespodzianie gwałtowny wiatr. Drewniany budynek Müllerowskiego schroniska zajęczał i zadrżał pod jego pierwszym uderzeniem. Nawałnica zmarłego śniegu biła w okno deszczem drobnych pojękiwań a kwilenie jej zlewało się nie do rozpoznania z łkaniem saksofonu, które nie przestawało dolatywać aż tutaj. Po napiętych nerwach Michała przejeżdżało to, jak smyczek oszalałego muzyka.

— Siądźmy i niech pan to rozważy — rzekła Wilma. — Przyszłam do pana z określoną propozycją, ale wolałabym, aby i panu to samo przyszło na myśl.

Oczywiście, to Michał wiedział od jej pierwszego słowa. Ale nie chciało mu się zastanawiać. świadomość, że siedzi z nią samotnie i w nocy w pokoju, w którego ścianach wzdychała i przewracała się niezliczona ilość par, i że mimo to jej wola sprawia, że jest ona dla niego niedotykalna, jak gdyby między nimi rozciągnięto metalową siatkę, nabitą prądem elektrycznym, — świadomość ta druzgotała każdą próbę uporządkowanego myślenia.

Wilma wpatrywała się w niego uparcie, wtulona wygodnie w kąt, który utworzyła przystawiając oparcie krzesła do stołu. Oparta o blat prawym ramieniem, z wyciągniętymi dalego przed siebie nogami, wysoka i smukła w narciarskich spodniach, ułożyła się wygodnie, najlepiej jak potrafiła. Wiedziała dobrze, jak działa na Michała, ale nie starała się tego wzmocnić ani osłabić.

— Do jakiego wniosku pan doszedł? — zapytała w końcu.

Michał wyprężył się wzruszając złośliwie ramionami.

— Do żadnego. Myślałem o pani.

— Pomieszało się to panu, panie Gromus.

(Z naciskiem wypowiedziała jego nazwisko, ulegając przyzwyczajeniu z czasów studenckich, które przeżyła przeważnie wśród chłopców. Dla Michała zabrzmiało to, jak gdyby się zniego wyśmiewała.)

— Jeśli nie dawały panu spokoju myśli, że jest noc, i że jest pan tu sam ze mną, to nie jest to samo.

Wstała i zbliżyła się do niego — stojąc nad nim, ciągnęła dalej pogardliwie:

— Wariat z pana. Chciałby mnie pan mieć, zaraz, teraz, i myśli pan sobie, co by przez to zdobył. A przecież, co pan w tym wszystkim znaczy? Może mnie pan mieć raz i potem już nigdy, albo wogóle nigdy. To zależy tylko od mnie, pan zaś, proszę się nie gniewać, jest w tym niejako czymś podrzędnym. Brzmi to nieprzyjemnie? Mówię to dlatego, aby przynajmniej dodatkowo było wyraźnie, pan zaś niech sobie powie, że nie ma czego żałować. A przecież miał pan, no, dajmy na to, nadzieję, ponieważ, przynajmniej na chwilę, liczyłam na pana w tym, czego ja chcę od życia. Nie udało się panu pomyśleć o mnie tak, jak potrzebowałam. Dobranoc.

Odwróciła się do odejścia, albo udawała, że chce odejść.

Ta chwila zdecydowała o przyszłości Michała i Wilmy. O charakterze ich przyszłego wspólnego życia. Kto może powiedzieć, że odeszłaby naprawdę, gdyby Michał dalej siedział, powstrzymywany silną ręką zrozumiałego męskiego uporu, i kto może wiedzieć, czy jeden upór nie zrodziłby drugiego, i Wilma ulegając mu, pozostałaby nim wypchnięta za drzwi? Kto może wiedzieć, czy potem, dręczone w ciemności nocy żalem nad zdruzgotaniem marzenia, jej upór i wola, nie skruszyłyby się i czy Wilma nie przyszłaby nazajutrz prosić tam, gdzie chciała dyskontować i wymagać. Ale bunt Michała nie zdołał nawet wybuchnąć, a już opadł pod napływem przestrachu. Chwycił Wilmę za rękę wcześniej, zanim zrobiła pierwszy krok, i pociągnął ją ku sobie.

— Tutaj pani zostanie — rzekł, starając się o twardość i stanowczość w głosie. — Nie może sobie pani tak igrać ze mną. Jeżeli nie zrozumiałem pani zagadki, niech mi pani sama pada jej rozwiązanie.

Czy przeżywał już kiedyś taką chwilę, czy się mu to tylko zdawało? Było to coś silniejszego niż odbłysk wspomnienia. Jak gdyby krzyknęło coś, co w nim od dawna szeptało, ale czemu nie dawał posłuchu: pokora szczekająca zębami, jęcząca, biedna troska, która boi się, by się nie zdradzić; złość, którą kruszył strach i bezsilne pragnienie, od którego ręce drżą chęcią popełnienia morderstwa. Dlaczego przypomniał sobie właśnie teraz o swym ojcu i Annie Gromusowej?

Ściskał przegub ręki Wilmy tak silnie, że sam odczuwał ból tego uścisku, ale ona uwolniła ją nad podziw lekko.

— Niech pan tego nie próbuje po raz drugi — rzekła i siadła z dala od niego.

Wiatr zawył pod dachem jak głodny wilk, okno rozbrzęczało się pod jego naporem a śnieg zadzwonił po szkle, jakby ktoś rzucił na nie łopatą piasku. Wilma zadrżała.

— Zaczyna tu być zimno — rzekła i naciągnęła sobie na ramiona kołdrę Michała.

— Wilmo, — poprosił głosem i oczyma — niech pani pozwoli abym usiadł obok niej i objął panią w pół. A potem niech pani mówi.

Patrzyła na niego chwilę w zamyśleniu, jakby rozważając jego propozycję, a wkońcu odpowiedziała niezwykle łagodnie:

— Nie. Nie słuchałby pan potem tak uważnie, jak potrzebuję.

I natychmiast pochyliła się ku niemu patrząc niemal dziko.

— Niech pan przynajmniej na chwilę przystanie myśleć o tym, że jestem kobietą. Chcę, aby pan decydował jak kupiec, a nie jak zakochany wariat, bo do pańskiego wariactwa przede wszystkim ja musiałabym dopłacić. Nie chcę dopłacać ani żałować. Ta licytacja zaskoczyła mnie. Zawsze liczyłam na to, że fabryka ojca będzie kiedyś należała do mnie. Nie jako majątek, ale jako coś, co umożliwi mi urzeczywistnienie mych planów bez zależności od głupich i chciwych zysku przedsiębiorców. Muszę mieć tę fabrykę, Gromus, i przyszłam do pana z taką propozycją: wyjdę za pana, jeśli ją pan kupi z licytacji. Dla pana będzie to tanio zyskany majątek, a dla mnie spełnienie wszystkiego, czego pragnę od życia. Ale chcę, aby pan odsunął od siebie myśl, że przez to pozyska mnie, natomiast aby rozważał o tym, jako o inwestycji dogodnej lub niedogodnej. Proszę pomyśleć, całe Libnice podziwiają pański spryt kupiecki, jest więc w tym chyba coś prawdy. Jeśli pan to zrobi, wyjdę za pana, jeśli zaś dojdzie pan do wniosku, że byłaby to głupota z pańskiego czysto kupieckiego punktu widzenia, wyjadę z Libnic. Nie mam tu potem czego szukać

D. c. n.

Gospodarka i finanse

Jerzy Adamski

Przygotowujemy się do nowego etapu

OD chwili zakończenia działań wojennych dzielą nas cztery lata. Jest to, biorąc w skali historycznej, okres bardzo krótki. Równocześnie jednak jest on niezwykle bogaty w swej treści, na którą złożyły się głębokie i gruntowne przemiany ustrojowe, olbrzymie wysiłki i wspaniałe osiągnięcia.

Przed wojną modny był u nas termin „tempo amerykańskie". W niezdolnym wyjść z impasu, zacofanym ekonomicznie i społecznie kraju — rozwój gospodarczy Ameryki, szybkość i rozmiary dokonywujących się tam procesów ekonomicznych budziły podziw i zachwyt. Nie dostrzegano odwrotnej strony „medalu". życia amerykańskiego, nie dostrzegano również, że w sąsiadującym z nami o międzę Związku Radzieckim dokonuje się, w tempie znacznie szybszym od przysłowiowego „tempa amerykańskiego", wielki proces rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, oparty na mocnych i trwałych podstawach.

Dziś nie mówi się już o tempie amerykańskim. Nie budzi ono ani podziwu ani zazdrości. Dziś mówimy o tempie socjalistycznym, które właśnie charakteryzują minione cztery lata odbudowy naszej gospodarki.

Zilustrujemy to cyframi. Przyjmując rok 1937 za 100 — wartość naszej globalnej produkcji wielkiego i średniego przemysłu wynosiła: w 1945 — 38, w 1946 r. — 77, w 1947 r. — 107, w 1948 r. — 140,5. Łączna produkcja (brutto) rolnictwa na głowę ludności przyjmując 1938 rok za 100, wynosiła w 1945 r. — 45, a w 1948 r. — 110. W stosunku do okresu przedwojennego nasze obroty zagraniczne równały się: w 1945 r. — 7,7 proc., w 1946 r.—29,1 proc., w 1947 r. —58,1 proc., a w 1948 r. — 115,3 proc. przekraczając poziom przedwojenny. Rozmiary inwestycji przekroczyły w 1948 r. znacznie poziom przedwojenny. W przeliczeniu na jednego mieszkańca wartość inwestycji w r. ub. była dwukrotnie wyższa aniżeli w 1938 r. Dochód narodowy już w 1947 r osiągnął conajmniej 94 proc. poziomu przedwojennego, a w roku ubiegłym przewyższył go o przeszło 17 proc.

Cyfry te mówią bardzo dużo. Trzeba je tylko przemyśleć i zrozumieć.

Z drugiej jednak strony pamiętać należy, że w cyfrach niesposób zamknąć tego wszystkiego, co się u nas dokonało w minionym czteroleciu. W cyfrach nie wyrazimy np. ogromnych przemian w organizacji życia społecznego, czy też przemian, które dokonały się w psychice szerokich mas ludności. Są to jednak zjawiska łatwo dostrzegalne nawet dla pobieżnego obserwatora.

TEMPO odbudowy i rozwoju ekonomicznego naszego kraju w minionym czteroleciu było niezwykle szybkie. Każdy rok stanowił bogatą kronikę faktów, wydarzeń i osiągnięć. Każdy rok był, ogniwem łańcucha „odbudowy", o mniejwięcej jednakowym ciężarze gatunkowym.

Czy rok bieżący będzie podobnym do poprzednich ogniwem? Nie, ponieważ rok ten, jeśli już używamy tego porównania, będzie jakgdyby specjalnym ogniwem, które połączy łańcuch „odbudowy" z łańcuchem „rozbudowy."

Rok 1949 nie tylko podsumuje osiągnięcia okresu odbudowy, rozstrzygając o ostatecznym wyniku trzyletniego planu, ale, jednocześnie, będzie on wstępnym do nowego okresu — sześcioletniego planu rozbudowy, którego zasadniczym założeniem jest zbudowanie podstaw socjalizmu w Polsce.

Znajduje to swój wyraz w planie na r.b., który poważnie zwiększa zadania produkcyjne oraz rozmiary nakładów inwestycyjnych. Przy opracowaniu planu położono szczególny nacisk na wzmożenie wytwórczości dóbr inwestycyjnych, produkcję środków zaopatrzenia rolnictwa oraz materiałów i maszyn budowlanych. Wartość produkcji środków wytwórczych w przemyśle państwowym w rb. ma wynieść ok. 61 proc. ogólnej wartości produkcji. W inwestycjach następuje dalsze i to znaczne przesunięcie w kierunku inwestycji nowych.

Wartość tegorocznej produkcji przemysłowej w gospodarce uspołecznionej ma wynieść 16,1 mld. (wg cen z 1937 r.), wzrastając w porównaniu z wartością produkcji planowanej na rok ub. o 26 proc., a w porównaniu z wykonaną o 15 proc. Wartość produkcji rolnej osiągnąć ma 7,8 mld. zł (wg cen z 1937 r.), co oznaczać będzie wzrost o 15 proc. w stosunku do planu na rok ubiegły, a conajmniej o 4 proc. w stosunku do rzeczywistych wyników. Wartość obrotów handlowych z zagranicą powinna w rb. w porównaniu z 1948 r. wzrosnąć o 15 poc. Dochód narodowy powinien wynieść ok. 20,6 mld. zł, wzrastając o 14 proc. w porównaniu z 1948 r. (przy wykonaniu planu tylko w 100 proc. stanowić to będzie 133 proc. poziomu przedwojennego).

W roku bieżącym dokonamy wielkich nakładów inwestycyjnych na ogólną kwotę 314 mld. zł. Inwestycje przemysłowe stanowić będą 40,3 proc., przy wzroście nakładów o 46,8 proc. w stosunku do ubiegłego roku. Łączne wydatki z budżetu, planu finansowego oraz z kredytów obrotowych wyniosą ok. 800 mld. zł.

Plan na rok bieżący cechuje również, znaczne pogłębienie planowania oraz jego rozszerzenie (m.in. przez objęcie planem gospodarki samorządowej i spółdzielczej).

MÓWIĄC o wyjątkowym charakterze roku bieżącego jako ogniwa wiążącego dwa etapy, wskazać należy na następujące fakty.

Po pierwsze — przeprowadzenie na progu bieżącego roku powszechnej reformy płac, łącznie z likwidacją zaopatrzenia kartkowego. Reforma płac stanowi poważny (chociaż jeszcze ograniczony realnymi możliwościami) krok naprzód w zakresie ich uporządkowania i podniesienia. Przeciętna realna podwyżka płac wyniosła 10 proc. Zniesienie systemu kartkowego oznacza przejście na normalne, prawidłowe zaopatrzenie ludności.

Po drugie — podjęcie akcji „H" zmierzającej do podniesienia hodowli i produkcji zwierzęcej, a tym samym zlikwidowania istniejącego deficytu w zaopatrzeniu w mięso i tłuszcze.

Po trzecie — reorganizacja administracji gospodarczej i jej władz nadrzędnych, podyktowana koniecznością objęcia coraz większego apartu przemysłowego i handlowego sektora uspołecznionego. Duże znaczenie ma też realizowana obecnie reforma bankowości.

Po czwarte — wprowadzenie w całej gospodarce konsekwentnego, przemyślanego i zorganizowanego systemu oszczędzania. System taki spełnia w gospodarce planowej ogromną rolę: przyśpiesza procesy akumulacji środków dla zwiększenia wytwórczości oraz jest ważnym instrumentem polityki cen, których kształtowanie ściśle się wiąże z poziomem kosztów własnych produkcji.

Stała, codzienna walka z marnotrawstwem, walka o pełne, jak najbardziej racjonalne wykorzystanie wszystkich sił i środków wytwórczych — to mocne podstawy dla wykonania ambitnych, dużych i niełatwych zadań.

Podstawy systemu oszczędzania ustaliła uchwała Rady Ministrów. Mobilizacji szerokich mas do walki o racjonalną i oszczędną gospodarkę dokonała Krajowa Narada Oszczędnościowa.

PRZYSTĘPUJĄC do wykonania zadań stojących przed nami w roku bieżącym, mieliśmy — co należy podkreślić — pomyślne warunki startu. Przede wszystkim stworzyły je osiągnięcia ub. roku, wyrażające się przedterminowym wykonaniem planu we wszystkich podstawowych dziedzinach gospodarki.

Jednocześnie zmieniła się sama metoda opracowania planu gospodarczego, dzięki czemu poszczególne plany przygotowane zostały wcześniej i w sposób bardziej dokładny i szczegółowy, aniżeli w latach ubiegłych.

Wreszcie „startowi" towarzyszyły pomyślne okoliczności obiektywne. Mamy tu na myśli przede wszystkim warunki atmosferyczne — łagodną i lekką zimę, co miało szczególne znaczenie dla ciągłości prac budowlanych oraz prawidłowego funkcjonowania transportu.

„Start" udał się. Pierwszy kwartał minął pod znakiem stałego wzrostu produkcji, przy znacznym przekraczaniu planów miesięcznych w poszczególnych gałęziach wytwórczości.

Zarówno przygotowania jak i pierwsze roboty wiosenne w rolnictwie miały i mają przebieg prawidłowy. Akcja kontraktowania rozwija się b. pomyślnie, o czym świadczą napływające ze wszystkich stron kraju meldunki.

Wbrew „pobożnym" życzeniom pewnych kół, dokonana na progu roku reforma płac, połączona ze zniesieniem systemu kartkowego, nie wpłynęła na wahania cen wolnorynkowych.

W dziedzinie gospodarki finansowej obok prawidłowego wykonania budżetu podkreślić należy pomyślny rozwój akcji kredytowej oraz — pomimo wzrostu produkcji i wczesnego podjęcia działalności inwestycyjnej — zmniejszenie obiegu gotówkoweog.

Hasło walki o oszczędną i racjonalną gospodarkę znalazło imponujący odzew w masach pracowniczych. Wyrazem tego są m.in. manifestacyjne zobowiązania w ramach Czynu 1-Majowego.

Wyniki pierwszych miesięcy pozwalają nam żywić głębokie przekonanie, że zadania roku bieżącego będą w pełni wykonane. Robotnik polski udowodnił w latach poprzednich, że dotrzymuje swoich zobowiązań. Jeśli obecnie deklaruje przedterminowe wykonanie planu rocznego i trzyletniego, oraz realizację systemu oszczędzania— to mamy prawo wierzyć mu bez zastrzeżeń.

Nowe ustawy i rozporządzenia

18 numer Dziennika Ustaw R. P. przynosi m. in. ustawę z dnia 9 marca 1949 r. o zmianie dekretu z dn. 28.7 r. ub. o najmie lokali. W dziale rozporządzeń znajdujemy m. in. rozporządzenie ministra administracji publicznej z dn. 11 marca rb. w sprawie bezzwrotnych stypendiów dla studentów szkół wyższych oraz rozporządzenie ministra Pracy i Opieki Społecznej z dn. 23 lutego rb. w sprawie wysokości zasiłku rodzinnego.

19 numer Dziennika Ustaw R. P. przynosi pełny tekst ratyfikowanej umowy Światowego Związku Pocztowego z dn. 23.5.1939 r., m. in. tekst porozumienia dotyczącego listów i pudełek z podaną wartością, tekst porozumienia dotyczącego przekazów pocztowych jak również tekst porozumienia dotyczącego pocztowych przelewów pieniężnych.

20 numer Dziennika Ustaw R. P. przynosi tekst umowy zawartej między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Czechosłowacką o wzajemnym obrocie prawnym w sprawach cywilnych i karnych, podpisanej w Warszawie dn. 21.1.49 r.

Awans społeczny kobiet

Centralny Zarząd Przemysłu Mineralnego wysunął kilkanaście kobiet pracujących w hutach szklanych na odpowiedzialne stanowiska:

W hucie szkła taflowego w Kunicach Żarskich wysunięto na stanowisko majstra 18-letnią robotnicę Władysławę Czeredę. Władysława Czereda od szeregu miesięcy przekracza podstawowe normy produkcyjne. Dzięki awansowi, zarobki jej wzrosły trzykrotnie.

W hucie szkła w Łuknicy na stanowiska majstrów-hutników wysunięto dwie 19-letnie robotnice — Zofię Staniczek i Jadwigę Staniewską. Zofia Staniczek pracuje w przemyśle szklarskim od 1947 r. Od maja 1948 r. pełniła ona funkcje dmuchaczki w hucie łuknickiej. Jadwiga Staniewska, mimo swych 19 lat, pracuje w przemyśle już od 1946 r.

W tej samej hucie awansowano ostatnio pracownicę umysłową Jadwigę Wójcik na stanowisko dyrektora administracyjno-handlowego.

Częstochowa ma pierwszą kobietę na stanowisku dyrektora fabryki. Jest nią ob. Zofia Bergander, która objęła kierownictwo fabryki cukrów „Społem".

Nowomianowana kobieta-dyrektor pochodzi z rodziny małorolnych chłopów. Do wybuchu wojny była działaczką robotniczą i członkiem KPP, więzionym kilkakrotnie przez władze sanacyjne. W okresie okupacji Niemcy zesłali ją do obozu koncentracyjnego Waldenburg. Po wyzwoleniu podjęła pracę w fabryce czekolady w Gdańsku. Dzięki wykazanej energii oraz poświęceniu dla sprawy odbudowy fabryki i rozwoju produkcji, awansowała na stanowisko wicedyrektora.

14 tys. kobiet znajdzie zatrudnienie

Wydział Aktywizacji Zatrudnienia przy Centrali Spółdzielni Pracy przystępuje obecnie do wykonania planu w zakresie organizacji robotniczych spółdzielni wytwórczych, zatwierdzonego przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej na 1949 r. W ramach tego planu powstanie w całym kraju ponad 130 spółdzielni, w których znajdzie zatrudnienie ok. 14 tys. kobiet, odpowiednio przeszkolonych przez Ligę Kobiet.

Z liczby tej w województwie białostockim powstaną 4 zakłady pracy, pomorskim 5, gdańskim 8, śląsko-dąbrowskim 17, kieleckim 6, krakowskim 10, lubelskim 6, łódzkim 12, olsztyńskim 5, poznańskim 11, rzeszowskim 4, szczecińskim 5, warszawskim 25, oraz dolnośląskim 15.

Spośród wyżej wymienionych placówek spółdzielczych, 89 reprezentować będzie branżę konfekcyjną, 22 branżę tkacko-dziewiarską, pozostałe zaś inne gałęzie przemysłu.

Odłączniki napowietrzne produkują warsztaty ZEORK

Warsztaty mechaniczne Zjednoczenia Energetycznego Okręgu Radomsko-Kieleckiego mają charakter nietylko naprawczy ale i produkcyjny. Poza reperacją transformatorów uszkodzonych na linii produkuje się tu odłączniki napowietrzne oraz szereg innych drobnych artykułów elektrotechnicznych niezbędnych dla obsługi linii elektrycznych. Produkcja warsztatów ZEORK-u jest dwukrotnie tańsza od produkcji fabrycznej. Warsztaty przechodzą obecnie na produkcję seryjną.

Dzięki wytężonej pracy warsztaty przekroczyły znacznie plan pierwszego kwartału rb. Na szczególną uwagę w warsztatach zasługuje Adam Zieliński, ślusarz, który bez pomocy rysunków wykonał m.in. nawijarkę cewek transformatorowych, używając do wykonania tej maszyny starych części samochodowych i rowerowych. (Egg)

3.000 włókniarzy na MTP

Centralny Zarząd Przemysłu Włókienniczego organizuje w kwietniu masowe wycieczki fabryczne na MTP, w których weźmie udział ponad 3000 włókniarzy.

Wynalazki i usprawnienia

Mistrz huty „Zabrze" **Rudolf Strzysz**, wykonał sygnalizację alarmową dla urządzeń gazowych, chroniącą przed niebezpieczeństwem eksplozji gazów. Urządzenie to sygnalizuje za pośrednictwem syreny alarmowej zarówno spadek ciśnienia poniżej granicy dopuszczalnej, jak również nadmierne ciśnienie grożące wybuchem. Sygnalizacja ta pozwala na regulację dopływu gazu, zwiększając stan bezpieczeństwa pracy. Wynalazcy przyznano premię pieniężną.

*

Na uwagę zasługuje udzielony ostatnio patent na specjalnego typu filtr świetlny wynaleziony przez inż. **Leona Polakowa** w Łodzi już w roku 1938 i znacznie ulepszony w okresie powojennym.

Filtr ten znajduje duże zastosowanie w ciemniach roentgenowskich jak również w przemyśle filmowym. Wynalazek polega na tym, że zamiast dotychczas używanego czerwonego światła ciemnicowego stosuje się oświetlenie barwy bardzo zbliżonej do białej.

Najważniejszą zaletą wynalazku jest możność stosunkowo jasnego oświetlenia pomieszczeń gdzie odbywa się praca oraz skasowanie szkodliwego wpływu światła czerwonego, które dawało się poważnie we znaki zatrudnionym powodując przedwczesne znużenie. (Egg)

Dochód narodowy w gospodarce planowej

DOCHÓD narodowy jest jednym z kluczowych zagadnień socjalistycznej gospodarki, a więc gospodarki planowej.

Przede wszystkim rozpatrzymy pojęcie dochodu narodowego. U nas w Polsce pojęcie to jest specjalnie zachwaszczone kategoriami myślenia burżuazyjnego. Nic zresztą dziwnego. Społeczeństwo polskie było do niedawna wychowywane wyłącznie w kategoriach poznawczych ekonomiki burżuazyjnej, która dla własnych celów ukuła specyficzną metodę obliczania dochodu narodowego, wychodząc z kapitalistycznego pojęcia tego dochodu.

Musimy więc przede wszystkim oczyścić nasze myślenie ekonomiczne poprzez zapoznanie się z naukowym poglądem w tej sprawie marksizmu - leninizmu.

Zacznijmy od Marksa. Karol Marks pierwszy sformułował w sposób nowoczesny i naukowy problem tego dochodu, rozróżniając tak zwany przychód brutto i przychód netto od dochodu brutto i dochodu netto. Przychód brutto albo produkt brutto stanowi cały wyprodukowany wytwór.

Dochód narodowy, czyli w terminologii Marksa dochód brutto jest tą częścią wartości (i wymierzanej przez nią części wytworu brutto — „Brutto — products oder Rohproducts"), **jaka pozostaje po odliczeniu części wartości całej produkcji** (i wymierzanej przez nią części wytworu), **która kompensuje kapitał włożony w produkcję oraz kapitał stały zużytkowany na nią.** Dochód brutto równa się zatem płacy zarobkowej (lub tej części produktu, jaka ma się zamienić ponownie w dochód robotnika) plus zysk plus renta. W przykładzie W. I. Lenina odnośne określenie Marksa brzmi: „Jeżeli będziemy rozpatrywać dochód całego społeczeństwa, to dochód narodowy składa się z pracy zarobkowej plus zysk, plus renta, t. j. dochód brutto"[1]). Według marksizmu-leninizmu **dochód narodowy stanowi tę część globalnego produktu społecznego, wytworzonego w odnośnym kraju, jaka zostaje po skompensowaniu środków produkcji zużytych na wytwórczość.**

Tak pomyślany dochód narodowy społeczeństwa socjalistycznego przechodzi całkowicie (w przeciwieństwie do ustroju kapitalistycznego) do rąk mas pracujących całego kraju

Z uwagi na podstawowe założenia gospodarki socjalistycznej, zmierzającej do ciągłej, stałej poprawy poziomu życiowego ludności, dochód narodowy jest jednym z najbardziej istotnych wskaźników ekonomicznych. Rozwój jego bowiem daje obraz dynamiki gospodarstwa narodowego, wzrostu dobrobytu materialnego kraju.

W ujęciu marksistowskim dochód narodowy jest bodaj, czy nie najważniejszą częścią bilansu gospodarstwa narodowego.

Zastanówmy się teraz, jakie są źródła dochodu narodowego. **Źródłem jego jest produkcja materialna, a więc suma produkcji tych działów gospodarki narodowej, które produkują rzeczowe dobra użytkowe.** Charakterystyczna cecha produkcji materialnej i jej odrębności od produkcji niematerialnej jest nie w wytwórczości rzeczy, przedmiotów, czy przyrody — istotą jej, fundamentum divisionis, jest oddziaływanie człowieka na przyrodę i jej siły, z zamiarem przekształcenia ich, przetworzenia stosownie do potrzeb człowieka.

Skoro już wyjaśniliśmy pojęcie dochodu narodowego należy z kolei rozpatrzyć sprawę jego podziału.

W ustroju kapitalistycznym podział ten dokonywa się zasadniczo między trzy klasy społeczne: jako dochód kapitalistów w postaci ich zysków, jako dochód właścicieli ziemskich, obszarników w postaci renty oraz jako dochód klasy robotniczej w postaci płac zarobkowych. Oczywiście łącznym źródłem jest tu globalny produkt społeczny, łączna wartość wytworzona pracą w danym okresie czasu.

W myśl naukowych podstaw marksizmu - leninizmu podziałowi dystrybucji podlega cały produkt społeczny materialny.

W ustroju kapitalistycznym grupa kapitalistów zagarnia lwią część dochodu narodowego, a masy pracujące otrzymują nieznaczną tylko część. Fakt ten jest właśnie powodem nieuniknionej walki klas.

W ustroju socjalistycznym całkowity wytworzony dochód narodowy należy do pracujących. I to właśnie warunkuje zupełnie inne zasady jego dystrybucji w gospodarce planowej.

W okresie budowy ustroju socjalistycznego „rozdział dochodu narodowego — mówi Stalin — odbywa się nie w celu wzbogacenia klas wyzyskujących i ich licznej pasożytniczej czeredy pomocników, lecz w celu systematycznego podnoszenia sytuacji materialnej robotników i chłopów oraz rozszerzenia wytwórczości socjalistycznej miast i wsi".

W Z.S.R.R. np. dystrybucja produktu materialnego dokonywana jest według uwiecznionej w konstytucji zasady: „kto nie pracuje, ten nie je" i „od każdego według jego zdolności— każdemu według jego pracy".

Rozdział dochodu narodowego planuje się w gospodarstwie socjalistycznym w ten sposób, iż z jednej strony planuje się akumulację, z drugiej strony spożycie. Spożycie przy tym planuje się według grup społecznych ludności.

Powyższe uwagi obrazują całkowicie inne, odmienne niż w kapitaliźmie podejście marksizmu - leninizmu do zagadnienia dochodu narodowego, zagadnienia podstawowego w gospodarce planowej.

Dr M. O.

[1]) **Lenin W. I.: Soczin, t. III, wyd. 2,** str. 37.

Mosty z lekkiego metalu

Wielki przemysł aluminiowy powstaje na Węgrzech

Na Węgrzech znajdują się jedne z największych na świecie pokłady rudy aluminium i bauksytu. Zanim jednak rodzimy przemysł węgierski zdołał rozwinąć w należytym stopniu wydobycie rudy bauksytu i zbudować pierwsze fabryki przetwórcze tego tak cennego metalu musiał otrzymać takie możliwości rozwojowe, jakie zapewnić może jedynie socjalistyczna na nowych zasadach oparta gospodarka.

W okresie przedwojennym kierowany w znacznej części przez kapitał niemiecki, przemysł węgierski celowo wydobywał jedynie rudę bauksytu. Równocześnie w Niemczech powstał szeroko rozwinięty przemysł aluminiowy, którego bazy surowcowe znajdowały się na Węgrzech i który dzięki wpływom kapitału niemieckiego potrafił zapewnić sobie całkowite panowanie nad węgierskim bauksytem a tym samym uniemożliwić rozwój węgierskiego przemysłu aluminiowego.

W okresie wojennym rządy Horthy'ego oddały olbrzymie węgierskie bogactwa mineralne całkowicie do dyspozycji niemieckiego aparatu wojennego.

Bezpośrednio po oswobodzeniu Węgier, czynniki demokratyczne podjęły kwestię upaństwowienia tej ważnej gałęzi gospodarki. Oczywiście zdradzieckie rządy b. premiera Nagy Ferenca czyniły wszystko, ażeby przeszkodzić upaństwowieniu węgierskiego przemysłu aluminiowego. Wprowadzenie ustawy o upaństwowieniu udało im się opóźnić tak, że weszła ona w życie dopiero w lutym 1948 roku tj. przeszło trzy lata po oswobodzeniu Węgier, a w niespełna pół roku po przejęciu władzy przez węgierskie masy pracujące. Zarząd nad upaństwowionymi kopalniami bauksytu i przedsiębiorstwami przetwórczymi objęło nowo-utworzone państwowe towarzystwo akcyjne „Bauksyt-Aluminium", w skrócie ALBART. Zcentralizowanie zarządu nad całym przemysłem aluminiowym przyniosło ogromną poprawę w tej dziedzinie — przyczyniając się między innymi do poważnego wzrostu produkcji. W krótkim, bo jednorocznym okresie istnienia Albart położył pod waliny pod budowę i rozwój wielkiego węgierskiego przemysłu aluminiowego. Porównując wyniki produkcyjne lat ubiegłych z wynikami osiągniętymi w roku 1948 tj. po upaństwowieniu, widać ogromną poprawę. W porównaniu z rokiem 1947 produkcja rudy bauksytu wzrosła czterokrotnie, produkcja zaś aluminium hutniczego trzykrotnie — wyprodukowano o 50 proc. więcej półfabrykatów aluminiowych i o 40 proc. więcej fabrykatów niż w roku 1947. Rząd węgierski rozumiejąc wielkie znaczenie tego przemysłu preliminował na cele inwestycyjne w roku 1949 ok. 23 mln. forintów.

Wielkie sukcesy osiągnięte przez węgierski upaństwowiony przemysł aluminiowy sprawiły, iż stał się on jednym z najważniejszych filarów gospodarki węgierskiej. Produkcja węgierskiego przemysłu aluminiowego zaoszczędziła poważne ilości dewiz, które dawniej przeznaczano na zakup fabrykatów aluminiowych.

Węgierski przemysł aluminiowy równocześnie ze wzrostem produkcji przeprowadzał odpowiednią propagandę w społeczeństwie, celem zapoznania go ze znaczeniem fabrykatów aluminiowych i ich praktycznymi wielostronnymi zaletami. Węgierski przemysł aluminiowy może się poszczycić znacznymi osiągnięciami w dziedzinie konstrukcyjnej. Na Węgrzech produkuje się już karoserie autobusowe i tramwaje z metalu lekkiego. Znany węgierski uczony i prof. Politechniki w Budapeszcie dr. Gillmot opracował nowy system spajania aluminium przy pomocy ultra krótkich fal głosowych. Zbudowano pierwszy most z metalu lekkiego. Ma on piętnaście metrów długości. Na razie mosty z lekkiego metalu konstruowane będą w celach doświadczalnych na mniej uczęszczanych szosach — po uzyskaniu zaś odpowiednich doświadczeń praktycznych, węgierski przemysł aluminiowy ma nadzieję przystąpić do budowy wielkich mostów z metalu lekkiego, których konstrukcja dzięki lekkości materiału będzie w ogromnym stopniu ułatwiona. Przewiduje się również seryjną budowę wagonów pullmanowskich z aluminium.

Najnowszym wynalazkiem przemysłu węgierskiego jest maszyna do „robienia deszczu". Maszyna ta przeszła już najtrudniejsze próby i węgierskie koła rządowe uznały ją za doskonałą, zamawiając 27 sztuk. Maszyną tą zainteresowała się bawiąca niedawno na Węgrzech bułgarska delegacja rządowa i z miejsca zamówiła dla Bułgarii 23 sztuki.

Jak wygląda ten nowy wynalazek przemysłu węgierskiego? Maszynę przewozi tabor samochodowy, złożony z jednego traktora i 2 samochodów ciężarowych. Na jeden z samochodów ładuje się rury o długości 2.500 mtr. oraz inne części składowe. Drugi samochód jest domkiem mieszkalnym 4 ludzi stanowiących obsługę maszyny. Całe urządzenie można ustawić w jakimkolwiek miejscu nad wodą bez żadnego przygotowania. Najważniejsza część całego urządzenia stanowi specjalna pompa wirowa zamontowana w tylnej części seryjnego traktora produkcji węgierskiej MAVAG. Pompa ta wyrzuca od 1800 do 2.000 l. wody na minutę.

Przy pomocy takiego urządzenia można dać ziemi opad deszczowy 100 mm na obszarze 300 morgów a 150 mm na obszarze 200 morgów. Pierwsze maszyny deszczowe zastosowane zostaną na suchych obszarach stepów węgierskich t.zw. Puszty w okolicach Hortobagy pomiędzy rzeką Tisą a granicą rumuńsko-węgierską.

J. MISIEWICZ

Ze świata

Wartość importu towarów zagranicznych do Czechosłowacji w marcu rb. wyniosła 3.216 mil. koron, co stanowiło wzrost o 279 mil. w stosunku do lutego.

Eksport czechosłowacki miał wartość 3.560 mil. koron, czyli o 512 mil. więcej niż w poprzednim miesiącu.

W ciągu I-go kwartału import czechosłowacki wyniósł 8.736 mil. koron, eksport zaś — 9.093 miliony, co dało dodatni bilans handlowy w wysokości 357 mil. koron.

W I-szym kwartale r. ub. czechosłowacki handel zagraniczny dał deficyt w sumie 3.613 mil. koron.

Szwecja sprzedała W. Brytanii 60 tys. do 10 tys. ton rudy żelaznej jako ilość dodatkową do zakontraktowanej na rok bieżący.

Chroniczny brak tytoniu na brytyjskim rynku wewnętrznym denerwuje nie tylko palaczy angielskich ale również zatruwa życie amerykańskim plantatorom tytoniowym i amerykańskiemu ministerstwu rolnictwa. Brytyjski problem tytoniowy związany jest ściśle z brakiem dewiz dolarowych. Chcąc zaoszczędzić dewizy dolarowe, rząd brytyjski zmniejszył import.

Brytyjska polityka tytoniowa skierowana jest głównie przeciwko USA, które są największym na świecie producentem i eksporterem tytoniu. Eksport tytoniu z USA wynosi ok. 5 proc. całego amerykańskiego eksportu. Ponad 50 proc. amerykańskiego tytoniu szło do W. Brytanii. Restrykcje brytyjskie wywołały „niezadowolenie w USA".

Brytyjski import tytoniu, który w r. 1947 wyniósł 296,44 mil. lbs. zmniejszył się w r. ub. do 281,12 mil. lbs. Udział USA w brytyjskim imporcie tytoniu wyniósł 201,47 mil. lbs, w r. 1947 i 172,32 mil. lbs. w r. ub.

W Kopenhadze nastąpiło ostatnio podpisanie układu handlowego między Danią a Jugosławią. Jugosławia dostarczać będzie drzewa, podkłady kolejowe i konopie na sumę 13 mil. koron, w zamian za importowane z Danii tłuszcze i oleje na sumę 6 mil. koron.

Wśród wydawnictw

Biblioteka PTE

W ramach akcji wydawniczej Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego ukazało się dotychczas 8 tomów, w tem 3 prace autorów zagranicznych.

Po studium Jean Parenteau „Kalkulacja kosztów własnych a księgowość przemysłowa", jako tom siódmy Biblioteki PTE ukazał się zbiór prac wybitnych ekonomistów radzieckich pod ogólnym tytułem „Zagadnienia ekonomii socjalizmu w ZSRR". Ten bardzo interesujący zbiór omówiliśmy swego czasu podkreślając jego walory oraz staranną redakcję. (Przy okazji dodamy, że staraniem PTE ukaże się wkrótce tłumaczenie dzieła zbiorowego p. t. „Finanse ZSRR" w trzydziestoleciu 1917—1917).

Jako tom ósmy Biblioteki PTE wydana została praca angielskiego ekonomisty Hugh Daltona — „Zasady skarbowości".

Jest to wykład skarbowości typu kapitalistycznego. Zagadnienia skarbowości socjalistycznej nie zostały tu — niestety — w najmniejszym stopniu uwzględnione. Autor kładzie główny nacisk na rozpatrywanie gospodarki administracji (w zasadzie tylko jej strony merytorycznej). Pomijając szereg zagadnień lub też niedostatecznie je uwzględniając, autor znacznie obniżył walory swej pracy. Pomimo jednak usterek i braków praca Daltona jest ciekawa. Na podkreślenie zasługuje jasność i przejrzystość wykładu. (a)

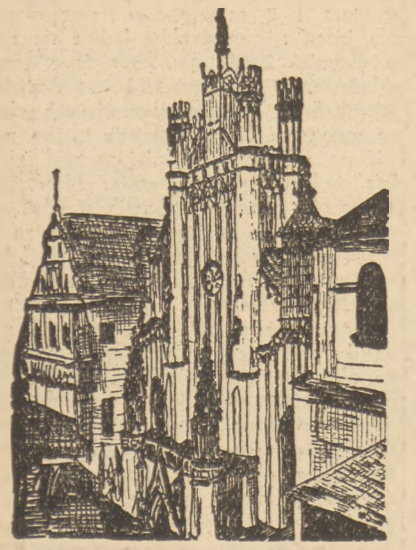
Stare miasto — na nowo

Wąskie, zawalone gruzem i ziemią uliczki, świecące czerwienią cegieł rany rozdartych pociskami murów, pustka i cisza — oto był obraz staromiejskiej dzielnicy Warszawy w roku 1945 i w roku 1946. Nad tymi żałosnymi szczątkami górowała Baszta Prochowa, dziwnym trafem ocalała wraz z całym kompleksem średniowiecznych fortyfikacji. I trzeba było poważnie się zastanowić czy rozpocząć żmudną i kosztowną pracę nad rekonstrukcją „starówki", czy też dokończyć dzieła zniszczenia i na oczyszczonych z gruzu placach wznieść nowoczesne bloki nowoczesnego miasta.

Przeważyła chęć ocalenia dla Warszawy jej architektonicznych i historycznych zabytków. I tak Stare Miasto poczęło się dźwigać z martwoty na nowo. Nie po raz pierwszy w swej historii, ale po raz pierwszy z tak dotkliwych zniszczeń.

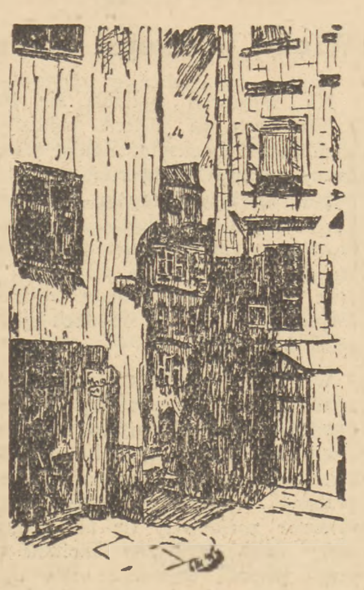
Odgruzowano ulice wiodące od Pl. Zamkowego do staromiejskiego rynku. A potem uprzątnięto wielki czworokąt rynku. Taki był początek.

Dziś i na rynku staromiejskim i na ulicach promieniście wypływających z niego widać coraz częściej kwadraty rusztowań budowlanych, jadą wozy z wapnem, piętrzą się prostokąty cegieł. 30 milionów złotych pochłonęło samo zabezpieczenie starych bu



Tak wyglądała Katedra św. Jana przed zniszczeniem. Dziś nowe jej mury rosną coraz wyżej.

dowli a z tej sumy połowę wydano na zabezpieczenie od runięcia jedynej, jako — tako zachowanej, części rynku — strony Dekerta. A po zabezpieczeniu ruszyła odbudowa. Kamienica „Pod murzynkiem" otrzymuje nowe, ale stylizowane wnętrze. Kamienica „Szlichtingowska" otrzymała dach i



Stare Miasto zostanie odbudowane na nowo z zachowaniem charakterystycznych cech średniowiecznej architektury.

stropy. Remont kamienicy „Baryczków" trwa. W tych trzech domach i w dalszych tej części rynku znajdzie swą siedzibę Muzeum m. Warszawy. Ale sprawa się na tym nie kończy. Lada dzień pokryje czerwień dachówek odbudowany dom trzypiętrowy przy ul. Bugaj a mury spalonej Katedry św. Jana rosną coraz wyżej.

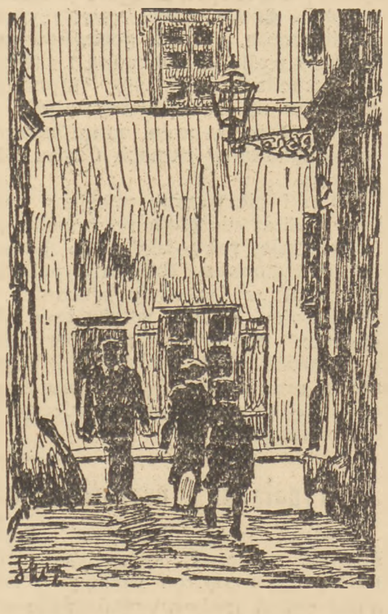
Czy oznacza to, iż Stare Miasto ma być przywrócone życiu, ściśle w swej dawnej formie? Czy mają nadal istnieć domy o piwnicznych podwórkach, domy bez urządzeń sanitarnych, ciasno stłoczone na niewielkiej przestrzeni staromiejskiej dzielnicy?

Stare Miasto zostanie całkowicie odbudowane w swej części zasadniczej — rynku. Na innych uliczkach dźwignie się z gruzów kamieniczki istotnie zabytkowe. Na miejscu innych, mało wartościowych budowli z XVIII i XIX wieku powstaną pasma zieleni, tak bardzo potrzebnej tej dzielnicy.

Zieleń otoczy „starówkę" wzdłuż dawnych murów obronnych które odsłoni się w całości. Nie odbuduje się domków Podwala. Znikną szpetne budowle, od strony wschodniej oddzielające Stare Miasto od Wisły.

Plan odbudowy poszedł jeszcze dalej. Oto u stóp leżącej na wzgórzu dzielnicy utworzy się łachę wiślaną, imitującą dawne koryto rzeki płynącej niegdyś tuż pod staromiejskim wzgórzem. I tu zieleń otoczy i łachę i nadbrzeże obecnego koryta Wisły.

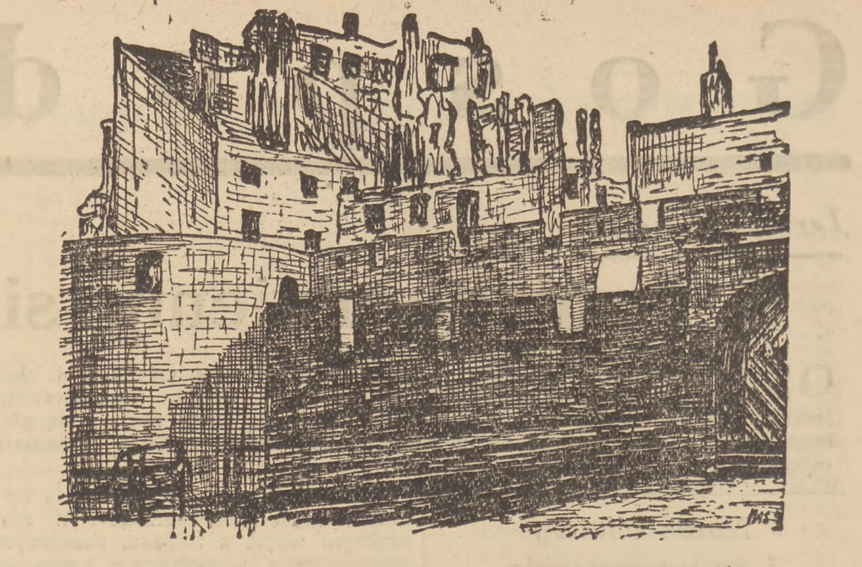
A mieszkańcy? Kto mieszkać ma w zabytkowych i z takim nakładem kosztów odbudowanych kamieniczkach? Urząd Konserwatorski wybrał drogę słusznego i jedynie celowego kompromisu. 50 proc. domków tej dzielnicy przeznacza się na mieszkania, sklepy i inne pomieszczenia użytkowe. Drugą połowę, poza Muzeum m. Warszawy, zajmą lokale organizacji społecznych, cechów rzemieślniczych, instytucji kulturalnych i zdrowotnych (ośrodek zdrowia). W ten sposób stara Warszawa nie będzie dzielnicą martwą, a jednocześnie wzrośnie gwarancja, iż odremontowane domy



I znowu Kamiennymi Schodkami pójdziemy ku Wiśle. Znikną szpetne budowle, oddzielające Stare Miasto od rzeki.

zabytkowe nie ulegną zbyt szybkiemu niszczeniu. Faktem jest bowiem, iż instytucja społeczna jest lepszym opiekunem budowlanego zabytku od przygodnego lokatora.

Dla ostatecznej odbudowy dzielnicy staromiejskiej trzeba jeszcze wielu lat. Drobiazgowość robót nie pozwala na nadanie im tempa stosowanego przy wznoszeniu nowoczesnych bloków. Ale dzięki tej drobiazgowości stolica otrzyma swe Stare Miasto — na nowo. Na nowo — to znaczy z zachowaniem charakterystycznych cech architektury średniowiecznej z jednoczesnym przystosowaniem budowli do wymagań współczesnego życia. (W)



Nad tymi żałosnymi szczątkami górowała Baszta Prochowa, dziwnym trafem ocalała wraz z całym kompleksem średniowiecznych fortyfikacji.

Wielkanoc Warszawska

WARSZAWSKIE zwyczaje wielkanocne zmieniały się z biegiem lat tak, jak przeobrażało się samo miasto wyrosłe z nadrzecznej osady — poprzez warowny gród książąt Mazowieckich — w stolicę Rzeczypospolitej. W miarę jak Warszawa nabierała cech wielkomiejskich, ginęły w niej tradycje wiejskie, pojawiały się zwyczaje nowe, nieznane w innych stronach kraju, często nie wiadomo jak i kiedy powstałe. Już od czasów Władysława IV ceremonie związane z Wielkim tygodniem obchodzono w stolicy bardzo uroczyście.

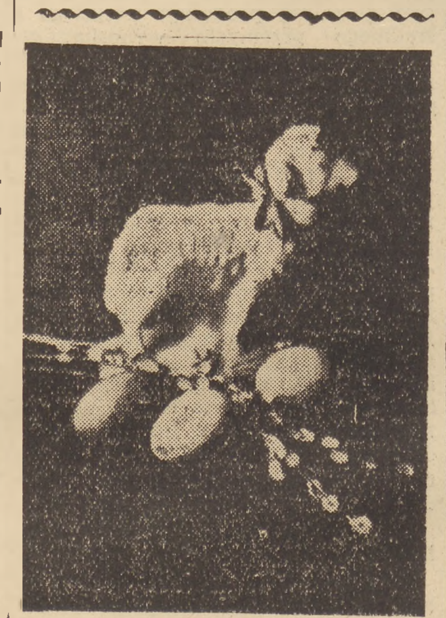
Tydzień przedświąteczny mijał pod znakiem zwiększonych zakupów żywności na miejskich targach i pod znakiem wędrówki mieszkańców na „groby". Urządzały je wszystkie kościoły starego i nowego miasta, nie szczędząc kosztów i pracy, zatrudniając najzdolniejszych rzemieślników, malarzy i rzeźbiarzy.

W okresie panowania Augusta II „groby" wielkanocne przedstawiały zawsze jakiś fragment z historii Starego lub Nowego Testamentu: Najokazalsze znajdowały się w kościołach Jezuitów, w Katedrze św. Jana i w kościele św. Trójcy. Tradycyjnie wartę przy grobach trzymało wojsko lub cechy stołeczne. W Katedrze wartowali żołnierze pieszej gwardii koronnej, w kościele św. Trójcy — artylerzyści. W okresie Stanisława Augusta wartę przy grobach pełnił regiment im. Królowej Jadwigi. W czasach późniejszych wartę sprawowali rzemieślnicy poprzebierani za żołnierzy rzymskich.

Wędrówki do „grobów" natrafiały niekiedy na zupełnie specyficzne trudności. Oto np. Marysieńka Sobieska mogła w pewnym roku odwiedzić wyłącznie jeden tylko „grób" a mianowicie u Bernardynów. Dalej — jak wspomina kronikarz — nie dotarła „dla błota dużego".

W połowie XIX wieku przyjął się zwyczaj kwesty przy „grobach" na rzecz szpitali stołecznych i Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Samą Noc Zmartwychwstania witała Warszawa — niegdyś salwami oddawanymi ze specjalnych dział, zwanych „wiwatówkami", później — przy pomocy popularnych „kalafiorków" Ten ostatni zwyczaj zapoczątkowany został w 1905 roku. Z biegiem lat strzelanie z „kalafiorków" (tak przezwano petardy w których podstawowy materiał wybuchowy stanowiło calichloricum), szczególnie na przedmieściach, rozrosło się do rozmiarów zakłócających sen większości mieszkańców Warszawy.



Pierwszy dzień świąt upływał na tradycyjnym... obżarstwie. Drugi dzień mijał pod znakiem... wody Tzw. śmigus albo dyngus — zwyczaj bardzo stary zakorzenił się na dobre i na terenie Warszawy. Jak wspomina pamiętnikarz w dniu tym

„Oblewali się rozmaitymi sposobami, amanci dystyngowani chcąc tę ceremonię odprawić na amantkach swoich bez przykrości, oblewali je wodą różaną, lub jaką inną pachnącą wodą, małą jaką sikaweczką lub flaszeczką. Którzy zaś przekładali swawolę nad dyskrecję, oblewali damy wodą prostą, chlustając garnkami, szklankami, dużymi sikawkami prosto w twarz. A gdy się rozswywoliła kompania, panowie i dworzanie, panie i panny lali jedni drugich wszystkimi statkami, jakich dopaść mogli."

Z biegiem lat uroczystości Wielkiego Tygodnia i świąteczne obżarstwo poczęto ograniczać. Powstały jednak zwyczaje nowe. Oto np. od roku 1832 poczęto w okresie świąt Wielkiej Nocy urządzać zabawy publiczne na Placu Krasińskich. Tam znajdowały się słupy namydlone z nagrodami umieszczonymi na wierzchołkach, huśtawki, loterie fantowe. Po czterdziestu latach teren zabaw przeniesiono na Plac Ujazdowski (przy ul. Agrikola) a później na Plac Broni. Ostatnim wreszcie miejscem, gdzie Warszawa bawiła się podczas dwu dni wielkanocnych były Powązki. Ostatnia taka zabawa odbyła się w 1903 roku. Dalszych tego rodzaju zabaw zabroniły władze carskie. Nakoniec i warszawska Rada Miejska skreśliła raz na zawsze ze swego budżetu wszelkie wydatki na urządzanie tego rodzaju imprez.

Wiesław Wernic



Po raz drugi walczą kolarze na trasie Praga — Warszawa

JUŻ tylko niewiele dni dzieli nas od momentu, kiedy ze stolicy CSR wyruszą do Warszawy drużyny kolarskie Polski, Czechosłowacji, Węgier, Bułgarii, Rumunii, Albanii oraz robotnicze zespoły Francji, Finlandii, Szwecji i Włoch, by w szlachetnej rywalizacji walczyć o zwycięstwo na trasie długości 1.261 km.

Międzynarodowy Wyścig Kolarski Praga — Warszawa, organizowany przez redakcję „Rudego Prava" i „Trybunę Ludu" przy pomocy kolarskich związków państwowych Polski i CSR, będzie drugim wyścigiem urządzanym na tej trasie. W ub. roku jedna grupa zawodników startowała z Warszawy do Pragi, a druga z Pragi do Warszawy. W bieżącym roku odbędzie się tylko jeden wyścig na trasie Praga — Warszawa i gospodarzami imprezy będą Czesi. W roku przyszłym kolarze pojadą z Warszawy do Pragi, a „honory domu" czynić będą Polacy.

W myśl nowego regulaminu wyścigu, opracowanego wspólnie przez komisję polsko-czeską do wyścigu dopuszczeni będą zawodnicy tylko w konkurencji drużynowej. Każde państwo może zgłosić do wyścigu 3 drużyny po 6 zawodników.

Trasa wyścigu podzielona została na 8 etapów:

Etap I — start 1.V. z Pragi do Pardubic przez Polin, Malin, Przelonc i Hradec Karlovy o długości 143 km.

Etap II — start 2.V. z Pardubic do Brna przez Litomyl i Switavy, długości 138 km.

Etap III — start 3.V. z Brna do Gottvaldova przez Prostejov, Ołomuniec, i Przerov, dług. 137 km.

Etap IV — start 4.V. z Gottvaldova do Morawskiej Ostravy przez Vsetin, Icin i Mistel, dług. 120 km.

W Morawskiej Ostravie 5. V. nastąpi jednodniowy odpoczynek.

Etap V — start 6.V. z Morawskiej Ostravy do Katowic przez Cieszyn, Bielsk, Białą, Oświęcim, Tychy i Mikołów, dług. 147 km.

Etap — VI start 7.V. z Katowic do Wrocławia przez Bytom, Opole, Brzeg, i Dławę, dług. 179 km.

Etap VII — start 8.V. z Wrocławia do Łodzi przez Oleśnicę, Syców, Kępno, Złoczew Sieradz, Zduńska Wola i Pabianice, dług. 212 km.

Etap VIII — start 9.V. z Łodzi do Warszawy przez Piotrków, Tomaszów Maz., Rawę Maz., i Mszczonów, dług. 185 km.

Przegląd trasy, którego dokonała specjalna komisja pod kierunkiem prez. PZKol F. Gołębiowskiego, z udziałem przydzielonych fachowców — głym. Odnosi się to szczególnie do terenów polskich, które wiele kłopotów w poprzednich wyścigach nastręczały zawodnikom zagranicznym.

Decydująca walka o zwycięstwo rozegra się prawdopodobnie na szosach inż. drogowych, wykazał, że stan dróg polskich, ze względu na dłuższe od- jest znacznie lepszy niż w roku ubie-cinki poszczególnych etapów. W CSR etapy są bardzo krótkie i wynoszą przeciętnie 107 km, co jest znacznym handicapem dla kolarzy czeskich i szwedzkich, którzy przewyższają Polaków szybkością. Na etapach po stronie polskiej oprócz szybkości ważnym atutem będzie wytrzymałość, którą szczycą się Polacy.

Przy omawianiu szans drużyn nie można pominąć zespołów zagranicznych. Z zeszłorocznego wyścigu znamy jedynie Rumunów, Bułgarów i Węgrów. Reszta zespołów stanowi wielką niewiadomą, reprezentuje jednak wg. opinii znawców wysoki poziom.

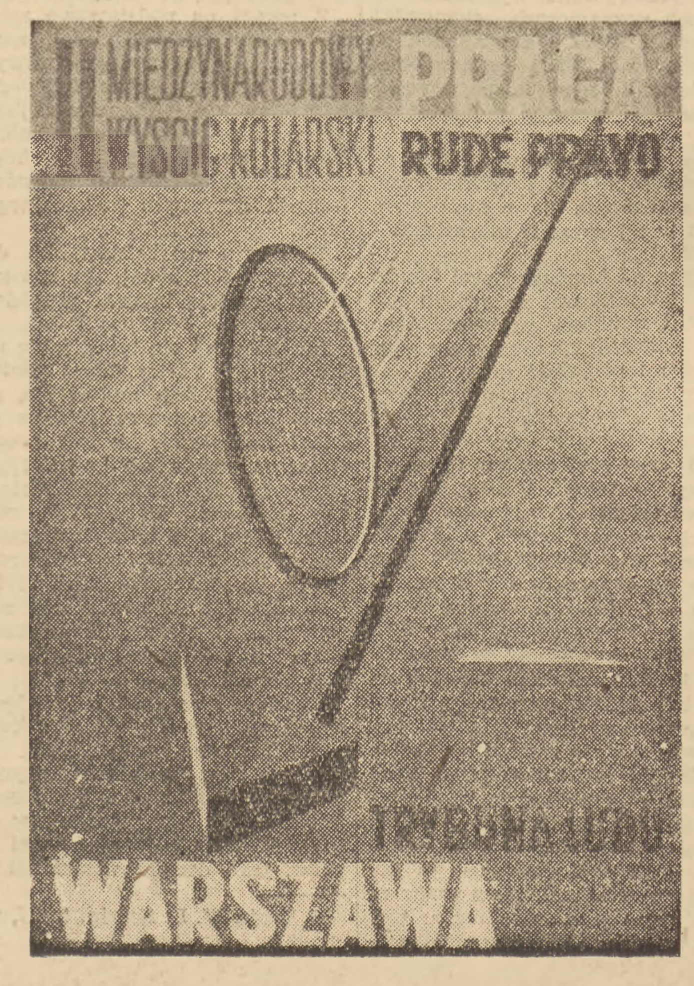
We wszystkich państwach, których drużyny wezmą udział w wyścigu zwrócono baczną uwagę na odpowiednie przygotowanie zawodników pod względem technicznym i kondycyjnym oraz na dobór należytego sprzętu. Kolarze polscy i czescy przebywali na obozach treningowo-kondycyjnych, zorganizowanych w terenie zbliżonym topograficznie do trasy wyścigu.

O obozie dla kolarzy polskich w Ustroniu, przez PZKol. Feliks Gołębiowski wyraził swoją opinię następującymi słowami.

— Jeśli chodzi o obóz to nie mam po prostu słów uznania. Warunki zakwaterowania, wyżywienia, treningów, opieki lekarskiej, pomocy technicznej są na jak najlepszym poziomie. Zawodnicy, z którymi rozmawiałem mówią, że czegoś podobnego nie widzieli jeszcze w życiu. Mają oni do dyspozycji teren treningowy płaski i górzysty, wspaniałą salę do ćwiczeń i zaprawy podczas niepogody, kąpiele i natryski, a po pracy idealne warunki do odpoczynku. Jeżeli chodzi o jedzenie, to najlepszym dowodem jest fakt, że prawie wszystkim kolarzom, mimo intensywnej pracy, przybyło na wadze. Szczytem moich marzeń — kończy swoje zachwyty nad obozem wódz kolarzy polskich — jest być na takim obozie.

Zawodnicy polscy pojadą na rowerach f-my „Bałtyk", wyprodukowanych, prócz hamulców i przerzutki, całkowicie w Polsce. Są one wg. opinii fachowców równie dobre, jak rowery produkowane przez firmy zagraniczne. Przy konstrukcji „Bałtyków" wykorzystano wszystkie pomysły polskich instruktorów, ułatwiające jazdę kolarzom.

Przed kolarzami polskimi stoi trudne zadanie — powtórzenie zeszłorocznego sukcesu i odniesienie zwycięstwa drużynowego. Droga do niego będzie wiodła przez olbrzymi wysiłek fizyczny, ambicję osobistą i zespołową, koleżeńskie współdziałanie i dżentelmeńską walkę. Znając dobrze naszych zawodników jesteśmy przekonani, że nas nie zawiodą. Będą walczyć do końca o najwyższą nagrodę — jaką jest zwycięstwo. (Cd)



Rozwój sportu na wsi

Na III-im plenarnym posiedzeniu członków Głównej Rady Sportu Wiejskiego, w której wziął udział z-ca dyr. GUKF — ppłk. Szemberg, m. inn. omówiono i zatwierdzono plan pracy na rok 1949, opracowano rozdzielnik sprzętu sportowego dla poszczególnych województw.

Zatwierdzony przez Główną Radę plan pracy na rok 1949 przewiduje m.in. zorganizowanie 2770 nowych Ludowych Zespołów Sportowych. Zespoły te organizowane będą głównie we wsiach samopomocowych, spółdzielniach produkcyjnych, przy uniwersytetach ludowych, szkołach, gimnazjach rolniczych i spółdzielniach oraz we wsiach niezorganizowanych, zamieszkałych przez mało i średniorolnych chłopów.

Oprócz tego, w roku bieżącym organizowane będą różnego rodzaju imprezy i masowe akcje sportowe. Członkowie LZS-ów wezmą udział w narodowych biegach na przełaj, w wielobojach ludowych, w nauce pływania oraz w październikowych marszach „Szlakiem Zwycięstw".

Poza tym w roku bieżącym odbędzie się szereg spotkań między Ludowymi Zespołami Sportowymi na szczeblu gminnym i powiatowym, które zostaną zakończone w dniu Święta Reformy Rolnej. Przez cały rok trwać będzie akcja zdobywania odznaki sprawności fizycznej przez młodzież wiejską obojga płci.

Przewidziana jest również szeroko zakrojona akcja szkoleniowa. W wojewódzkim Ośrodku Kultury Fizycznej w Przemyślu i Złocieńcu przeszkolonych zostanie w ciągu roku 1.816 osób.

Według opracowanego i zatwierdzonego rozdzielnika sprzętu sportowego, Ludowe Zespoły Sportowe poszczególnych województw otrzymają ogółem: 2.000 piłek do siatkówki i 2.000 do szczypiorniaka, 2.000 siatek, 9.000 podręczników sportowych, 50.000 szt. kombinezonów, pantofli i koszulek sportowych oraz pewna ilość sztoperów. Ogółem Ludowe Zespoły otrzymają sprzęt sportowy za sumę 30 mln. zł.

Rozrywki umysłowe

pod redakcją R. Miałkowskiego i Wł. Lubnara.

1. KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Konieczność, potrzeba. 3. Duży gęsty las iglasty. 6. Bufet, szynk. 7. Opłata wnoszona za przewóz, przywóz lub wywóz towarów za granicę lub z zagranicy. 9. Państwo amerykańskie (skrót). 11. Pasterz owiec w górach tatrzańskich. 13. Ułudny obraz. 15. Czas, pora. 16. Wyspa koralowa. 17. Postać z „Pana Tadeusza". 18. Wielka gałąź. 20. Święta księga mahometan. 25 Surowy sędzia. 29. Figura w kartach. 30. Czar. 31. Miasto nad górnym Sanem. 32. Dźwignia, przyrząd do podnoszenia ciężarów. 34. Zabawa towarzyska. 35. Owad. 36. Bóstwo egipskie. 37. Przyjaciel Mickiewicza. 38. Kreska, sztych.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Nazwa miesiąca. 2. Mięso przy żebrach. 3. Drąg z ostrzem na końcu. 4. Koń. 5. Tytuł niższy od hrabiowskiego. 6. Kosmetyk. 8. Plama na sierści .10. Rodzaj przetaku. 12. Część nogi. 14. Imię żeńskie zdrobn. 17. Głos zwierząt. 19. Rzucenie się publiczności na banki, celem wycofania wkładów. 21. Utwór poetycki. 22. Stopień hierarchii urzędowej. 233. Bożek miłości. 24. Rozporządzenie. 25. Gatunek ptaka brodzącego. 26. Grecki bożek. 27. Wyrób, przeznaczony do sprzedaży. 28. Dopływ Wołgi. 31. Ptak drapieżny. 33. Gubernator prowincji w Abisynii.

„Stefil", Łódź.

2. KALAMBUR

Choć posiada króla zwierząt
nikt się jej nie boi,
gdy wraz z innym pięknym kwieciem
w wazoniku stoi.

„Hella", Bytom.

3. ZAGADKA

Jaka głoska z części wozu
wiele lat nam ćwiczy rozum?

Kazimierz Tomczak, W-wa.

Za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań przeznaczamy do rozlosowania trzy wartościowe książki. Między tych uczestników, którzy nadeślą bezbłędnie rozwiązanie co najmniej jednego zadania, rozlosujemy dodatkowo dwie nagrody pocieszenia.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie dziesięciodniowym, licząc od dnia dzisiejszego, pod adresem naszego pisma, z dopiskiem na kopertach „Dział Rozrywek Umysłowych".

Odpowiedzi prawnika

P. Jan Pawłowski

Nadesłaną kwotę 100 zł. przekazujemy na Odbudowę Warszawy. Porady nasze są bezpłatne a nie trzeba również załączać znaczków na odpowiedź, gdyż nie udzielamy ich listownie.

P. Sztember — Koszalin

Podanie o zezwolenie na przewóz ruchomości poniemieckich z terenu ziem zachodnich ma zasadniczo szansę pozytywnego załatwienia tylko w przypadku przeniesienia z urzędu, dla dobra służby. Złożyć je należy w miejscowym Rej. Urzędzie Likw. adresując do Ministerstwa Administracji Publicznej. W tymże urzędzie Likw. poinformują Pana dokładnie jakich potrzeba załączników. Dla uzyskania zezwolenia na wywóz nie jest koniecznym posiadanie już tytułu własności i wystarcza gdy meble zostały we właściwym czasie zgłoszone i zawarta została z Urzędem Likw. pisemna umowa kupna na raty (o ile oczywiście jest wykonywana).

Zjazd Organizacyjny Zw. Zaw. Pracowników Kultury i Sztuki

15 bm. rozpoczął w stolicy swe obrady organizacyjny walny zjazd delegatów 6-ciu związków zawodowych: artystów scen polskich, pracowników widowisko-wo-teatralnych, pracowników filmu, radia, muzyków i artystów scen żydowskich,w celu utworzenia 30 tys. związku zawodowego pracowników kultury i sztuki.

Na zjazd przybyli: wicepremier Aleksander Zawadzki, wiceminister Kultury i Sztuki — Włodzimierz Sokorski, p. o. przewodniczącego KCZZ — Burski, wiceprzewodniczący KCZZ — Żukowski, sekr. gener. KCZZ — Ćwik, przedstawiciele KC PZPR ob. ob.: Doliński, Albrecht, Siekierska i inni.

W zjeździe wzięli również udział — gorąco witani — artyści i pracownicy Moskiewskiego Teatru Dramatycznego z kierownikiem zespołu M. Ochłopkowem na czele.

Koncerty Szpinalskiego w Warszawie, Paryżu i Londynie

Po wielkich sukcesach artystycznych w Szwecji, Norwegii i Finlandii, wystąpi w Warszawie, w dniu 20 bm. z recitalem Chopinowskim, w ramach Roku Chopinowskiego 1949 znakomity pianista polski, Stanisław Szpinalski.

Po koncercie warszawskim artysta wystąpi w dniu 26.IV. br. na historycznym Koncercie Chopinowskim w Paryżu.

W dniu 16.V br. Szpinalski będzie wykonawcą historycznego Koncertu Chopinowskiego w Londynie.

Lekarze zagraniczni w Krakowie

Do Krakowa przybyła wycieczka lekarzy radzieckich, czechosłowackich i bułgarskich, którzy w charakterze gości uczestniczyli w Krajowym Zjeździe Służby Zdrowia w Warszawie.

Wraz z gośćmi zagranicznymi przybył wiceminister Zdrowia Sztachelski oraz dyrektor gabinetu tego Ministerstwa.

Prognoza pogody

Zachmurzenie na ogół duże z możliwością drobnych opadów. Nocą temperatura około 4 st., dniem około 12 st. Słabe wiatry z kierunków północno-wschodnich.

Miasto na 40 tys. mieszkańców powstaje w centrum stolicy

W granicach okolonych ulicami Marszałkowską (Nowotki) i Okopową, między przebiegającą wzdłuż ul. Leszno Trasą W—Z, a terenami kolejowymi, przylegającymi do Dworca Gdańskiego powstanie osiedle „Muranów" przeznaczone dla ok. 40 tys. mieszkańców. Teren oddany pod zabudowę tego największego w Warszawie osiedla robotniczego obejmuje 200 hektarów powierzchni. Środkiem osiedla przejdzie nowoprzebita trasa N—S, będąca przedłużeniem ul. Chałubińskiego i łącząca się poza osiedlem z ul. Lubeckiego.

38 DOMOW W BUDOWIE

Teren, na którym ma powstać nowe osiedle jest zawalony wielką masą zrujnowanych domów. Według pobieżnych obliczeń, by ten teren odgruzować, należałoby na przeciąg 3 lat zatrudnić 10 tys. robotników, pracujących na trzy zmiany i dysponujących sprzętem mechanicznym. Trzebaby do tego wykonać całą sieć torów kolejowych i urządzić 7 ramp kolejowych, by wywieźć te gruzy poza miasto. Kosztowałoby to kilkadziesiąt miliardów złotych. By tego uniknąć, postanowiono nowe osiedle wybudować na gruzach ghetta.

Realizację projektów zacznie się wzdłuż trasy W—Z. W roku bieżącym ZOR przystąpi do budowy 38 gmachów jednocześnie. W tej liczbie 9 budynków będzie miało ponad 100 metrów długości. Budowę czterech wieżowców o 11 kondygnacjach podejmie się również w tym sezonie budowlanym, o ile da się rozwiązać problem surowców.

Do końca br. ZOR zamierza wykończyć całkowicie 1.750 mieszkań o łącznej ilości 3.850 izb. W mieszkaniach tych da się ulokować ok. 6 tys. ludności pracującej. Stanowić to będzie 40 proc. zaplanowanych robót. Pozostałe 60 procent budynków przed końcem roku wykona się w stanie surowym i wykończy w roku przyszłym. Zabudowa całego osiedla zaprojektowana jest na 6 lat.

REKONSTRUKCJA ZABYTKÓW

Z budynków zabytkowych, częściowo zniszczonych zostaną zrekonstruowane w tej dzielnicy Pałac Mostowskich, który już odbudowuje Min. Bezpieczeństwa, Pałac Działyńskich, pałacyk „Zuga" przy ul. Leszno 20, oraz kościoły Ewangelicki i katolicki przy ul. Karmelickiej.

Część gruzów zostanie użyta na wzniesienia i tarasy 3 metrowej wysokości, na których staną bloki mieszkalne o 3—4 kondygnacjach. Resztę gruzu podda się przeróbce na materiały budowlane, gdyż całe to osiedle będzie zbudowane z elementów gruzobetonowych. Domy osiedla nie będą tynkowane, lecz wykładane płytami o kolorze ceglastym, obramowane jasnymi okładzinami. Projekty przewidują zabudowanie całego osiedla domami mieszkalnymi o 3 typach, jak „wieżowce", „galeriowce" i „klatkowce". Oprócz domów mieszkalnych zostaną tu wzniesione: Dom Ludowy, szkoły i przedszkola, hala targowa, dzielnicowy PDT teatr, kino i innego rodzaju budynki użyteczności publicznej. Na obficie zazielenionym terenie znajdą się boiska sportowe i ogródki dziecięce.

Plany i projekty nowej dzielnicy mieszkaniowej zostały wykonane w pracowni architektonicznej ZOR-u. Pracowało tu 16 młodych architektów i inżynierów oraz 4 rzeźbiarzy pod kierownictwem prof. Lacherta. W nadchodzącym sezonie budowlanym przy wznoszeniu osiedla „Muranów" zatrudni się ok. 5 tys. robotników.

KeR

Na Grochowie i Czerniakowie będą nowe kanały odwadniające

Na początku maja Wydz. Wodno-Melioracyjny rozpocznie budowę nowych kanałów odwadniających na Grochowie i Czerniakowie. Na Czerniakowie będą wybudowane dwa kanały: pierwszy o długości 1,5 km odwodni obszary, położone między Wilanowem, jeziorem Czerniakowskim, Augustówką i Sadybą. Drugi, o długości ok. 2 km. osuszy tereny między ul. Czerniakowską, Bernardyńską i jeziorem Czerniakowskim.

Koszt budowy tych dwóch kanałów wyniesie ok. 12.5 mln. zł. Prace te wykona w ciągu dwóch miesięcy firma „Hydrotrest".

Na Grochowie zostanie wybudowany nowy kanał wzdłuż ul. Kobielskiej od ul. Światowida do Terespolskiej, czyli na długości ok. 1.300 m. Będzie on uzupełniał sieć kanałów, budowanych w zeszłym roku w rejonie Pl. Szembeka.

We wtorek dalsze przekwaterowania

Na okres Świąt Wielkiejnocy władze kwaterunkowe przerwały akcję przesiedlania mieszkańców z domów, zagrożonych zawaleniem. We wtorek 19 bm. kwaterunek będzie przesiedlał do mieszkań na prawym brzegu Wisły, mieszkańców domu przy ul. Mariensztadt 10-12 i Rynek Mariensztadzki 14

Oświata, książka, prasa

W całym kraju przystąpiono już do pracy nad organizacją „Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy", który trwać będzie od 1 do 8 maja. Według planu opracowanego przez Centralny Komitet Obywatelski „Tygodnia", na którego czele stoi premier Cyrankiewicz, tegoroczna akcja ma objąć dosłownie cały kraj, we wszystkich miastach większych i mniejszych, we wszystkich gminach i gromadach wiejskich odbędą się odpowiednie imprezy. W tym celu instrukcja nakazuje przewodniczącym rad narodowych i przedstawicielom samorządu terytorialnego utworzenie komitetów „Tygodnia" we wszystkich miastach, wsiach i gromadach z udziałem miejscowych organizacji politycznych i społecznych.

„Tydzień" znajduje wdzięczny odzew we wszystkich warstwach społecznych. Chodzi przecież o przeprowadzenie propagandy na rzecz walki z analfabetyzmem i na rzecz szerzenia czytelnictwa książki i gazety, czego potrzeby już wszyscy na ogół rozumieją. Zagadnienie u nas polega jednak nie tylko na uczeniu czytać, ale ciągle jeszcze także na dostarczaniu umiejącym już czytać materiału do czytania. Spotykamy się, niestety, ciągle jeszcze z wypadkami wtórnego analfabetyzmu.

Według instrukcji opracowanej przez Centralny Komitet „Tygodnia" plan akcji powinien uwzględnić:

Akcję propagandową wzywającą analfabetów i pół analfabetów na kursy nauki początkowej;

rozprowadzenie terminowe odezw i afiszów, nalepek i znaczków, których dostarczy Centralny Komitet;

przeprowadzenie zbiórki pieniężnej na zwalczanie analfabetyzmu;

rozbudowę bibliotek i współdziałanie w upowszechnianiu książki;

wygłaszanie odczytów w zastosowaniu do celów „Tygodnia";

urządzanie wystaw książki i prasy;

zwiedzanie bibliotek;

urządzanie w szkołach i placówkach oświatowych „Dnia Książki".

Do wszystkich tych imprez należy zmobilizować przede wszystkim młodzież szkolną, członków organizacji, pracowników oświatowych, bibliotecznych, prasowych itp. — ale w ogóle w całej akcji największy nacisk położony jest na to aby brały w niej udział jak najszersze masy ludności

Ostatni dzień tygodnia 8 maja, będzie „Dniem Prasy".

Nowe odkrycia w grotach tatrzańskich

Roztopy wiosenne przerwały prace badawcze w grotach tatrzańskich, które z ramienia Ministerstwa Komunikacji prowadzi ekipa ze znanym taternikiem zakopiańskim — Stefanem Zwolińskim na czele. Przerwane prace zostaną podjęte w maju br.

Rezultatem dotychczasowych badań jest zbadanie trzech jaskiń w partii Kalatówek. Są to: Grota Kalacka, Jaskinia Bystrej i Mała Jaskinia. Dwie ostatnie jaskinie są niezwykle ciekawe ze względu na formy rozmycia i małe, lecz piękne stalaktyty. Po wypompowaniu z jaskiń wody staną się one dużą atrakcją dla turystów.

Ciekawsza dla turysty, a przede wszystkim dla naukowca jest uprzystępniona już grota Magury, położona na znacznej wysokości (około 1.500 m) i trudniej dostępna. Posiada ona dla człowieka nauki atrakcje w postaci dużych pokładów dyluwialnych ze śladami niedźwiedzi i lwów jaskiniowych. Turystę zaś grota zdumiewa swymi dużymi rozmiarami — 30 m. na 15 m. przy wysokości około 10 metrów.

Podczas ostatnich badań grupa Zwolińskiego podjęła z tej groty próby dalszego przebicia się. Próby te, prowadzone w niesłychanie ciężkich warunkach, uwieńczone zostały pełnym powodzeniem. Przez ciasne korytarze, szczeliny, kominy i studnie dotarto do dużej sali, nietkniętej dotychczas stopą ludzką. Sala jest częściowo zawalona, lecz stanowi dla paleontologa bezcenną wartość — na mule pierwotnym leżą tu warstwami, tak jak układały wieki — kości zwierząt. Dalsze badania tej partii jaskiń podjęte będą z końcem maja br.

W planach na rok 1949-50 leży całkowite zbadanie groty Mylnej w Kościeliskiej, dalsze badanie groty Magura oraz próba dokopania się do kominu dolnego w grocie Kalackiej.

SPORT i WYCHOWANIE FIZYCZNE

Własnym samolotem przylecieli do Warszawy piłkarze ATK

W piątek o godz. 12-ej w południe wylądowała na Okęciu wojskowa drużyna piłkarska ATK. Goście przylecieli własnym samolotem klubowym (to się nazywa sportowy kraj). Piłkarzy czeskich powitał z ramienia GUKF mjr. Better oraz prezes WKS Legia mjr. Wadecki. Kierownikiem ekipy jest płk. Hovarik. W dniu dzisiejszym spodziewany jest jeszcze przyjazd specjalnego sprawozdawcy dziennika czeskiego „Obrona Lidu".

Drużyna ATK jest jedną z najlepszych czeskich zespołów ligowych w tej chwili zajmuje w tabeli 3 miejsce, a w jej barwach występuje aż pięciu reprezentantów CSR: Hemele, Trnka, Putera, Krasnohorsky i Jonak. W ciągu ostatnich kilku tygodni w ciężkich walkach ligowych, ATK odniosło wiele sukcesów, bijąc takie zespoły jak: Bohemians 4:3, Bratislava 2:1, Victoria-Pilzno 3:2, Židenice 2:1, Slezka Ostrawa 4:1 i Kladno 5:1.

W godzinach popołudniowych goście, którzy są w stolicy po raz pierwszy, zwiedzili miasto, a wieczorem podejmowani byli lampką wina przez attaché wojskowego CSR w Warszawie płk. Bedricha.

Skład drużyny ATK na mecze z Polonią i Legią wyglądać będzie następująco: bramkarz — Jonak Houska), obrona — Zaranek, Krasnohorsky (Podhorec), pomoc — Timkanic, Trnka, Ipser (Hippman), atak — Putera, Hemele, Müller, Sobotka, Hejski (Zemanek)..

Kierownik sekcji piłkarskiej Polonii wyznaczył do meczu z ATK następujących zawodników: Borucz (Sosnowski), Wołosz, Pruski, Szczawiński, Brzozowski, Wiśniewski, Ochmański, Szularz, Świcarz, Gierwatowski i Jaźnicki (Łabęda, Szczepański i Przepiórka).

Legia wyjdzie na boisko w składzie: Skromny, Waksman, Serafin, Waśko, Milczanowski, Łyszczarz, Sąsiadek, Wilczyński, Oprych, Olejnik i Mordarski.

Przypominamy, że oba spotkania rozpoczynają się o godz. 16.30.

Francuzi i Włosi biorą udział w wyścigu Praga — Warszawa

Komitet Organizacyjny wyścigu Praga — Warszawa otrzymał telegram z Paryża, zawiadamiający o udziale w wyścigu 3 drużyn francuskich w składzie 18 kolarzy. Poza tym Komitet otrzymał telefoniczne zgłoszenie z Rzymu 2 drużyn włoskich. Tym samym w wyścigu weźmie udział 9 państw, a więc będzie to największa amatorska impreza na świecie.

D'Oriola mistrzem świata we florecie

W dalszym ciągu szermierczych mistrzostw świata w Kairze, rozegrano finały floretu w konkurencji męskiej. W finale spotkali się Oriola (Francja) i R Nostini (Włochy). Zeszłoroczny mistrz świata Francuz Oriola obronił tytuł wygrywając w finale z Włochem R. Nostini. 5:2, 4:5, 5:2. W półfinale Oriola wygrał z R. Nostini 3:5, 5:1, 5:2, a R. Nostini pokonał swego rodaka Mangiarotti 5:4, 4:5, 5:1.

Po zakończeniu finałów floretu rozpoczął się turniej szabli w konkurencji drużynowej. W pierwszym spotkaniu Szwecja prowadziła z Grecją 9:1, po czym Grecja wycofała się z mistrzostw. Norwegia uległa Belgii 7:9 i Włochom 2:14.

Przed biegiem narodowym trzeba systematycznie trenować

Stołeczny Ośrodek Kultury Fizycznej przypomina, że termin Biegu Narodowego zbliża się.

Ci, którzy chcą wziąć udział w tym biegu winni uczęszczać na treningi przygotowawcze prowadzone przez instruktorów Ośrodka K. F. na Stadionie W. P. ul. Łazienkowska 4 bez **względu na pogodę.**

TABELA WYGRANYCH 55 LOTERII

8-my dzień ciągnienia IV-ej klasy

Wygrane po 500.000 zł padły na Nr Nr 9770 w Poznaniu, 27735 w Warszawie.

Wygrane po 200.000 zł padły na Nr Nr 3898 w Warszawie, 56728 w Częstochowie, 70997 w Łodzi, 88570 w Opolu.

Wygrane po 100.000 zł padły na Nr Nr 12173 33216 61870 74303 87250 92779.

Wygrane po 40.000 zł padły na Nr Nr 10945 12835 24909 39785 41155 42239 47105 61308 61716 65539 70874 77495 93113.

Wygrane po 16.000 zł padły na Nr Nr 77 2813 2921 3934 4054 4714 7248 8957 12984 15800 18565 28952 32426 40041 40093 40191 47571 48269 49129 49203 50420 51606 55733 58647 65447 67733 69280 69670 80454 83453 84978 85149 93622 94651.

Wygrane po 8.000 zł padły na Nr Nr 117 146 391 481 1593 1884 4643 5157 6036 6635 7683 8714 11202 12413 12916 13075 13265 14251 14306 14609 15069 16200 17212 17287 18602 19819 21394 22269 23533 23765 24719 24872 26056 28909 30450 30528 30911 31435 31530 31781 32591 32869 34255 34372 35015 35143 35392 35469 35724 35841 36510 37760 38135 39005 39125 41513 41868 42049 42832 42911 43168 44213 46066 46247 46469 47524 49603 50110 50812 51661 51662 54168 55009 55613 56136 56329 56582 57242 57626 58599 58638 58959 59709 59721 61179 61422 62183 62309 62770 62915 64960 65154 67371 67554 69801 70545 70574 71523 71974 72109 72351 73259 74032 74759 74832 74919 75165 75726 76911 76939 76982 78947 78960 80557 80750 81784 82069 83363 83478 83526 84073 84098 84116 85789 86647 86811 87560 87781 88934 89081 89314 90199 90381 90971 91023 91234 91619 92153 92187 93154 93192 93721 94128.

Dalszy ciąg wygranych po 4 tys. złotych

64084 109 305 15 426 56 62 519 75
616 55 78 95 785 9 90 3 5 907 73 92
907 40 56 91 4 65015 49 67 83 135 67
83 278 346 403 589 90 741 50 70 86
827 30 77 83 66020 178 9 93 230 99
338 66 403 67 70 533 628 72 5 702 6
833 8 40 54 68 84 915 67012 4 97
346 56 486 534 61 3 612 48 54 62 7
704 82 817 917 53 68016 73 4 284 349
66 84 455 513 93 618 52 63 733 57
639 921 67 69024 97 217 92 378 89
411 2 57 85 554 8 70 651 720 93 819
99 900 11 70025 37 69 197 9 363 415
29 81 7 96 553 637 54 70 727 99 829
34 75 931 7 60 71003 38 100 57 210
87 328 48 451 69 81 6 517 21 632 6
69 741 851 932 72079 120 46 96 219
92 6 344 421 61 91 534 41 52 91 680
5 717 808 908 78 73008 41 90 8 123
72 83 209 16 39 61 70 310 507 20 3
4 34 73 625, 702 65 819 91 58 74019
70 114 38 70 285 370 8 464 75 92 505
38 632 6 702 6 10 25 9 830 42 913 22
75189 209 212 9 7 62 81 305 16 64
73 85 410 29 79 542 81 631 5 45 710
38 45 93 6 811 956 80 92 76012 36 91
130 63 87 244 322 41 54 68 86 419 62
79 568 99 609 35 46 87 739 71 810 5 31
55 77064 73 111 24 44 80 207 383 434
602 30 44 808 930 78018 120 475 648
56 69 81 90 747 847 91 7 946 64 78
79017 88 217 63 98 311 56 7 65 409 10
72 84 9 523 611 58 711 9 85 815 94 905
58 65 99 80175 276 328 88 405 46 63
87 574 686 757 808 43 915 81018 114
74 221 72 319 54 99 499 518 48 54 68
758 67 81 832 906 63 95 82022 99 112
5 51 298 336 58 66 444 51 75 80 571
698 727 67 98 802 25 7 900 27 59 83110
272 77 356 402 41 5 68 88 527 32 768
831 928 35 84047 89 92 153 200 16 41
357 81 93 490 503 21 600 48 63 783
877 87 946 55 85017 9 133 81 253 315
55 97 417 23 42 6 99 513 34 6 89 95
603 27 37 73 7 705 69 86030 48 69 78
109 304 45 75 400 4 9 49 51 80 614 37

Dalszy ciąg wygranych podany będzie jutro

Gestapowiec skazany na karę śmierci

Sąd Okręgowy w Częstochowie skazał na karę śmierci Franciszka Fikusa, b. asystenta politycznego Gestapo w Częstochowie. Kilkudniowa rozprawa wykazała, że Fikus w okresie okupacji był jednym z najzaciekłejszych prześladowców ludności polskiej, a w szczególności członków polskiego Ruchu Oporu. Skazany ponosi również winę za wszystkie akcje eksterminacyjne, prowadzone na terenie Częstochowy przeciwko działaczom politycznym i społecznym.

Warszawa w Święta

Komunikacja miejska

Tramwaje, trolleybusy i autobusy kursują normalnie w sobotę do godz. 18-ej. W niedzielę komunikacja zostaje wstrzymana, w poniedziałek zaś podjęty będzie normalny ruch.

Żegluga na Wiśle

W niedzielę normalne odjazdy statków do Włocławka i Józefowa. W poniedziałek statki nie odpływają.

Lot

W niedzielę samoloty nie kursują, w poniedziałek — normalny ruch pasażerski.

PKS

W niedzielę zmniejszony ruch (dokładny rozkład podaliśmy wczoraj), w poniedziałek odjazdy wg. stałego rozkładu jazdy.

Poczta

W sobotę czynna do godz. 17-ej. W niedzielę nieczynna. W poniedziałek tylko przyjmowanie listów poleconych i sprzedaż znaczków. Przez całe święta czynny normalnie Urząd Telekomunikacyjny na Nowogrodzkiej.

PKP

Normalny rozkład jazdy. Kasy biletowe na dworcach sprzedają bilety dzień wcześniej, „Orbis" — 6 dni wcześniej. Przy kupnie biletu należy zaopatrzyć się w specjalny kupon, upoważniający do wejścia do wagonu, w komunikacji podmiejskiej kupony nie są potrzebne.

Apteki

Normalne dyżury świąteczne. W niedzielę liczyć się należy z trudnościami przy znalezieniu otwartej apteki, gdyż w dniu tym dyżury są ograniczone.

Teatry

POLSKI (Karasia 2): w piątek i sobotę nieczynny. W niedz. o godz. 19 występ Państw. Moskiewskiego Teatru Dramatycznego. W poniedz. godz. 14 „Fantazy", godz. 19 „Wrogowie".

Pozostałe teatry są nieczynne w sobotę i niedzielę, natomiast w poniedziałek repertuar przedstawia się następująco:

KAMERALNY (Foksal 16): godz. 19 „Krzyk jarzębiny".

PLACÓWKA (Królewska 13): godz. 19 „Igraszki z diabłem".

MAŁY (Marszałkowska 81): godz. 19 „Szczygli zaułek".

ROZMAITOŚCI (Marszałkowska 8): godz. 15.30 i 19.15 „Lekkomyślna siostra".

POWSZECHNY (Zamojskiego 20): godz. 19 „Wesele Fonsia".

NOWY (Puławska 39): godz. 19 „Zemsta nietoperza".

KLASYCZNY (Mokotowska 13): godz. 15.30 i 19 „Szklanka wody".

LUDOWY TEATR MUZYCZNY (Szwedzka 2/4): godz. 19 „Skalmierzanki".

WRÓBELEK WARSZAWSKI (Zygmuntowska 8): godz. 16 i 17.15 „Tylko witamina humoru".

NASZ TEATR (Marszałkowska 81): godz. 11.30 „Wycinanki staropolskie".

SYRENA (Litewska 3): godz. 15.45 i 19.15 „Miecz Demokratesa".

TEATR LALKI I AKTORA „Guliwer" (Królewska 13): godz. 13 „Korsarze".

Kina

W sobotę nieczynne. W niedzielę i poniedziałek czynne normalnie.

ATLANTIC (Chmielna 33): „Rzym miasto otwarte" godz. 13, 15, 17. 21. Zw. Zaw. 19.

PALLADIUM (Złota 7/9):: Opowieść o prawdziwym człowieku" godz. 13, 15, 19, 21. Zw. Zaw. 17.

POLONIA (Marszałkowska 56): „Wielka nagroda" godz. 12, 14.15, 19, 21.30. Zw. Zaw. 16.30.

STYLOWY (Marszałk. 112): „Rudzielec" godz. 13, 15, 17, 21. Zw. Zaw. 19.

AKTUALNOSCI Nr 1 (Marszałkowska 112): Program Nr. 54, pocz. o godz. 11-ej.

AKTUALNOSCI Nr 2 (Inżynierska 2): Program Nr. 54, pocz. seansów godz. 12.

SYRENA (Inżynierska 2): „W pogoni za mężem" godz. 14, 16.30, 21.30. Zw. Zaw. 19.

TĘCZA (Suzina 4): „Chłopiec z przedmieścia" godz. 15, 17, 21. Zw. Zaw. 19.

radio

W dniu 17 bm. (niedziela) usłyszymy m. in. następujące audycje:

Wiadomości: 8.00 16.00 20.00 23.00.

10.10 Audycja regionalna. 11.00 Muzyka rozrywkowa. 11.30 Muzyka taneczna. 12.04 Fragmenty z ulubionych oper. 13.00 Wielkanoc u narodów świata. 13.15 Niedziela na wsi. 14.15 Dla dzieci: Jak Barbara piekła wielkanocne baby. 14.37 Kapela Ludowa Dzierżanowskiego. 15.00 Krowoderskie Zuchy — wodewil. 16.15 „Wielkanocny przekładaniec muzyczny". 18.00 „Nuty", „Wodewil" — Czechowa. 18.25 „Melodie świata". 19.03 Wielkanoc i wiosna. 19.25 Muzyka taneczna. 21.20 Teatr Eterek. 21.40 Maklakiewicz: Suita „Śląsk pracuje i śpiewa". 22.00 „Z nami jest jutro". 22.10 Muzyka taneczna. 1.00 Koniec audycji.

WARSZAWA II

11.57 do 20.15 i od 23.00 do 1.00 transmisja programu z W. I.

9.05 Muzyka lekka. 9.35 Muzyka rozrywkowa. 9.55 „Kroniki" — Prusa (fragment). 10.10 Czajkowski: Symfonia Nr. 4 F-moll op. 36. 11.05 Muzyka popularna. 11.30 Poezje Lenartowicza. 11.45 Muzyka poważna. 21.00 Kabaret paryski Horowicza. 21.30 Przygody Edzia — opowiadanie Prusa. 21.45 Muzyka poważna.

w dniu 18 bm. (poniedziałek)

Wiadomości: 8.00 16.00 20.00 23.00.

9.00 Nabożeństwo. 10.00 Dla chorych: ks. Rękas. 10.10 „Ursus" pracuje w Łomiankach — aud. słowno-muz. 11.00 Przerwa. 12.04 „Wieczne melodie". 13.05 Radiokronika. 13.15 Koncert dla przodowników pracy. 14.10 Dla dzieci „Dyl Sowizdrzał" — de Coster'a. 14.32 Koncert rozrywkowy. 15.00 „Hrabina d'Escarbagnac" komedia Molier'a. 15.35 „Wesele lubelskie" — Szeligowski 16.10 Muzyka lekka. 16.45 Felieton literacki. 17.00 Koncert Orkiestry Gerta. 18.00 „Pan Taedusz (XII). 18.20 Recital fortepianowy Kagana. 18.50 „Ja także jestem Amerykaninem" — Robenson'a. 19.00 Smetana: „Pocałunek" opera. 21.30 Muzyka taneczna. 22.00 Wiadomości sportowe. 22.10 Koncert. 22.45 Muzyka taneczna. 24.00 Koniec audycji.

WARSZAWA II

Wiadomości: 19.40 20.30. Transmisja z W. I od 11.57 do 19.00 i od 22.00 do 24.00.

9.05 Muzyka. 9.30 Repertuar kin i teatrów. 10.00 Muzyka taneczna. 10.20 Muzyka operowa. 10.40 „Popioły" Żeromskiego (fragment). 11.00 Muzyka popularna. 11.30 Muzyka taneczna. 11.45 Muzyka lekka. 19.00 Muzyka taneczna. 20.40 Muzyka lekka. 21.20 Fraszki polskie. 21.30 Muzyka. 21.40 Fletnia chińska — aud. słowno-muzyczna.

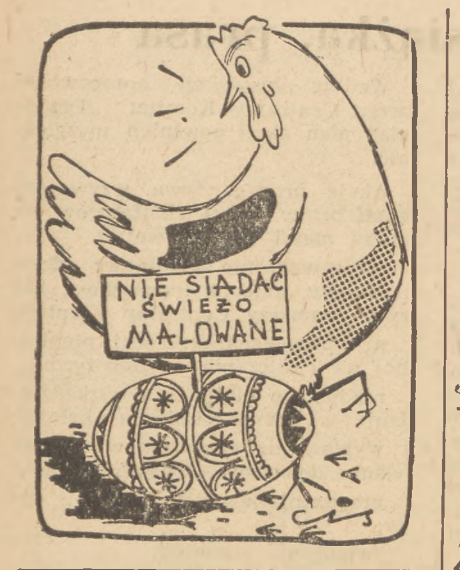
Polskie Radio zastrzega możliwość zmian w programie.

RZECZPOSPOLITA
CENNIK OGŁOSZEŃ
Drobne: 45 zł. za wyraz, poszukiwanie pracy 25 zł. za wyraz, minimum 10 słów, maximum 25. Ogłosz. wymiarowe: (za 1 mm. szer 1 szpalty: za tekstem do 70 mm. zł 100; 71 — 120 mm. zł. 130; 121 — 200 mm zł. 180; 201 — 300 mm. zł. 230; ponad 300 mm. zł. 280; tekstowe do 70 mm. zł. 170; 71 — 120 mm. zł. 220; 121 — 200 mm. zł. 270; 201 — 300 mm. zł. 340; ponad 300 mm. zł. 420; nekrologi do 70 mm. zł. 85; 71 — 120 mm. zł. 100; 121 — 200 mm. zł. 150; 201 — 300 mm. zł. 240; ponad 300 mm. zł. 300. Bilanse o 100% drożej. W numerach niedzielnych i świątecznych 50% dopłaty. Za terminowy druk ogłoszeń administracja nie odpowiada. Należność za ogłoszenia należy kierować przez P.K.O. na konto Nr. I-717 — Dział Ogłoszeń.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ:
Biuro Ogłoszeń „Czytelnik" — Centrala w Warszawie, ul. Daszyńskiego 16, I p., tel. 857-93 i 887-08 oddziały miejskie: Marszałkowska 3/5, Złota 11, przy Marszałkowskiej, Praga, ul. Targowa 67 (księgarnia Jeżewskiego) „Impet", Sikorskiego 42, Księgarnia „Czytelnik" ul. Puławska 49, księgarnia „Wolność" ul. Marszałkowska 95. W Kraju: wszystkie oddziały „Czytelnika" i Biuro Ogłoszeń.

Redaktor naczelny Henryk Korotyński

Sp. Wyd.-Ośw „Czytelnik" Druk. Nr 2
B-74132



Redakcja
Dziennika Zażaleń
składa swym Czytelnikom
najlepsze życzenia
Świąteczne

Dzwonek Świąteczny

Joanna Wilińska

Przystanek

Znam ich wszystkich dobrze, choć nie wiem, jak się nazywają. Znam ich sposób ubierania się, mówienia, reagowania na zimno i gorąco. Znam na pamięć wszystkie tricki, jakimi posługują się, aby mnię zepchnąć ze stopni tramwaju.

Spotykamy się bowiem od dawna, od wielu miesięcy, a może już nawet lat na tym samym przystanku.

Wiem, że nie mają specjalnie złych intencji wobec mnie. Nie. Są tylko ludźmi bezwzględnymi, ludźmi o mocnych łokciach. A ja, cóż? Jestem drobny, niepozorny, nieśmiały. Boję się tłoku, nie umiem się rozpychać.

I dlatego prawie codziennie jadę późniejszym tramwajem.

Przychodzą oni wszyscy z rana mniej więcej o tej samej porze, choć nie razem. Najpierw pan w futrze z bobrowym kołnierzem. Ten sam, który tak sprytnie laską ze srebrną gałką toruje sobie przejście do zapchanego tramwaju, podstawiając ją pod nogi innym śpieszącym się.

W kilka chwil — później potężny grubas o nalanej, czerwonej twarzy, prawdopodobnie właściciel masarni w śródmieściu. Jak go zresztą w duchu nazywam. Ten — odtrąca mnie po prostu brutalnie swą wielką, mięsistą łapą.

Następnie przybiega szybkim, nerwowym krokiem koścista dama z teczką pod pachą. Dałbym z nią sobie może radę, gdyby nie wołała swym piskliwym, przejmującym głosem:

— Panowie, jak zawsze naprzód, naturalnie!

A ja wtedy cofam się pośpiesznie, zmieszany i zawstydzony.

I wreszcie ta młoda parka, trzymająca się zawsze pod ramię, która szturmem, po moich odciskach dostaje się do środka wozu.

Z biegiem czasu rósł we mnie głuchy żal. Rozumiecie — szef narzekał na moje spóźnienia, podrażniona ambicją namawiała do zemsty.

Wreszcie — uległem.

Owego pamiętnego dnia zjawiłem się na przystanku wcześniej, niż inni. Obejrzałem się czujnie dokoła i kilkoma szybkimi ruchami przybiłem do pala przystanku tabliczkę z napisem:

„Przystanek zepsuty. Uprasza się wsiadać z następnego".

Potem skryłem się we wnęce bramy, czekając na przybycie moich znajomych.

Pierwszy naturalnie przybył pan w futrze. Zobaczył tabliczkę, włożył okulary, przeczytał, fuknął pod nosem: „Demokratyczne porządki!". I ruszył naprzód.

Rzeźnik stanął przed tabliczką, namyślał się chwilę, dostatecznie długo, aby spotkać się z kościstą damą. Stali teraz przed napisem oboje.

— Zepsuty, zepsuty i koniec! Co ich to obchodzi! Żeby tak oddać w prywatne ręce, zaraz byłoby inaczej — wyjaśnił towarzyszce. Poczem odpłynęli.

Młoda parka nadbiegła truchtem. Na widok tabliczki — on zaklął brzydko, ona się roześmiała i pobiegli dalej.

Zostałem sam. Dostałem się do tramwaju. Nie spóźniłem się do pracy. Ani tego dnia, ani następnych.

Gdzieś po tygodniu w jednym z pism ukazała się notatka z dużym tytułem: „Kiedy naprawią wreszcie przystanek przy ulicy Krupskiej?! Skandaliczne nieporządki w MZK!"

A po kilku dniach notatka następującej treści:

„W związku z artykułem z dnia..., Zarząd Miejski M. Zakładów Komunikacyjnych wyjaśnia, że wskutek poważnych inwestycji naprawa uszkodzonego przystanku przy ulicy Krupskiej musi ulec pewnej zwłoce. Tym niemniej Zarząd dołoży wszelkich starań, aby przystanek przy ulicy Krupskiej uległ koniecznemu remontowi".

Jak dotychczas, jeżdżę bardzo wygodnie.

MARK TWAIN

ROZCZAROWANIE

tłum. Antoni Marianowicz

RZADKO sprawia przyjemność opowiadanie o samym sobie, czasami jednak, czyniąc wyznania, odczuwa się rodzaj ulgi. Pragnąłbym więc wyspowiadać się ze swoich trosk, choć przypuszczam, że idzie mi raczej o skompromitowanie pewnej osoby, niż o ukojenie mego boleśnie zranionego serca. Przypominacie sobie zapewne, że miałem ostatnio odczyt dla młodzieńców z Towarzystwa X w Newmark? Otóż miałem go, niezależnie od tego, czy sobie przypominacie. Rozmawiałem wówczas po południu z jednym ze wspomnianych młodzieńców. Oświadczył mi on, że posiada wujka, który z takich czy in-



nych powodów pozbawiony jest całkowicie daru okazywania jakichkolwiek wzruszeń. I uczuciowy młodzian zawołał ze łzami w oczach: „Och, gdybym choć raz jeszcze mógł widzieć uśmiech na jego twarzy! Gdybym chociaż zobaczył go jeszcze płaczącego!" Byłem wzruszony. Miałem zawsze miękkie serce wobec trosk moich bliźnich.

Rzekłem więc: „Sprowadź go na mój odczyt. Rozruszam go. Zrobię to dla ciebie".

„Och, gdyby pan mógł to uczynić! Cała nasza rodzina błogosławiłaby Pana. Kochamy go wszyscy tak gorąco! O, mój dobroczyńco, czy potrafi Pan zmusić go do śmiechu? Czy potrafi Pan napełnić kojącymi łzami te wyschłe oczodoły?"

Byłem głęboko wstrząśnięty. Powiedziałem: „Mój synu, przyprowadź no tutaj tego starowinę. Mam kilka dowcipów w zanadrzu, które rozśmieszą go, jeśli posiada choćby cień poczucia humoru; jeśli kawały te zawiodą, mam kilka innych, które zmuszą go do płaczu, lub zabiją na miejscu, jedno z dwojga". Wówczas młodzieniec pobłogosławił mnie, wypłakał się w mą kamizelkę i poszedł po wuja. Wieczorem ulokował go na widocznym miejscu w drugim rzędzie krzeseł, a ja zabrałem się do roboty. Spróbowałem najpierw łagodnych żarcików, po tym przeszedłem do mocniejszych; usypiałem go z lekka kiepskimi dowcipami i budziłem z nagła kapitalną pointe'ą, obrzucałem go starą, zwietrzałą tandetą i ciskałem mu świeże gorące kawały; rozgrzała mnie ta robota, atakowałem więc na obu flankach, frontalnie i na tyłach; gorączkowałem się, pociłem, szturmowałem, gardłowałem, aż dostałem chrypy i istnej furii; nie zdołałem jednak wzruszyć go ani na chwilę, nie zdołałem wywołać uśmiechu czy łez na jego twarzy! Ani cienia uśmiechu, ani śladu wilgoci! Byłem zdumiony. Zakończyłem odczyt rozpaczliwym piskiem, jakąś wściekłą eksplozją humoru i rzuciłem w niego dowcipem niezwykłej, zaiste, ostrości.

Po czym usiadłem, oszołomiony i wyczerpany.

Prezes Towarzystwa podszedł do mnie, przyłożył mi zimny kompres do głowy i zapytał: „Dlaczego zachowywał się Pan tak dziwnie pod koniec odczytu?"

Odpowiedziałem: „Próbowałem rozśmieszyć tego przeklętego starego osła z drugiego rzędu".

On zaś odrzekł na to: „Ależ mój Panie, tracił Pan tylko czas napróżno. On jest głuchoniemy, a poza tym ślepy jak borsuk!"

No i teraz pytam Was: czy godziło się siostrzeńcowi tego nieszczęśliwego kaleki zakpić w ten sposób ze mnie, człowieka bądź co bądź obcego i w dodatku sieroty? Pytam Was jako mężczyzn i ludzi prawych, czy to był właściwy sposób postępowania?

*) Z tomu humoresek Marka Twaina, który (tom, nie Twain!) ukaże się wkrótce nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w opracowaniu Antoniego Marianowicza.

Złośliwości

* Wszystkim pracującym PRZYSŁUGUJE Ubezpieczalnia, ale mało komu dobrze się PRZYSŁUŻYŁA.

* W wielu pismach znaleźć można np. ogłoszenie: „Obrączki od Kuleszy, to szczęście w małżeństwie". Wnosić z tego można, że pan Kulesza niewiele dotychczas utargował.

* Gdyby wprowadzono wyścig pracy w urzędach, przodownikami zostaliby na pewno interesanci.

* Dopiero po ostatniej wojnie Anglicy naprawdę odczuli, że nie są na STAŁYM lądzie.

* Kto mówi, że dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane, nigdy widocznie nie był w Łodzi.

* Co robi ob. w święta? O b-j a-d a.

* Gdyby Niemcy zajęli w czasie wojny Anglię, Anglicy nie zajmowaliby się teraz Niemcami.

DDT



Dzisiaj Śmigus, panno Maniu...



— Jakie ładne jajka znosi pańska żona.

— Panie, czy pan zwariował?!

— Przepraszam, ja powiedziałem wnosi, to widocznie zecer się pomylił.

Podziemna robota

Rys. Maja Berezowska



Do kretynki rzekł raz kret:
— Chcę mieć z tobą tête — a tête,
mam tu blisko pied a — terre,
luksusowe, choć bez zer!
A na to odparła kretynka z ochotą:
— Będę się zajmowała podziemną robotą.

MAGDALENA SAMOZWANIEC

Kilka słów o kobietach

* To, że kobieta WYRZEKA na mężczyznę, nie jest dowodem, że chce się go WYRZEC.

* Jest wiele kobiet godnych szacunku, ale mało kobiet c i e s z y się szacunkiem.

* Gdy kobieta zaczyna wodzić za nos mężczyznę, przeważnie doprowadza go do Urzędu Stanu Cywilnego.

* Kobieta zawsze uważa się za zbyt młodą, aby być starą.

* Kobieta bywa punktualna na pierwszej i ostatniej randce swego życia.

* Kobietą prawdomówną bywa przeważnie kobieta małomówna.

* Mężczyzna często uważa przyjaciółkę za żonę, ale rzadko żonę za przyjaciółkę.

* Dla kobiety najwartościowszym mężczyzną jest ten, który docenia jej wartość.

* Nawet bardzo lekka kobieta może zaciążyć na życiu mężczyzny.

* Mężczyźni patrzą przede wszystkim na nogi kobiet, kobiety natomiast na ręce mężczyzn, aby sprawdzić, czy nie ma na nich obrączki.

Dział poezji

W. L. Brudziński

O pewnych poetach

Im — lekkość girlsy, błazna wdzięk
I dowcip pusty, zwinny.
Im — brzęk kieliszków, noży szczęk
(Tępych, restauracyjnych).

Cóż dla nich wiosna, kwiatów kiść,
Liryczne lata, zimy,
Jeśli jesienią spada liść,
To lauru liść z łysiny.

Niet szukanie nowych dróg
Nie jest im przez los dane.
Grunt, że swej knajpy znają próg
I wiedzą, gdzie „Dla panów"

Magdalena Samozwaniec

(Rys. Z. Kiulin)

Najtrwalsza miłość

Zako-pan i Zoko-pani
Są ze sobą dobrze zgrani
Poznali się w Zakopanem
Na dancingu gdzieś, nad ranem...
Potem znowu raz i drugi
Zatańczyli „Boogie-Voogie"
Potem: narty, śnieg i zjazdy
Czasem: noc wśród gwiazd
u gazdy...



Rzekł: — Twych oczu nie zapomnę
Takie jasne i ogromne...
Zobaczymy się w Warszawie!
Rzekła: — Mieszkam na Żórawiej.
Wyjechali, zapomnieli...
Aż znów góry śnieg zaścielił.
Zako-pan i Zako-pani
Znowu w sobie zakochani
Znów się odnaleźli w „Watrze"
On się patrzy — ona patrzy...
— Czy to pani — Zako-pani?
Już nie oddam pani za nic...!
I znów poprzez wieczór długi
Tańczą razem „Boogie-Voogige"



I na nartach jeżdżą razem
Zako-pan z swą panią w parze
Płyną poprzez białe trasy.
Aż się znowu kończą wczasy
— Dowidzenia — rzekł —
w Warszawie
Zaraz się u pani zjawię.
Wyjechali — zapomnieli...
Rok — i śnieg znów góry bieli.
Zako-pani, Zako-panek
Siedzą razem w środku sanek...
Płyną zakopiańskie zimy
I co zima ich widzimy
Zako-pan i Zako-pani
Zawsze w sobie zakochani...
Z łezką na nich patrzę rzewną.
Czy ci sami? — Tak. Napewno...

JAROSŁAW HASZEK

Tłum. St. Krgsiak

KŁOPOTY FINANSOWE

Ztary Szima, urzędnik banku Prochazka i S-ka, po piętnastu latach pracy odważył się wreszcie i zapukał do drzwi gabinetu finansisty Prochazki, aby od Nowego Roku poprosić go o podwyżkę o dwadzieścia koron.

Siedzi więc Szima przed panem Prochazką, ponieważ ten, wysłuchawszy jego prośby, dał mu znak, aby usiadł; a szef chodzi po gabinecie, rozkłada ręce i mówi: „Po tej bezwstydnej prośbie mogłem pana od razu wyrzucić, ponieważ jednak mam około pół godziny czasu, chcę z panem porozmawiać prawdziwie po przyjacielsku. Chce pan, abym mu podwyższył pensję o dwadzieścia koron miesięcznie, co czyni 240 koron rocznie. Prosi mnie pan o to w dobie, w której miecz Damoklesa, wzrost wartości pieniądza, wisi nad rynkiem pieniężnym? Czy pan wie, że Alpinki spadają z 772 na 759.60, że akcje zakładów Fryderyka spadły z 940 na 938? Kurs akcji fabryki broni również spada, kochany panie Szimo. Z 728 spadł na 716.40. To jest naprawdę okropne, a pan chce 20 koron podwyżki!"

Bankier Prochazka załamał ręce i począł z siebie wyrzucać: „Rynek papierów bankowych chwieje się. Papiery monarsze, akcje austriackiego banku kredytowego zniżkują i ogólny ich spadek wynosi 5 koron na 664.90. A pan chce 20 koron podwyżki! Rynek papierów transportowych notuje się tylko ospałymi i nędznymi transakcjami, a drogi państwowe spadły o całe 12 koron. Rząd włoski nie mógł pożyczyć od Francji 100 milionów koron, a pan chce ode mnie 20 koron podwyżki!

Francja chce sprzedać huty żelazne, mówi się o sprzedaży majątków rosyjskich, a pan przychodzi do mnie i mówi, jakby to się rozumiało samo przez się: „Panie szefie, służyłem wiernie przez piętnaście lat i z powodu kłopotów finansowych, ogólnej drożyzny, dziesięciorga dzieci, z powodu dziurawych butów i złego stanu zdrowia, ośmielam się prosić o 20 koron podwyżki. „Nieszczęśliwcze, ma pan rację, że kłopoty finansowe są wielkie. Akcje Drogi Południowej spadły o 5 koron na sztuce, a ja ich mam... Ale, właściwie dlaczego miałbym panu o tym opowiadać. Niech pan pamięta, że nawet akcje Drogi Busztehradskiej nie mają dzisiaj żadnych widoków, a kurs litery A Drogi Busztehradskiej spadł z 2515 na 2426, a litery B, z 1004 na 976. Więc pan chyba zwariował prosząc mnie o podwyżkę. Człowieku, przecież to jest szaleństwo! Niech pan tylko pójdzie na praską giełdę! Na rynku jest pełno papierów, ale co są warte? Wszystkie akcje wykazują straszliwą tendencję zniżkową! Żadne z nich nie są pewne! Akcje banku kredytowego, które dawniej kupowałem za 760, spadły na 750.75. Co pan na to powie? Czy jeszcze chce pan podwyżki? Czy upiera pan się nadal przy swej prośbie w czasie, w którym jest nie do pomyślenia, by rząd szwajcarski mógł od kogokolwiek pożyczyć brakujące mu do obiegu 2 miliony?

Otóż to, stary człowieku! Wykazy miesięcznych odpływów pieniężnych są nie pomyślne, a tegoroczny bilans będzie do bani. Rumunia, Turcja, Bułgaria i Grecja nie mogą nigdzie zaciągnąć pożyczki, a pan chce, żebym panu podwyższył gażę.



Hiszpania, Portugalia i Włochy nigdzie nie mogą umieścić pożyczki. Bank Français-Frères w Lyonie, na skutek wyprawy marokańskiej, stracił 150 milionów franków. A pan zupełnie spokojnie przychodzi do mnie i zaczyna biadać: „Panie szefie, proszę o podwyższenie mi pensji o dwadzieścia koron". Człowieku, czy pan wie, że mówi się o fuzji rosyjskich kopalni węgla z zakładami Fryderyka i że następstwem zakupu fabrykatów z przedsiębiorstw Anny Marii będzie obniżka rocznego obrotu o 20 tysięcy koron? Spekulacja nigdzie nie popłaca. Niech pan kupi akcje Podolskiej Fabryki Cementu, a zobaczymy, jak pan się zacznie bogacić: niech pan tylko z nimi pójdzie na giełdę! Pewne są jeszcze akcje kolońskiej fabryki nawozów sztucznych, za które zapłaci pan po 379, ale ja je kupiłem po 382. Straciłem więc na każdej po trzy korony. Niech mi pan wierzy, że nie mogę na pana patrzeć! Siedzi pan jak posąg! Niech pana diabli wezmą razem z akcjami towarzystwa cukrowniczego!! I one mają tendencję zniżkową i, choćby pan zjadł diabła z rogami, nie dostanie pan za nie więcej, jak po 261.50. Wiem na pewno, że nikt nie odważy mi się zaproponować ich kupna, tak samo zresztą, jak akcji fabryki dr. Kolbena. Już ja bym takiego śmiałka popędził, panie łaskawy!!!

Czy pan wie, że wiberskie towarzystwo budowniczo-cegielniane znajduje się na skraju upadku i że lublańskie pożyczki premiowe spadły? Czy wie pan, że amerykański miliarder Browne się zastrzelił? Czy pan wie, że finansiści Mueller, Skabat, Kowner i Huebner popełnili samobójstwo? Że finansiści Reche, Quinay, Mains i Bulechard powiesili się? Czy pan wie, że finansiści Karelt, Morrison, Commot i bankier Hamerles wraz ze wspólnikiem rzucili się w odmęty bądź to rzek, kanałów lub mórz? Czy wie pan, że kopalnie węgla na Alasce zbankrutowały, że palą się i że w ich płomienie rzucił się amerykański król węgla? Czy pan wie, że złoża siarki na Uralu zniszczyło trzęsienie ziemi? Czy wie pan, że oldenburskie 50-talarowe premie spadły o 50 procent, że solnohradskie towarzystwo kolejowe i tramwajowe zbankrutowało? Oczywiście, że pan o tym nie wie, w przeciwnym bowiem razie nie żądałby pan ode mnie 20 koron podwyżki..."

Finansista Prochazka potrząsnął nieruchomo siedzącym Szimą, ten zaś z lodowatym spokojem spadł z krzesła na ziemię.

Z ubolewania nad złym stanem finansów pękło mu serce.